

BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA מלפ



ICCHOK LEJB PEREC

---

**Opowiadania  
chasydzkie i ludowe**

---

tłumaczenie Michał Friedman



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ICCHOK LEJB PEREC

# *Opowiadania chasydzkie i ludowe*

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

# OPOWIEŚCI RABIEGO NACHMANKE

## BŁĄDZENIE PO PUSTYNI

I. W jakim celu i kiedy zwykł był rabi Nachmanke snuć<sup>1</sup> swoje opowieści?

Zazwyczaj snuł je w wieczór kończący sobotę, po hawdali<sup>2</sup>. Należy wiedzieć, że opowiadał je w celu ujawnienia tajemnic zawartych w *Torze*<sup>3</sup>, które można objaśnić i udostępnić prostemu zwykłemu człowiekowi tylko za pomocą przypowieści. To po pierwsze. Po drugie zaś chodziło mu o to, żeby uwolnić się w nadchodzącym tygodniu od melancholii, smutku i tęsknoty za dodatkową duszą, którą Żyd dostaje od Boga na sobotę.

— Wonności — powiedział rabi Nachmanke — udzielają ciału zapachu, opowieści zaś przydają zapachu duszy, osieroconej duszy powszednich dni tygodnia.

A tęsknota za dodatkową duszą zwaną *neszama jetera*<sup>4</sup> była u nas tak ogromna, że nie da się słowami jej opisać. Stale powtarzał:

„Gdyby Żyd posiadał dodatkową duszę przez cały tydzień, a nie tylko w sobotę, czułby się pewniejszy, a tym samym miałby zapewnioną *parnose*<sup>5</sup>”. Kiedy opowiadał, głos mu się w zależności od tematu i głębi treści opowieści zmieniał.

Zaczynał swoją opowieść w tonacji smutnej, właściwej modlitwie za umarłych *El male rachamim*<sup>6</sup>, następnie przechodził do tonacji radosnej i krzepiącej, w jakiej odmawia się modlitewny werset „Dzisiaj nas wzmocnisz”.

Opowieść o błędzeniu po pustyni zaczął w tonacji smutnej i zakończył w tejże tonacji.

Wieczór bowiem kończący sobotę był smutny i dziwnie nieswojski. Tak nieswojski, jak cała zresztą sobota.

Przez całą sobotę daremnie zmagano się z melancholią. Po pierwsze z powodu małego grona zgromadzonych. Małego tak pod względem ilości, jak i jakości. A był to już początek walki toczonej między rabim Nachmanke i pozostałymi cadykami<sup>7</sup> jego pokolenia. Żydzi trochę się z tego powodu przestraszyli i woleli trzymać się z daleka. Mogło to się bowiem, broń Boże, zakończyć katastrofą. Ta walka wyglądała na dzieło przynoszące zagładę.

— Moje wojska — powiedział rabi Nachmanke — jeszcze nie wahały prochu.

Zresztą, jak już nadmienilem, cały dzień był owiany smutkiem.

Rano, w porze mykwy<sup>8</sup> nic tego nie zapowiadało.

Słońce, choć trochę chłodnawe, jednak świeciło, słońce bowiem to słońce.

Na niebie pojawiło się kilka chmur. I oto powiał wiaterek, rozerwał chmury na części i odpędził je od słońca.

— Ono nas pocieszy — oświadczył rabi Nachmanke, wskazując palcem na słońce.

Nie sprawdziły się jednak słowa rabiego Nachmanke. Oderwane części chmur znowu się połączyły i podczas porannej modlitwy niebo było już zaciągnięte *parochetem*<sup>9</sup> jak w Szabat Chazon<sup>10</sup>.

Wiatr nie wygrał i wobec tego rabi zaczął odmawiać treny.

<sup>1</sup>zwykł był (...) snuć — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: zwykł snuć dawniej (przed inną czynnością, zdarzeniem itp. wyrażonymi w zwykłym czasie przeszłym). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>hawdala (hebr.) — uroczystość pożegnania soboty; słowo *hawdala* znaczy „odróżnienie, oddzielenie”; chodzi o odróżnienie soboty od dni powszednich. [przypis tłumacza]

<sup>3</sup>Tora (hebr. *Torje*: Pięcioksiąg) — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zw. *Pięcioksięgiem* a. księgami Mojżeszowymi, tj. opisujących genezę i rozwój tzw. prawa Mojżeszowego na tle wydarzeń historycznych (a. uważanych za historyczne); w szerszym znaczeniu: wiedza i nauka w ogóle. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>neszama jetera — dusza dodatkowa; według wierzeń chasydów Żyd otrzymuje w sobotę dodatkową duszę od Boga. [przypis tłumacza]

<sup>5</sup>parnose — zarobek, środki utrzymania. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>El male rachamim — „Bóg pełen miłosierdzia”; modlitwa odmawiana za zmarłych. [przypis tłumacza]

<sup>7</sup>cadyk — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>8</sup>mykwa — rytualny basen, w którym pobożny Żyd oczyszcza swoje ciało. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup>parochet — zasłona wisząca nad Świętą Szafą w bóżnicy, zwaną też Arką Przymierza, gdzie znajdują się zwoje Tory. [przypis tłumacza]

<sup>10</sup>Szabat Chazon — sobota poprzedzająca rocznicę zburzenia Świątyni Pańskiej, dzień żałoby. [przypis tłumacza]

My siedzimy przy stole i śpiewamy *zmires* — pieśni sobotnie, a na dworze wiatr śpiewa treny — lamentacje. I szyby w oknach podtrzymują i wtórują trenom. I czynią to z takim smutkiem, że my, śpiewający dotychczas radosne pieśni, powoli przechodzimy do smutnych melodii, właściwych w okresie Strasznych Dni<sup>11</sup>.

Przed trzecią ucztą sobotnią wiatr — jak po dziś dzień pamiętam — ustał.

Zaczął padać deszcz. Ulewny deszcz. Istny potop. I tak lało i lało, że nikt nie wchodził i nikt nie wychodził z domu. My, głowa przy głowie, staliśmy stłoczeni przed rabim w jego mieszkaniu.

Zaraz po hawdali rabi Nachmanke zapalił fajkę. Jak wiadomo palenie fajki było dla niego czymś w rodzaju służby. Nigdy nie palił dla przyjemności lub dla zdrowia. Zawsze czynił to, gdy musiał coś przedsięwziąć, coś postanowić. Wyznał mi to kiedyś w zaufaniu.

Patrząc na niego podczas palenia fajki, wyraźnie widzieliśmy, że toczy z sobą walkę.

Jako się rzekło, nikt nie wchodził i nikt nie wychodził z domu. Ludzie stali wokół rabiego. On sam siedział w środku pokoju na obitym czerwonym aksamitem ojcowskim krześle, które otrzymał w darze od gdańskiego kupca. Siedział i pykał fajkę. Im dłużej pykał, tym mniejsza stawała się melancholia i święte jego oczy zaczęły jaśnieć i świecić jak zwykle. Już zaczął bić z nich świetlany blask przemożnej woli i wielkiej siły prawdziwego cadyka, który jest świadomy tego, że w końcu wygra. Dokona tego, czego pragnie. To on właśnie jest najważniejszym z cadyków. On jest duchowym przywódcą pokolenia, on trzyma lejce w rękach i nikt mu ich nie wydrze.

I kiedy ludzie to sobie uprzytomnili, rabi wyciągnął ku nim rękę i zjednął i pozyskał ich. I zaszumiało w pokoju rabiego. Aż trudno to sobie wyobrazić. I gęsty dym kadzidła unosił się coraz wyżej i gęściej. Oczy rabiego zaczęły świecić niczym gwiazdy... Tak świeciły, że świece w lichtarzach i świeczniki szabasowe pozieleniały i pożółkły ze wstydu. I w dymie kadzidłowym sufit jakby zaniknął. I ludzie nagle poczuli, że mają nad sobą otwarte niebo. Wyraźnie usłyszeli łopot skrzydeł aniołów, które przyleciały po to, żeby uzupełnić braki w gronie zgromadzonych u rabiego Żydów i dać znać, że i one pragną, bo są ciekawe, razem z nami wszystkimi posłuchać opowieści rabiego.

## 2. O błędzeniu

— Pewnego razu — zaczął rabi opowiadać — zbłądziłem.

I zaraz dodał:

— Nie był to pierwszy ani ostatni wypadek. Większy ode mnie błędzili.

Doprawdy trudno przeceniać jego skromność.

I nie ma czemu się dziwić, albowiem kto u nas jest większy od Mojżesza, naszego mistrza i nauczyciela? I tenże Mojżesz bierze łaskę i uderza w kamień. Czyżby nie wiedział, że kamień także żyje? Że trzeba okazywać mu miłosierdzie? Czyżby nie znał sekretu zawartego w wersecie „Kamień ze ściany będzie krzyczał?”

A ileż to razy zdarza się, że człowiek chodzi sobie po ziemi i zapomina o wszystkim, i dopiero kamień lub zwyczajna macewa przypomina mu to, o czym zapomniał? Błądził! Wystarczyło, że *szechina*<sup>12</sup> opuściła go na chwilę i już zbłądził.

A kto właściwie nie błędzi?

Może *mitnaged*<sup>13</sup>? To znaczy: on także błędzi, ale nie z własnego nastawienia i nie na własny rachunek.

Błądzi, bo kieruje się nastawieniem z pewnej księgi. Błądzi na rachunek pewnego wersetu z tej księgi. On sam nie! On tylko idzie utartą drogą. Wiekami przez poprzedników wydeptaną drogą. I jeśli droga zbacza z prostej linii, znaczy to, że „nasi przodkowie zgrzeszyli”. Czyli zgrzeszyli ci, co tę drogę wydeptali. Jemu samemu nigdy by to nie przyszło do głowy.

<sup>11</sup>*Straszne Dni* — Dziesięć dni pokuty od Rosz-haszana do Jom Kipur, podczas których decyduje się los człowieka, czy będzie żył lub umrze. [przypis tłumacza]

<sup>12</sup>*szechina* — Boska obecność, Duch święty. [przypis tłumacza]

<sup>13</sup>*mitnaged* (l.mn. *mitnagdim*) — przeciwnik chasydyzmu. [przypis tłumacza]

Ale w taki sposób się błądzi. Chodzi po ulicy jałmużnik i zbiera dla biednych ludzi pieniądze na macę pesachową<sup>14</sup>. W święto Purym<sup>15</sup> lub Chanuka<sup>16</sup> siedzi sobie bogacz z wypchaną sakiewką i rozdaje pieniądze: to dla purymowych wesołych grajków, to dla klezmerów<sup>17</sup>, to dla wdów i sierot, a to dla zwyczajnych biedaków.

Przed pulpitem w bóżnicy prowadzący modlitwę porusza niebo i ziemię. Człowiek wglębia się właśnie w tajniki kabały i prawie ożywia zmarłych. W istocie jednak rzeczy to nie jest człowiek, tylko cień człowieka. Sam zaś człowiek, ku naszemu utrapieniu, błądzi na pustyni... błądzi w dzikim opustoszałym terenie, w miejscu, gdzie nie ma żadnej drogi czy najmniejszej nawet ścieżki. W miejscu, gdzie nie ma wody, a czasami nie ma nawet nieba nad głową.

Człowiek stara się tylko pocieszać: znajduje pocieszenie w odkrywaniu nowych objaśnień do *Tory*. Trzyma w ręku pochodnię, płonąca żagiew albo hawdałową świecę. Prowadzi do ślubnego baldachimu własne albo cudze biedne dzieci, albo w poczuciu wyższości staje przed ludźmi i wygłasza słowa modlitwy: „Tyś, Boże, dał nam poznać”. Człowiek może się poświęcić i zginąć śmiercią męczeńską dla uświęcenia Imienia Najwyższego. Ale to wszystko ku naszemu żalowi czyni tylko ciało, gdy tymczasem dusza wędruje za Górami Ciemności. Jest zmęczona i trzęsie się z zimna.

### 3. Problem błądzenia po pustyni

Po krótkiej przerwie rabi westchnął i powiedział:

— Zabłądziłem. I to kiedy? Podczas porannej modlitwy przy literze „d” zastępującej niewymawialne Imię Jehowa. Z jednej strony uniesiony ekstazą wniknąłem głęboko w to słowo, a z drugiej strony wyszedłem prosto na pustynię.

Ale czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy błądzić na pustyni?

I trzeba wam wiedzieć, że na pustyni błądzi dwa razy więcej ludzi, niż tych, którzy wyszli z Egiptu. I mimo to jeden nie widzi drugiego. I jeden nie słyszy drugiego. Albowiem każdy błądzi samotnie, osobno, na swojej drodze. Błądzi się bowiem tylko w pojedynkę. Każdy oddzielnie, każdy jest samotny, opuszczony i zapomniany przez świat.

I zdarza się, że dwie drogi przebiegają blisko siebie i na jednej słychać westchnienie złamanego serca dobiegające z drugiej drogi, albo z jednej drogi pada na drugą cień złamanego człowieka. Wtedy błądzący człowiek myśli, że to jakieś dzikie zwierzę zaryczało albo cień dzikiej bestii padł na jego drogę. I błądzący człowiek ze strachu ucieka.

I jeśli ma się już niebo nad głową, to jest ono zimne. Spogląda na ciebie chłodnymi oczami gwiazd i gwiazdnych znaków. Znaczą to, że niebo powiada: „Nie moje to zmarwienie!” Co to za problem, że gdzieś tam jakiś tam człowiek błądzi? I jest w tym coś w rodzaju kpiny. Gwiazdy oraz inne znaki niebieskie powiadają: „My nie błądzimy. My idziemy swoją drogą. My nie szukamy nastawień i intencji. Każą nam iść, to idziemy. Każą nam świecić, to świecimy”. To istny *mitnaged*.

A człowiek błądzący w pojedynkę czuje się tak bardzo osierocony, tak bardzo opuszczony, tak mocno przybity, że nie chce mu się podnieść oczu ku niebu.

Patrzy na dół, na nogi, na piasek, który trzeszczy pod jego stopami, na cmentarz zgniłych roślin i liści, na to wszystko, co przed czasem zostało spalone.

I być może, że zabłądziłbym aż do samego piekła, gdyby nie zwątpienie, które mnie nagle ogarnęło. A jeśli? A nuż błądzenie w pojedynkę nie jest właściwą drogą? Może świat nie jest wcale pustynią? Nie jest wcale piaskiem?

I na tym to właśnie polega różnica między naszym bratem chasydem<sup>18</sup> i *mitnagedem*.

*Mitnaged* nigdy nie ma wątpliwości: on zawsze chodzi po utartych drogach. On nie szuka *kawany*<sup>19</sup>, czyli intencji. On nie błądzi. Każą mu się modlić, to się modli. Każą mu

<sup>14</sup>*maca pesachowa* — placek, niekwaszony chleb spożywany w święto Pesach, kiedy jedzenie zwykłego chleba jest zabronione. [przypis tłumacza]

<sup>15</sup>*Purym* a. *Purim* — święto upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman, minister na dworze perskiego króla, postanowił zgładzić. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup>*Chanuka* — święto obchodzone przez osiem dni na cześć odnowionej świątyni i zwycięstwa nad greckimi okupantami. [przypis tłumacza]

<sup>17</sup>*klezmer* — muzykant, grajek. [przypis tłumacza]

<sup>18</sup>*chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII w. przez Izraela Baal Szemtowa. [przypis tłumacza]

<sup>19</sup>*kawana* — intencja; zazwyczaj głęboko szczerą modlitwa odmawiana w intencji. [przypis tłumacza]

Kondycja ludzka

Bóg, Słowo, Błądzenie,  
Pustynia, Samotność

przestudiować rozdział *Miszny*<sup>20</sup>, to przestudiuje. Każą mu zrobić to czy tamto, uczyni to bez wątpliwości. Za to, jeśli *mitnaged* raz zabłądzi, to na wieki. Wtedy zostaje już na zawsze na pustyni.

Droga po piasku jest ciężka, więc przystaje. Siada, wyjmuje modlitewnik i modli się. Bierze do ręki książkę i zagląda do niej. I w ten sposób siedzi już na amen. Wiatr sypie mu piasek w twarz. Zaslania ją książką lub modlitewnikiem... a wiatr dalej robi swoje: wieje, zasypuje go i grzebie w piasku.

I znalazłszy się poza ludzką siedzibą, nie usłyszy już dźwięku *szofaru*<sup>21</sup> mesjasza. I Anioł Zmartwychwstania nie będzie go szukał w piasku pustyni. I *mitnaged* zostaje zapomniany.

Ja natomiast nie przestałem iść. Szedłem. A im szybciej i dalej szedłem, tym wyraźniej i jaśniej zdawałem sobie sprawę, że błędzę. Że nie tu jest moje miejsce, że muszę wyjść z tego piasku. Spuchnięte miałem już nogi, ale zacząłem biegać... coraz dalej, coraz dalej... I niebo zaczęło na mnie spoglądać jakoś miłosiernie i litościwie. Od czasu do czasu także jakaś gwiazdeczka zmiłowała się nade mną. Po prostu się dla mnie poświęciła.

Spadała bowiem z nieba i spadając rozpląmieniała się, żeby mi wskazać drogę wyjścia z pustyni.

Nie przebiega to jednak tak gładko i nie tak prędko, jak to się mówi.

I nie zawsze można patrzeć w niebo. Często niebo bywa zakryte, zamknięte i pozostaje ci tylko piasek. Myśli w głowie są już też piaskowe. I z czasem stare myśli, myśli z miejsca zamieszkania wylatują ci z głowy, niczym białe gołębie z gołębnika... a ty nie masz czym ich zaprowadzić z powrotem do gołębnika... nie możesz też wydobyć głosu, żeby je zawołać do powrotu. Zostają przy tobie tylko myśli pustynne, myśli piaskowe i wszystko co ma związek z piaskiem.

Można zwariować! Człowiek nie myśli o niczym innym jak tylko o chlebie. O chlebie i chlebie! Jest to prawdziwe szaleństwo. Zwłaszcza że wszędzie piasek i piasek.

Myślę sobie na przykład tak:

— Kiedyś musiało tu być morze. Piasek bowiem stworzony został po to tylko, żeby był granicą dla morza.

— Piasek składa się z okrągłych ziarenek. Toczy się jak los człowieka.

— Również Żydzi przyrównani są do piasku... Chude, suche, rozrzucone ziarenka. Jedno z drugim nie może się zespolic.

— I my, Żydzi, bylibyśmy tak liczni, jak ziarenka piasku na pustyni, gdyby nas nie prześladowano, nie zabijano i nie odrywano od wiary.

— A czym właściwie jest piasek? Uczeni twierdzą, że kiedyś nad morzem wznosiła się skała. Morze obmyło ją, przewróciło, po czym wrzuciło ją do grzesznego kotła i mełło ją tak długo, aż przerobiło ją na piasek.

I rabi tak długo jeszcze rozprawiał o piasku i o błędzeniu na pustyni, aż doszedł do sedna opowieści.

4. Chmara ptaków i to, co ich król opowiedział

W chwili kiedy już sądzonym mi było uwolnić się od pomyłki, nagle ujrzałem chmarę ptaków.

A chmara ptaków miała kształt trójkąta o szerokości wielu mil. Posuwała się ta chmara ptaków przede mną.

Tyłny rząd ptaków był szeroki, a im dalej w przód, rzędy były coraz węższe i węższe. Aż na samym przodzie znalazł się jeden ptak. Przewodnik chmary — król ptaków.

„Chwała Bogu — pomyślałem — że widzę coś nowego, coś innego niż piasek”. I zaraz wyległy się w mojej głowie zupełnie inne myśli.

— Dlaczego chmara ptaków ma kształt trójkąta?

<sup>20</sup>*Miszna* — pierwsza część *Talmudu*; zawiera sześć dyscyplin zwanych *sederami*, czyli porządkami. [przypis tłumacza]

<sup>21</sup>*szofar* — barani róg, w którym w tradycji żydowskiej dmie się w uroczyscie obchodzone święta (Rosz-haszana i na zakończenie święta Jom-Kipur). [przypis edytorski]

Pustynia, Błądzenie

Ptak, Zemsta

I natychmiast znalazłem odpowiedź. Zrozumiałem dlaczego. Zgodnie przecież z prawem i zasadą sprawiedliwości wszystko powinno być równe. Równe powinny być wszystkie rzędy ptaków. Chmara przeto ptaków powinna być kształt czworokąta, czworoboku. Widocznie nie wszystkie ptaki są równe. Im ważniejszy ptak, tym węższy jest rząd, w którym się znajduje. Im znaczniejszy jest, tym mniej ma koło siebie towarzyszy. Coraz więcej towarzyszy ma za sobą i coraz mniej przed sobą. I tak dochodzi to do jednego, do króla, który idzie na samym przodzie, przed wszystkimi pozostałymi. Dlatego też król jest wart tyle, ile wszyscy razem wzięci.

Ale mówi się przecież: „Prostak wyskakuje naprzód!”

Na to jest drugie wytłumaczenie:

Z przodu idzie nasz nauczyciel i mistrz, Mojżesz. Za nim nosiciele broni, orężnicy. Za nimi starszyzna, potem kapłani, lewici i na samym końcu wszyscy Izraelici. Oni stanowią najszerzy rząd. I na tym zasadza się tajemnica powiedzenia: „I przeważał Mojżesz wszystkich Izraelitów”. On szedł z przodu. Przed nim był tylko słup obłoku albo słup ognia. Żaden żywy człowiek!

Ponadto chciałem się dowiedzieć, dlaczego ptaki nie latają wysoko pod niebem, jak to jest w zwyczaju ptaków?

I przyłożyłem się do tego całym sercem. Przyjrzałem się ptakom dokładnie i zauważyłem, że prawie nie mają skrzydeł, mimo iż na pozór wyglądają jak normalne ptaki.

Miliony ptaków w ostatnich rzędach mają zamiast normalnych skrzydeł tylko jakiś ślad po skrzydłach. Te z pierwszych rzędów posiadają chudziutkie szczątki skrzydełek. Takie małe kawałeczki podobne do rybich płetw. Tylko te z przodu od czasu do czasu poruszają koniuszkami stwardniałych skrzydełek, kiedy wkładają do ust jakiś listek i wycierają sobie potem dzioby. Sam ich król mógłby pozazdrościć najpodlejszej i najleniwszej gęsi...

Dlatego ptaki nie latają.

Nie latają i nawet dobrze nie chodzą, tylko podskakują.

Chodzić zaś nie potrafią, bo mają ptasie nogi — chude, krótkie. Takie niedające się zginać patyczki.

— Z czego żyją? — Zadają sobie pytanie.

I przyglądam się im jeszcze dokładniej i zauważam, że od czasu do czasu ptaki, rząd za rządem, z błyskiem głodu w oczach nachylają głowy do piasku i wbijają weń swoje dzioby. Wygrzebują to jakieś zwiędłe liście, to zgniłe kawałki gałązek, to jakąś dziwną roślinkę, o której tylko Pan Bóg wie, jakim cudem się znalazła na pustyni.

I szybko je połykają.

Z tego właśnie żyją.

Chciałem się też dowiedzieć, dokąd zmierzają te ptaki. Czy ich droga nie jest czasem moją drogą? Czy mam się z nimi rozminąć? Zejść na prawo, czy na lewo od ich drogi? Śpieszę więc i docieram do wierzchołka trójkąta. Do króla ptaków.

A król jest i pozostaje królem. Ma czy nie ma skrzydeł, szacunek mu się należy.

Stoję przed nim, kłaniam się, z szacunkiem wymawiam stosowne powitalne błogosławieństwo i pytam go, dokąd prowadzi chmarę ptaków.

Odpowiada mi, że sam nie jest pewny, czy on prowadzi chmarę ptaków za sobą, czy też jest przez nie popychany do przodu. Ale jedno jest pewne. Wyruszają na wojnę!

— Przeciwno komu?

— Przeciwno staremu domowi.

Rozglądam się na wszystkie strony i nic innego oprócz piasku nie widzę.

Król ptaków dostrzegł w moich oczach zdziwienie i powiedział:

— Ty zobaczysz ten stary dom przed nimi, bo idziesz szybciej od nas.

— A czego chcecie od starego domu?

— Mamy z nim stare porachunki.

I powiedziawszy to, król zaczyna mi opowiadać historię wyglądającą na zadumaną<sup>22</sup> bajkę.

— Stary dom, który wcześniej od nas zobaczysz, bo szybciej niż my się poruszasz, był kiedyś olbrzymim pałacem. Mieszkali w nim liczni magnaci i magnatki.

<sup>22</sup>zadumany — tu: wydumany; wymyślony. [przypis edytorski]

I żyli owi magnaci i magnatki w dobrobycie. Wino lało się strumieniami i do uczt piekło się całe woły. Ale za mało im było tego wszystkiego. Zachciało im się muzyki do biesiad i uczt. Wyprawili więc do lasu swoje sługi, żeby wylapać wszystkie śpiewające tam ptaki. Ci rozkaz panów wykonali. Ptaki wylapali i wsadzili do klatek, żeby swoim śpiewem umilały biesiadnikom żarcie i picie.

I od tego czasu las zamilkł. Z tęsknoty za utraconymi ptakami, które dawniej śpiewały wśród gałęzi i liści drzew, las zaczął chorować. Z dnia na dzień coraz bardziej chudł i marniał. Aż zupełnie zniknął w piasku, z którego wygrzebujemy resztki jego gałęzek i liści.

Ptakom w klatkach także się nie powiodło lepiej. Wprawdzie je karmili cukierkami, ale w ciasnych klatkach nie mogły rozwinąć skrzydeł.

Stopniowo zaczęły chudnąć, maleć i zanikać, jak drzewa z lasu, z ich rodzinnego domu...

My zaś — ciągnął dalej król — jesteśmy prawnukami tamtych ptaków. Popatrz na moje skrzydła. A ja przecież jestem królem... inne ptaki i tego już nie mają. Teraz właśnie nadszedł czas, żeby wyruszyć na wojnę przeciwko staremu domowi.

— Co chcecie z nim zrobić?

— Chcemy go zburzyć. Rozwalimy stare mury. Rozkruszymy je na kamyczki, a kamyczki rozetrzemy na piasek, piasek na pył. Pył zaś połkniemy, żeby oszukać głodne żołądki.

— Czy uda wam się pokonać dom?

— Dom już jest stary. W jego wnętrzu działają nasi współnicy — korniki. Pracują dniem i nocą... dom wcale nie jest taki mocny, jak się wydaje z zewnątrz. Teraz z całą pewnością nie jest mocny. A gdyby nawet okazał się mocny, gdyby był mocny jak skała wznosząca się nad morzem, to przecież my jesteśmy morskimi ptakami i na pewno go zburzymy.

— Czy ktoś mieszka w tym domu?

— Tak, prawnuki starych magnatów. Ich resztki.

— I co z nimi zrobicie?

— To samo co z murami. Rozkruszymy na pył i połkniemy.

Z początku dom ich może będzie nam smakował... a może nie... ale zemścić się musimy.

— A zemsty — powiada rabi Nachmanke — nienawidzę. Zemsta mnie przeraża. I wprawilem nogi w ruch i ruszyłem w dalszą drogę.

##### 5. W starym domu

Nie uszedłem zbyt daleko, gdy nagle zobaczyłem przed sobą stary dom. Duży dom na górze... Kamienne mury, żelazny dach... dookoła jednak i nad domem unosiła się już melancholia. Wydawało się, że już za chwilę dom się zapadnie. Góra jest piaskowa. Mury domu kruszą się. Żelazo zjada rdza. Ci zaś, którzy mieszkają wewnątrz, nie widzą tego. I ogarnia mnie litość nad tymi, którzy zaufali kamieniowi i żelazu, nie zdając sobie sprawy, że wewnątrz drewna działają korniki. Nie mają pojęcia o chmarach ptaków, które przylatują z zewnątrz... śpieszę więc do starego domu, żeby ostrzec jego mieszkańców.

Podchodzę bliżej i wreszcie swobodnie wchodzę do wnętrza starego domu. Brama i drzwi były otwarte. Szukam żywego człowieka i nie znajduję. Przechodzę z jednego do drugiego pokoju i nic. I ogarnia mnie nagle tęsknota za ludzkim głosem. Nic z tego. Takowego nie słyszę.

I dalej przechodzę od jednego pokoju do drugiego. I każdy następny pokój jest bogatszy od poprzedniego.

Ściany pokoi obwieszane są starymi portretami. Niektóre jeszcze z czasów przed potopem. Niektóre sprzed pokolenia, które budowało wieżę Babel. Ramy jednak portretów zostały już dokładnie podziurawione przez korniki.

Portrety są już poźółkłe i w wielu miejscach poplamione. Już nikogo nie można na nich poznać.

I jedwabne firanki i złote pasy wiszą na oknach. One także są nadgryzione i postrzępione. A na przeżartych meblach leżą prawdziwe skarby: naczynia ze złota i srebra oraz



inne bardzo cenne rzeczy. Wyglądają jednak jak osierocone i opuszczone. Bez ręki, która by je głaskała. Bez oka, które by czerpało z nich zadowolenie.

I na podłogach rozpostarte są dywany o długim, srebrnym i złotym włosiu... wchłaniają szelest stawianych na nich kroków. Są pokryte kurzem i w wielu miejscach wyliniały, gołe niczym głowa starego rozpustnika.

Zrobiło mi się jakoś ciężko na duszy. Ze smutkiem stwierdziłem, że nie ma kogo ocalić. W tym domu wszystko wymarło. Ruina! I raptem usłyszałem ludzkie głosy. Ucieszyłem się i poszedłem w kierunku owych głosów. I oto znalazłem się w ostatnim bocznym pokoju tego starego domu.

#### 6. W bocznym pokoju

Boczny pokój był przestronny i duży niczym pole. Były w nim trzy okna. Jedno po prawej stronie, drugie po lewej, trzecie zaś w środku — przede mną.

Przez wszystkie jednak okna nie przedostawał się do pokoju najmniejszy nawet promień światła. Nawet w dzień pogodny, jasny i słoneczny.

Prawe i środkowe okno było po prostu zamurowane. Niezamurowane było tylko lewe okno. Za to miało pod spodem ciężki, złoty szlak.

Z sufitu zwisała mała czerwona lampa, która rzucała skąpe, czerwone promienie na stojący w pokoju stół.

Walały się na nim stare pisma, stare pergaminowe księgi, na których widniały stare czerwone, woskowe pieczęcie, niesamowicie duże i jaskrawe.

I wokół stołu stali ludzie pochyleni nad pismami. Każdy pochylony nad swoim pergaminowym zwojem z czerwoną woskową pieczęcią. Stali i nad czymś radzili.

Pełen szacunku dla tych ludzi zatrzymałem się na progu pokoju i czekałem aż mnie zauważą i przywoławszy mnie, zapytają, po co przyszedłem. Czekam, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nikt mnie nie przywołuje.

Strasznie zajęci byli rozmową. Niechcący więc stałem się słuchaczem ich namiętej dyskusji. Z tego, co mimo woli usłyszałem, wywnioskowałem, że nie mam im nic nowego do przekazania. Żadnej nowiny, która by ich zaskoczyła. Wszystko sami wiedzą i właśnie radzą, jak zabezpieczyć się przed grożącym im niebezpieczeństwem.

Jeden z dyskutujących powiada:

— Trzeba wyruszyć na wojnę przeciwko ptakom... należy zebrać i uzbroić sługi...

Okazuje się, że mieszkańców starego domu jest mało. Na dodatek wszyscy są wypasieni i tłuści, zbyt nieruchawi, żeby móc toczyć walkę. Sług już dawno nie ma w domu. Uciekli jak szczury z tonącego okrętu.

Następny z dyskutantów radzi:

— Trzeba zamknąć i zaryglować drzwi, okna i bramy i bronić się jak najdłużej. Nawet całymi latami. Trwać w oblężeniu.

Ta rada wydaje mi się głupia. Zamki i rygle są stare. Zzarte przez rdzę. Nijak nie dadzą się obrócić ani nawet ruszyć.

Odzywa się trzeci:

— Wszystko przepadło. Należy skłonić głowy i serdecznie przywitać ptaki. Tak jak się wita miłych gości. Poczekamy, aż sobie pójdą. Przyjdą i przejdą.

— Ale kto wie, czy kiedyś odejdą. Dokąd? Zresztą nie ma czym ich ugościć... Wina i jadła nigdy nie wystarczyło nawet dla nas wszystkich.

Inny znowu wpada na taki pomysł:

— Przebierzmy się — powiada — za ptaki i wyjdźmy na pustynię. Tam przyłączymy się do chmary ptaków i razem z nimi będziemy dziobali i gryźli starą trawę w piasku. Razem z nimi zaczniemy kłąć i ruszymy na podbój starego domu. Grunt, żeby przeżyć!

Ta rada wydała mi się jeszcze głupsza od poprzedniej. Mimo trapiących ich zmartwień, ciała ich były jeszcze bardzo obrosłe w mięso. I przy tym wszystkim żadnego śladu skrzydeł.

Skąd wziąć skrzydła?

I raptem wszyscy zamilkli i utonęli w smutku. Tymczasem ja rzuciłem okiem w bok i zauważyłem siedzącego samotnie starego, siwego męża, który z uwagą przysłuchiwał się dyskutującym.

Był to dla mnie jakiś dziwny starzec... Na jego czole spoczywała chmura, ale w starych oczach błyszczała stal. Wokół warg błąkał się gorzkawy uśmiech.

I pomyślałem sobie: on z pewnością jest najmądrzejszy z mieszkańców tego domu. Dlaczego więc milczy? Czyżby doprawdy nie było żadnego wyjścia?

I jakby w odpowiedzi na moje nieme pytanie odezwał się młody człowiek.

Zdaje mi się, że najmłodszy z nich wszystkich:

— Można mieć skrzydła! Z czasem wszyscy potrafią je mieć!

— W jaki sposób? — padają pytania.

— Weźcie — woła młodzieniec — wszystkie stare pisma i spalcie je. Spalcie te wszystkie pergaminowe pisma z czerwonymi, woskowymi podpisami i stemplami. Wyłamcie okna i pozwólcie popiołowi ze spalonych pism wylecieć. Niechaj jego pył zakurzy ziemię od krańca do krańca.

Ten najmłodszy mieszkaniec starego domu był kabalistą. Wiedział, że spalenie starych pism jest wypróbowanym lekarstwem, świętą *segulą*<sup>23</sup> na to, żeby wyrosły skrzydła, jeśli takowe ma się w sobie, w swoim wnętrzu.

I młody człowiek robi to, co powiedział. Wskakuje na stół, bierze pisma i przykłada je do czerwonego płomienia lampy, po chwili w górę unosi się cienka smuga dymu.

I oto widzę, że w jego ślady podążają następni. Z pismami w drżących rękach wchodzi na stół i także chcą dosięgnąć płomienia. Tego płomienia, który oczyści ich ze zbytniego mięsa i tłuszczu na ciele, i wtedy wyrosną im skrzydła. Ci, którym nie starczyło miejsca na stole, podbiegają do okien i chcą je wywalić.

A wtedy, niczym lew, zerwał się starzec i ryknął na cały głos:

— Fałszerze, mordercy, podpalacze!

I kiedy wyprostował się wyglądał jak żelazny filar. Stanął na czubkach palców i dosięgnąwszy lampy jednym dmuchnięciem zgasił ją.

W bocznym pokoju zapadła cisza.

7. Bez końca

A jaki jest koniec opowieści? Zapytali rabiego Nachmanke, kiedy ten umilkł.

— Opowieść nie ma końca — odpowiedział rabi Nachmanke. — Ptaki bowiem ze skrzydłami jak rybnie płetwy, ze znikomymi tylko śladami skrzydeł i nogami jak chude patyczki nie tak szybko dotrą do starego domu...

---

<sup>23</sup>*segula* — coś w rodzaju panaceum, cudownego środka. [przypis tłumacza]

# KABALIŚCI

W złych czasach wszystko podupada. Nawet nauka.

Z jeszywy<sup>24</sup> w Łoszczycach pozostał tylko jej przełożony, rabi Jekl i jeden, jedyny uczeń.

Przełożony jeszywy to posunięty w latach, chudy Żyd o rozwichrzonej brodzie i starzych, wygasłych oczach. Jego umiłowany uczeń to wysoki młodzieniec o bladej twarzy, obramowanej czarnymi, kręconymi pejsami. Oczy podkrążone, czarne, płonące. Wargi spalone, spiczasta grdyka w ciągłym ruchu. I jeden, i drugi nie noszą koszul. Obydwaj mają na sobie lachmany... Przełożony człapie w zbyt dużych chłopskich butach. Uczeń nie nosi skarpet. Nic dziwnego, że pantofle ześlizgują mu się z nóg.

Jest to wszystko, co pozostało ze sławnej szkoły talmudycznej.

Podupadłe i zbiedniałe miasteczko coraz mniej jadła nosi do jeszywy. Coraz rzadziej jego mieszkańcy zapraszają uczniów jeszywy do swoich stołów. Nie dziw więc, że uczniowie rozjechali się na wszystkie strony świata. Rabi Jekl pragnie jednak umrzeć tutaj, a jego uczeń pragnie zamknąć mu oczy swoimi rękami.

I obaj często znoszą głód. I w ślad za niedojadaniem przychodzi bezsenność. Z bezsennych nocy rodzi się skłonność do mistyki, do kabały. Tak czy inaczej, w nocy czuwają, a w dzień głodują. Niech więc będzie jakiś pożytek z tego. Niech posty i stałe umartwianie ciała otworzą im wszystkie bramy świata, za którymi kryją się tajemnice, za którymi przebywają duchy i anioły.

Toteż od pewnego czasu obaj ślęczą nad kabałą. Właśnie siedzą przy długim stole. Oprócz nich nie ma nikogo w bóżnicy. Normalnie ludzie są już po obiedzie. Oni jeszcze nie jedli śniadania. Do tego są przyzwyczajeni. Przełożony jeszywy ma przymknięte oczy i coś tam mówi. Uczeń podparł rękoma głowę i słucha.

— Rzecz w tym — mówi przełożony — że jest wiele prób i wiele stopni do osiągnięcia doskonałości ducha. Do opanowania melodii ducha. Jeden zna część, drugi połowę, trzeci zaś zna całą melodię. Cadyk<sup>25</sup>, oby imię jego było błogosławione, zna całą melodię. Ja — dodał ze smutkiem — znam zaledwie jej cząsteczkę, od taką maciupenką cząsteczkę tej melodii. — I mówiąc to odmierzył na swoim chudym palcu małą cząsteczkę.

— Jest melodia — ciągnął dalej — która potrzebuje słów... Jest to bardzo niska próba. Najniższy stopień poznania...

Jest wyższa próba... Jest to melodia, która sama wyraża się śpiewem. Sama śpiewa, ale bez słów. Jest to czysta melodia! Melodia jednak powinna jeszcze posiadać głos... I wargi, przez które wychodzi. A wargi, rozumiesz mnie, to coś z materii. A głos, choćby nawet był najdelikatniejszy z delikatnych, jest mimo to materią. Dobrze, niech będzie, że głos znajduje się na granicy między duchowością, a materialnością.

Ale melodia, której głos jest słyszalny, która zależna jest od warg, i tak nie jest jeszcze czysta. Powiedzmy, całkowicie czysta... Nie jest jeszcze prawdziwą duchowością.

Prawdziwa melodia to ta, która sama się śpiewa, bez głosu...

Śpiewana jest wewnątrz, w sercu. W głębi jaźni.

Tajemny sens tego, co przed chwilą powiedziałem, wyrażony został w słowach króla Dawida: „Wszystkie moje kości powiedzą...”. Melodia powinna dźwięczeć w szpiku kości... Tam powinna brzmieć melodia wyrażająca najwyższą chwałę dla Wszechmogącego. Nie jest to melodia człowieka zwykłego, melodia zwykłego zjadacza chleba. Nie jest to też melodia *wymyślona*. W pewnej mierze jest to już część owej melodii, z której Bóg stworzył świat. Jest to część duszy, którą Bóg tchnął w świat...

Tak śpiewają aniołowie z najbliższego otoczenia Boga. Tak śpiewa to, co jest samą istotą żydowskości.

Nagle rozważania przełożonego zostają przerwane. Do bóżnicy wchodzi młody, krzepki człowiek. Biodra ma opasane sznurem. Tragarz. Stawia na stole przed przełożonym miskę gorącej kaszy. Obok niej kładzie pajdę chleba. Grubym głosem powiada: „Reb Tebl posyła rabiemu jedzenie”. Obraca się na pięcie i wychodzi. Na progu dodaje: „Po miskę przyjdę później”.

<sup>24</sup>jeszywa — wyższa szkoła talmudyczna. [przypis tłumacza]

<sup>25</sup>cadyk — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

Wyrwany grubym głosem tragarza ze sfery niebiańskiej harmonii przełożony jeszywy podnosi się z ławki. Wlokąc za sobą swoje duże buty, powoli podchodzi do umywalki.

Podchodząc, dalej snuje swoje rozważania. W jego mowie nie ma już jednak poprzedniego zapалу. Uczeń chodzi za nim. Słucha go uważnie. Uszy ma otwarte. W oczach skrzą mu się błyski.

— Ale — kontynuuje smutnym głosem rabi Jekl — ja sam nie miałem szczęścia przejść z powodzeniem tej próby. Widzisz — dodaje z uśmiechem — umartwiania ciała dokonałem i właściwe imiona boskie poznałem. Być może, że dziś jeszcze podam ci je.

Uczniowi ze wzruszenia oczy niemal z orbit wylażą. Ma usta otwarte. Nie chce uronić najmniejszego nawet słowa swego nauczyciela. Nagle rabi milknie. Myje ręce, wyciera je w ręcznik i wypowiada odpowiedni werset modlitwy. Wraca do stołu i cichym, drżącym głosem odmawia błogosławieństwo nad chlebem.

Drżącymi rękoma podnosi miskę. Unosząca się z niej para zakrywa ciepłą mgielką jego kościstą twarz. Po chwili stawia miskę z powrotem na stół. Prawą ręką bierze łyżkę, lewą zaś, by ją ogrzać przykładą do brzegu miski. Jednocześnie językiem przyciska resztki chleba z solą do gołych dziąseł i rozgniata je.

Ogrzawszy twarz i ręce, marszczy czoło, ściąga sine, chude wargi i zaczyna dmuchać.

A uczeń przez cały czas nie spuszcza z niego oka. I kiedy drżące usta przełożonego dotykają pierwszej łyżki kaszy, coś go chwyta za serce. Zakrywa dłońmi twarz i w mig cały się kurczy.

W kilka chwil potem w bóżnicy zjawia się następny człowiek. Przynosi miskę kaszy i pajdę chleba.

„Reb Josef przysłał śniadanie dla ucznia”.

Uczeń jednak nie reaguje. Nie zdejmuje dłoni z twarzy.

Przełożony odkłada łyżkę i podchodzi do ucznia. Przez dłuższą chwilę wpatruje się w niego. W jego spojrzeniu widać miłość i dumę. Owija rękę w połę kapoty i lekko dotyka jego ramienia.

Przyjaznym, tkliwym głosem budzi go: „Przynieśli dla ciebie jedzenie”. Uczeń powoli zdejmuje ręce z twarzy. Odślonięta twarz tchnie smutkiem. Jest bledsza niż była, a podkrążone oczy płoną jakby szalonym ogniem.

— Wiem rabi! Dzisiaj jednak nie będę jadł.

— Czwarty post? I to beze mnie — dodaje rabi z wyrzutem w głosie.

— To zupełnie inny post. To jest pokutny post.

— Co ty mówisz? Ty i pokutny post?

— Tak, rabi. Pokutny post... Przed chwilą, kiedy tylko rabi zaczął jeść, nawiedziła mnie grzeszna myśl, aby sprzeniewierzyć się przykazaniu „nie pożądaj”...

Tej samej nocy uczeń obudził swego nauczyciela. Obydwaj spali na ławkach bóżnicy.

— Rabi, rabi — zawołał słabym głosem.

— Co się stało? — rabi był przerażony.

— Przed chwilą byłem w najwyższym rejonie.

— Jak? Jak to było? — sennym głosem pyta rabi.

— Melodia śpiewała we mnie!

Przełożony jeszywy aż przysiadł z wrażenia.

— Jak? Jak?

— Sam nie wiem — słabym głosem odpowiedział uczeń. — Nie mogąc zasnąć, zacząłem wglębiać się w to, o czym mówił mi rabi. Zapragnąłem poznać tę melodię. Z wielkiego żalu, że jej nie znam, rozplakałem się... I wszystko zaczęło we mnie płakać. Wszystkie członki mego ciała płakały przed Twórcą. Wymówiłem wszystkie Imiona Boskie, które rabi mi podał. I stała się rzecz niezwykła. Istny cud. Wymawiałem je nie ustami. To wszystko było we mnie. W środku. Same mówiły. I nagle zrobiło mi się jasno. Oczy miałem zamknięte, a mimo to było mi jasno. Nawet bardzo jasno. Niezwykle jasno!

— I co dalej? — przełożony jeszywy nachyla się nad uczniem.

— A potem, od tego światła, od tej powodzi jasności zrobiło mi się na sercu tak jakoś dobrze, tak jakoś lekko... Zdawało mi się, że nic nie ważę, że ciało moje utraciło ciężar, że mogę swobodnie się unieść w powietrze i latać...

— To jest to!

Muzyka, Bóg, Święty,  
Modlitwa, Wizja,  
Pobożność

— A potem zrobiło mi się wesoło na duszy. Stałem się jakoś żywszy, skory do śmiechu. Twarz moja pozostała nieruchoma, wargi nie poruszały się, a mimo to nie opuszczał mnie śmiech... Śmiałem się dobrym, wspaniałym, serdecznym, pełnym zadowolenia, śmiechem.

— To jest to! To z radości!

— A potem coś we mnie zadźwięczało. Było to coś w rodzaju początku melodii.

Przełożony jeszywy zerwał się z ławki i jednym susem zbliżył się do swego ucznia.

— No, i co dalej?

— Potem usłyszałem, jak we mnie coś się rozśpiewało.

— Coś wtedy czuł? Co? Powiedz!

— Czulem, że wszystkie moje zmysły są jakby zatkane, a wewnątrz mnie coś śpiewa...

A śpiewa tak, jak się należy. Bez słów. Ot tak...

— Jak? Jak?

— Nie. Nie pamiętam. Teraz nie umiem... Przedtem umiałem... a potem z tego śpiewu zrobiło się, zrobiło się...

— Co się zrobiło?

— Coś w rodzaju gry... Jakbym miał w swoim wnętrzu skrzypce. Jakby we mnie siedział Jojne klezmer<sup>26</sup> i grał *Zmires*<sup>27</sup>, jak to się czyni przy stole rabiego. Ta gra była jednak o wiele doskonalsza, o wiele delikatniejsza. Było w niej więcej z ducha. A cała gra odbywała się bez głosu. Bez najmniejszego głosu. Sama duchowość!

— Tobie jest dobrze. Masz szczęście!

— Ale teraz wszystko minęło. Wszystko zniknęło. — Uczeń wypowiada to z głębokim smutkiem. — Znowu otworzyły mi się wszystkie zmysły. Jestem zmęczony. Okrutnie zmęczony. Tak zmęczony, że... — Nie kończy zdania. Nagle chwyta się za serce i wydaje okrzyk: „Rabi! Niech rabi odmówi ze mną *widuj*<sup>28</sup>. Przyszli już po mnie. Tam w niebiosach zabrakło małego śpiewaka. Anioł o białych skrzydłach! Rabi! Rabi! *Szma Izrael*<sup>29</sup>! *Szma Izra...*”.

Wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miasteczka życzyli sobie umrzeć taką śmiercią. Dla przełożonego jeszywy było to jednak za mało.

— Jeszcze — powiedział wzdychając — kilka postów, a umarłby z pocałunkiem Boga na twarzy<sup>30</sup>.

Śmierć, Święty, Pobożność

<sup>26</sup>klezmer — muzykant, grajek. [przypis tłumacza]

<sup>27</sup>Zmires — pieśni śpiewane przy stole podczas uczyt sobotniej. [przypis tłumacza]

<sup>28</sup>widuj — spowiedź przedśmiertna. [przypis tłumacza]

<sup>29</sup>Szma Israel — *Słuchaj Izraelu*, modlitwa, wyznanie wiary w jedyne Boga. [przypis tłumacza]

<sup>30</sup>umarłby z pocałunkiem Boga na twarzy — z pocałunkiem Boga umarł Mojżesz. [przypis tłumacza]

# CYBUCH RABIEGO

Wszyscy, i to nie tylko starzy Żydzi, pamiętają czasy, kiedy Sara-Rywka nie miała ani dzieci, ani nawet chleba w domu.

Zwyczajnego, powszedniego chleba.

Jej mąż Chaim-Boruch był wytrwałym, gorliwym chasydem<sup>31</sup>. Był nim, rzecz można, od samego początku. Od chwili, kiedy jego błogiej pamięci teść (porządny był z niego człowiek) sprowadził go spod Lublina.

Ludzie od razu się na nim poznali. Dostrzegli w nim arcy-pobożnego Żyda, stanowiącego widomy znak boskiego błogosławieństwa. Widzieli w nim człowieka, który potrafi sprowadzić mesjasza. W najgorszym wypadku wyglądał na cudotwórcę, który potrafi ze zwykłej ściany wysączyć wino.

W jego głęboko osadzonych oczach błyskało jakieś ukryte światelko. Jakby w ciemnej izbie kręcił się człowiek z zapaloną świecą.

Był blady na twarzy, ale przy byle jakiejś, godnej uwagi, okazji oblicze jego rozkwitało jak róża na słońcu. Być może pozostawało to w związku z jego bardzo delikatną, cieniutką nad wyraz skórą.

W jego skroniach zawsze można było dostrzec jakiś ruch. Coś tam nieustannie stukało. Na biodrach miał józefowski gartel<sup>32</sup>, upleciony z dziesięciu chyba sznurów. Jego sposób studiowania *Pisma* nie był zwyczajny. On zanurzał się głęboko w morzu *Tory*<sup>33</sup>. Studiował też *Zohar*, *Ec-hachaim*<sup>34</sup>.

Z rabim spędzał długie godziny w całkowitym milczeniu. Nie zamieniali między sobą ani jednego słowa. Wszystko, co mieli do powiedzenia, wyrażali gestem lub spojrzeniem. Po tym wszystkim proszę mi powiedzieć, czy z takim człowiekiem jak Chaim-Boruch można rozmawiać na temat *parnose*, czyli o zarobkowej pracy.

Dlaczego w *beit-hamidraszu*<sup>35</sup> nazywano go nie inaczej jak tylko Chaim-Boruch Sary-Rywki, albo mąż Sary-Rywki? Dlaczego wszystkie Bramy Rozumu łączyły go zawsze z garnkiem grochu i drożdżami, którymi handlowała jego żona Sara-Rywka? Tego nikt nie zrozumie. Sama Sara-Rywka miała z tego powodu ogromne zmartwienie. Prawda, w głębi serca czuła się zaszczycona tym, że nazywano go jej imieniem. Zdawała sobie bowiem sprawę, że dzięki temu zażywa i ona trochę przyjemności na tym świecie.

Kilka razy w tygodniu zwykła była wstępować do *beit-hamidraszu* z garnkiem grochu. Wtedy jeszybotnicy<sup>36</sup> studiujący *Pismo* uprzedzali krzykiem Chaima-Borucha:

— Chaimie-Boruchu, twoja żywicielka nadchodzi!

On zaś z daleka już wyczuł jej zbliżające się kroki, bo natychmiast zanurzał twarz w księdze *Zohar*. Sara-Rywka, mimo iż nad pulpitem drgał jeszcze czubek jego zatłuszczonej i zapierzonej jarmułki, starała się nie zwracać na niego uwagi. W ogóle nie patrzyła w jego stronę. Nie chciała widzieć, jak szechina<sup>37</sup> unosi się nad głową męża pogrążonego w nauce. Byłaby to nadzwyczajna dla niej rozkosz, ona zaś nie pragnęła zażywać rozkoszy na tym świecie. Cała przyjemność i wszystko, co jest miłe, powinno zostać dla niej na tamtym świecie. Ale jednocześnie czuje, jak serce jej wypełnia się przyjemnym ciepłem.

Kiedy wychodzi z *beit-hamidraszu*, jest już inną kobietą. Jakoś urosła, jakoś stała się ważniejsza. W oczach pojawiły się jasne błyski. Wcale nie wygląda na kobietę, która od dwudziestu kilku lat jest już mężatką. Śladu zmarszczek na czole. Oblana rumieńcem twarzyczka jest pełna wdzięku. Jakby dopiero co wyszła spod ślubnego baldachimu.

<sup>31</sup>*chasyd* a. *chasyd* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szemtowa. [przypis tłumacza]

<sup>32</sup>*gartel* — pleciony sznur zastępujący pas. [przypis tłumacza]

<sup>33</sup>*Tora* — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też Pięcioksięgiem lub księgami Mojżeszowymi, nazwa ta nie wskazuje autora ksiąg, lecz to, że ich podstawą jest tzw. prawo Mojżeszowe; *Tora* opisuje genezę i rozwój prawa na tle wydarzeń historycznych lub uważanych za historyczne. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*Zohar*, *Ec-hachaim* — księgi kabalistyczne. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedrasz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; działał jak instytucja, bardzo ważna szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jesziwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*jeszybotnicy* a. *jeszywotnicy* — studenci żydowskiej szkoły rabinicznej. [przypis tłumacza]

<sup>37</sup>*szechina* — Boska obecność, Duch święty. [przypis tłumacza]

I kiedy sama to sobie uprzytamnia, ogarnia ją zmartwienie.

— Co — myśli z niepokojem — pozostanie mi na tamtym świecie? Przyjdę tam jak oskubana gęś. Bez śladu zasług na ciele... Co dobrego uczyniłam na tym świecie? Czy należy do zasług to, że chodziłam po ulicy z garnkiem grochu czy roznosiłam po domach drożdże? I co miał ze mnie mąż?

Dopóki ojciec mój żył, wszystko się jakoś dobrze układało. Był dom, a w nim było co jeść i pić. A dzisiaj? Oby się naszym wrogom tak powodziło! Posag gdzieś przepadł, domek został sprzedany. Na śniadanie kartofle z wodą. Na kolację zupka z wczorajszym obwarzankiem.

Oto jak wygląda życie mego męża na tym świecie.

Od siedmiu lat nie sprawiła mu nawet najmarniejszej kapoty. Od jednej Paschy<sup>38</sup> do drugiej Paschy — czapka, para butów z cholewami i nic więcej.

W wigilię soboty podaje mu czystą koszulę, ale pożał się Boże, co to za koszula! Istna pajęczyna.

Z powodu tych koszul nosi już okulary. Ceruje je i ceruje, i nic z tego cerowania.

I zwracając się myślą ku Bogu powiada:

„Panie świata, kiedy na tamtym świecie położą na jednej szali wagi jedną literę z *Tory* mego męża, a na drugiej szali położą wszystkie moje zupki i kartofle razem z moimi oczami... to co przeważy?”

Ona nawet wie, że to co zostało na tym świecie związane, zostało potwierdzone na tamtym świecie. Wie, że tam nie tak prędko oddziela się mąż od żony. Zresztą, czy on, jej mąż, na to pozwoli? Na pewno nie. To przecież wspaniały człowiek, prawdziwy skarb. Przecież doskonale widzi, że Chaim-Boruch chce, żeby ona także korzystała z jedzenia, które dla niego przygotowała. Nie mówi tego, bo głupio by to wyglądało. Wystarczy mu mrugnąć oczami, żeby ona to rozumiała.

Kiedy jednak ona udaje, że nie rozumie, o co mu chodzi, Chaim-Boruch zaczyna mruczeć, tak jak odmawiając Osiemnaście Błogosławieństw.

Nie! Z całą pewnością nie pozwoli. Nie zgodzi się samemu zasiadać w raju w gronie cadyków<sup>39</sup> i patriarchów, podczas gdy ona miałaby się błąkać w świecie chaosu i zamętu czy w dzikich lasach.

Ale czy jego sprzeciw pomoże jej? Po pierwsze będzie się wstydziła spojrzeć w oczy pramatkom. Spali się ze wstydu. Po drugie, jest bezdzietna, a lata lecą. Nie stoją w miejscu.

Już siedem lat, jak mieszkają razem. Po trzech latach krzyk o rozwód.

Czy ona potrafi odezwać się do niego innym słowem niż rozwód?

Inna więc kobieta będzie jego podnóżkiem w raju, a ona, Bóg wie, z jakimś krawcem poniewierać się będzie gdzieś w piekle.

A co? Należał się jej lepszy los? Nieraz nawiedza ją we śnie jakiś krawiec lub szewc. Zrywa się wtedy z lamentem. Obudzony jej płaczem Chaim-Boruch przeżywa strach.

Czasem w nocy, kiedy światło się nie pali, odzywa się do niej. Pyta, co ją gnębi. Ona odpowiada krótko: „Nic!”

Ona płacze i błaga Boga, żeby zesłał błogosławieństwo na jej groch i drożdże. On zaś był naprawdę wspaniały. Słyszając jej płacz pomyślał: „Głupia baba. O co jej chodzi?” Niezależnie jednak od wszystkiego, trzeba coś zrobić. Może wtedy zje coś. Weźmie coś do ust.

Szukał rady w księgach. Czytał, chcąc znaleźć stosowny sposób. Często jednak bywa tak, że bardzo poszukiwana rzecz nie zostaje odnaleziona. Takie rzeczy odnajduje się na ogół w sposób niespodziewany.

Czasem wydawało mu się, że jest już na właściwej drodze, że znalazł już sposób, ale wtedy do sprawy wtrąca się szatan, który miesza mu szyki. Zmuszony jest zacząć poszukiwania od samego początku.

Po głębokim zastanowieniu doszedł do wniosku, że musi się poradzić rabiego, oby długo żył.

Rozmowa z rabim jednak się nie kleiła.

<sup>38</sup>*Pascha* a. *Pesach* — Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu; Wielkanoc. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*cadyk* — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

Raz rabi nie dosłyszał słów Chaima-Borucha, bo myślami był gdzie indziej, raz, wysłuchawszy go, kiwnął tylko głową. Za trzecim razem oświadczył:

— Hm! Sądzę, że słusznym byłoby... — Nie zdążył dokończyć zdania, bo nagle ktoś niespodziewanie wszedł do pokoju.

Nie zrażony niepowodzeniem Chaim-Boruch jeszcze raz udał się do rabiego i zapytał go:

— Nu, rabi?

— Nu! Nu! — odpowiedział rabi i na tym rozmowa się skończyła.

Po pewnym czasie, a było to przed nadejściem soboty, Chaim-Boruch, siedząc w domu rabiego, nagle westchnął. Rozzłościł się rabi i powiedział:

— Nie godzi się to z panującym u mnie obyczajem. Mój chasyd nie ma zwyczaju wdychać. A o co chodzi?

— O drożdże — odpowiada Chaim-Boruch.

— We wszystkich zakątkach żydowskiej diaspory zdążono już upiec chały. W piątek po godzinie dwunastej nie mówi się już o drożdżach.

Następnego dnia, w wieczór kończący sobotę Chaim-Boruch dokładniej wyjaśnił rabiemu, o co mu chodzi. Powiedział:

— Może rabi zajmie się tą sprawą?

— A ty nie jesteś w stanie się nią zająć? Czy, broń Boże, przed twoją modlitwą niebo jest zamknięte?

Chaim-Boruch słowa „broń Boże” wyraźnie usłyszał i kamień natychmiast spadł mu z serca. Minęło jednak kilka miesięcy i nic się nie działo.

Na święto Rosz-haszana<sup>40</sup> Chaim-Boruch znowu udał się do rabiego.

Kiedy święto dobiegło końca, rabi nagle uderzył Chaima-Borucha po plecach i zapytał go:

— Czego ci potrzeba, Chaimie-Boruchu?

— Niczego! — odpowiedział zawstydzony Chaim-Boruch.

— Kłamiesz! Czegoś ci potrzeba!

— Czego? — pyta zdumiony Chaim-Boruch i czuje, jak do ust napływają mu słowa: „Potrzebne jest błogosławieństwo na groch i drożdże”.

Rabi nie daje mu dalej mówić i cedząc powoli każde słowo, jakby miało wartość perły oświadcza:

— Tobie, Chaimie-Boruchu potrzebny jest cybuch!

Zebrany w bóżnicy tłum nie posiada się ze zdumienia. Rabi zaś ciągnie dalej:

— Ty używasz przy paleniu takiej zwykłej furmańskiej małej fajeczki.

Słyszając to Chaim-Boruch się poruszył. Z ust wyslizgnęła mu się fajeczka. Z trudnością zdołał wybąkać jedno zdanie:

— Dobrze, powiem to Sarze-Rywce.

— Tak, powiedz jej, żeby ci kupiła dużą fajkę. Taki duży cybuch jak mój. Weź go na miarę.

I mówiąc to rabi wręczył mu swój święteczny cybuch.

Na tym rozmowa i cała sprawa się skończyła. Zanim jednak zdążył wrócić do domu, całe miasteczko już wiedziało o tym, co zaszło. O tym, że Chaim-Boruch wiezie z sobą cybuch od rabiego.

Ludzie na ulicach i w mieszkaniach zadawali sobie pytania:

— Do czego i na co przydać się może cybuch rabiego?

I zadając sobie to pytanie, jednocześnie znajdowali na nie odpowiedź!

— To z pewnością środek na urodzenie dzieci. Chaim-Boruch, zdaje się, choruje na to, na co chorują wszyscy uczeni. Z pewnością dym ze świętecznej fajki rabiego odniesie pożądany skutek. Aha! I jeszcze coś! Sara-Rywka choruje na oczy. Ma dwadzieścia dwa lata i już nosi okulary. Rabi z pewnością miał ją na względzie. Przecież to żona samego Chaima-Borucha. Nie byle kto.

A mówiąc ogólnie, może pomóc na wszystko. Zwłaszcza jego święteczny.

<sup>40</sup>Rosz-haszana — żydowski Nowy Rok, inaczej: Święto Trąbek; święto upamiętniające pierwszy dzień stworzenia świata; w religii żydowskiej wierzy się, że w Rosz-haszana Bóg ocenia ludzi i zapisuje ich losy w dwóch księgach: sprawiedliwych wpisuje do *Księgi Życia*, grzeszników do *Księgi Śmierci*, pozostali ludzie mają 10 dni na poprawę (czas do święta Jom Kipur, Dnia Pojednania). [przypis edytorski]



I zanim Chaim-Boruch zdążył zsiąść z wozu, otoczył go tłum ludzi. Każdy chciał wypożyczyć od niego cybuch. Na miesiąc, na tydzień, na godzinę, na krótką choćby chwilę. Ludzie chcą go za to ozłocić.

Na ich pytanie, czy cybuch pomoże, odpowiada:

— A bo ja wiem? Spytajcie Sarę-Rywkę.

Jego słowa okazały się prorocze.

Sara-Rywka korzysta z cybucha w znakomity sposób. Za jedno pociągnięcie z cybucha bierze osiemnaście groszy. Ani grosza mniej.

I cybuch pomaga. I ludzie płacą. A Sara-Rywka ma już własny domek i piękny sklepik. I dużo w sklepiku drożdży i grochu oraz wiele innych towarów.

Wyzdrowiała. Przytyła i wyprostowała się. Mężowi sprawiła nową bieliznę. Okulary zarzuciła. Przed kilkoma tygodniami przyszli do niej po cybuch dla dziedzica. Położyli na stole trzy srebrne ruble. Ze szczerego srebra!

— A co do dzieci, to zapewne też chcielibyście wiedzieć.

Otóż ma już troje lub nawet czworo. On także stał się człowiekiem co się zowie.

W *beit-hamidraszu* trwa nieustanna dyskusja. Jedni twierdzą, że Sara-Rywka nie chce zwrócić rabiemu cybucha, i z pewnością go nie odda. Drudzy utrzymują, że dawno już go zwróciła rabiemu. Ten, którym posługuje się jest zupełnie inny.

Sam Chaim-Boruch milczy.

Co za różnica. Grunt, że cybuch pomaga.

# Z POWODU SZCZYPTY TABAKI

Kuszenie, Grzech, Szatan,  
Kondycja ludzka

Pewnego razu zachciało się szatanowi przejrzeć księgę, w której zawarte są dane obciążające konto każdego człowieka. Założywszy nogę na nogę, usiadł i zaczął wertować stronicę za stronicą. Uśmiech zadowolenia nie schodził mu z twarzy, chociaż powoli zaczął z nudów poziewywać. I oto nagle coś go tknęło. Klasnął w dłoń. Stronica poświęcona chełmskiemu rabinowi była czysta, pusta, niezapisana.

Na klaśnięcie szatana w mig zbiegły się diabły z piekła. Z wystawionymi jęzorami stoją w drzwiach w oczekiwaniu na rozkaz. Szatan nie daje im długo czekać.

— Niech któryś z was sprawdzi, czy chełmskiemu rabinowi przeznaczone jest długie życie. Muszę to wiedzieć.

Diabły znikają tak szybko, jak szybko się zjawily. Po piętnastu minutach jest już gotowa odpowiedź:

— Byłem — melduje diabeł — w kamerze życia. Nic żywota rabina jest już tak cienka, że prawie jej nie widać. Dziś, jutro, zawezwą go!

— Niech przyjdzie do mnie pisarz — rozkazuje szatan.

Tanecznym krokiem wchodzi pisarczyk. Wesole, rozbiegane oczka błyskają czerwienią. Dyga i nisko się kłania przed szatanem, po czym z impetem siada na czarno-płomiennej, smolnej podłodze. Najpierw wyciąga z lewej kieszeni pisarskie narzędzie, wronie pióro i kałamarz wypełniony grzeszno-czerwoną krwią, wysączoną z ciała cudzołożnika. Następnie rozwija, wyprawiony ze skóry heretyka, pergaminowy zwój. Splunawszy w dłoń wbija wiernopoddńczy wzrok w twarz szatana i melduje, że jest gotów.

Szatan, siedzący na ojcowskim krześle, nachyla się ku niemu i zaczyna dyktować.

Pisarczyk posłusznie wprawia rękę w ruch. Pióro, skrzypiąc, szybko biegnie po pergaminie.

Do Sądu Najwyższego wpływa raport niniejszej treści:

— Przytaczając słowa *Tory*<sup>41</sup> o tym, że „Nie ma na ziemi takiego człowieka, który by czyniąc Dobro, nie zgrzeszył” — donoszę, że chełmski rabin, będący już jedną nogą na tamtym świecie, nie posiada żadnego obciążającego go zapisu. Jeśli pragniemy, żeby słowa *Tory* „Mojesz jest Prawdą i jego słowa są Prawdą” nadal obowiązywały, Sąd Najwyższy powinien przekazać chełmskiego rabina do mojej dyspozycji.

Po krótkiej naradzie w niebiosach nadchodzi odpowiedź Sądu.

— Zagłdnij do *Księgi Hioba*, rozdział 1.

Szatan w lot pojmuje, o co chodzi: „Zrób z nim, co chcesz, ale duszy jego strzeż”. Życ ma tak długo, jak jest mu sądzone.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać — myśli sobie szatan. Żony bowiem chełmski rabin nie ma. Od wielu już lat jest wdowcem. Dzieci zdążył już wydać. Ponadto jest wyraźnie przeciw napisane: „Nie poniosą śmierci rodzice za grzechy dzieci”. Powiedział te słowa prorok Jezechiel. Nie ma rady. O tym, żeby rabin posiadał jakieś mienie, owce lub bydło, nie ma mowy. Nie posiada nawet pół kozy. Skórę rabin ma i tak nieczystą. Bez przerwy się drapie. I jak można wziąć rabina na męki!

Trzeba znaleźć w nim jakąś słabostkę, jakąś małą poządlliwość — kombinuje w myślach, oblizując się przy tym, szatan.

Naciska dzwonek i zaraz zbiegają się diabły. Po prostu roi się od nich. Szatan powiada:

— Kto z was podejmuje się sprowadzić z prostej drogi chełmskiego rabina?

— Ja! Ja! Ja! — wszyscy chcą się podjąć tego zadania. Wiadomo bowiem, że za taką sztuczkę diabeł szybko zrobi w piekle karierę. Klóć się tak zajadle, że dochodzi nawet do bójki. Nie pozostaje nic innego jak tylko losowanie. Los uśmiechnął się do dwóch diabłów. Szatan życzy im powodzenia i diabły natychmiast wyruszają do Chełma.

Jest piękny słoneczny dzień. Chełmscy Żydzi kręcą się po rynku w poszukiwaniu zarobku. Tworzą się grupki, w których mówi się w kółko o lesie i polach dziedzica, o chłopskich „miarkach”, o skórkach na żyjących jeszcze zajęczakach, o niezłożonych jeszcze przez kury jajkach, itd.

I nagle pod nogami rozprawiających Żydów zatrzęsła się ziemia. Zadrżała i dalej drży. Rozległ się potężny huk, ogromny trzask. Zaczęło błyskać. I oto w chwili, kiedy ludzie

<sup>41</sup> *Tora* — Pięcioksiąg. [przypis edytorski]

nie zdążyli jeszcze uwolnić się od strachu, wjeżdża z impetem na rynek wóz kryty budą. I koła pędzącej budy dudnią niczym grzmoty...

Buda wygląda niesamowicie. Dziwna jakaś i obca tutejszym mieszkańcom. Sierść koni pokryta jest pianą. Groźnie jak lwy wyglądają zaprzężone do budy konie. I buda z gwałtowną szybkością przemyka przez rynek. Z tak wielką szybkością, że ludzie cudem zdążyli odskoczyć. Na koźle stoi poganiacz bez bata w ręku. Na głowie ma jakąś szmacianą czapkę. Biodra ma opasane czerwonym gartlem<sup>42</sup>. Ręce ma okręcone lejcami. Raz po raz ściąga je tak, że konie stają dęba. Z tyłu za nim stoi przyzwoicie ubrany Żyd. Ten trzyma w prawym ręku bat i co chwilę strzela nim poganiając konie, wskutek czego te rwą do przodu. Lecą jak orły. Lewą zaś ręką raz po raz uderza poganiacza po plecach. Od czasu do czasu gwizdem wzmacnia świst bata i konie wyskakują wtedy wprost ze skóry.

Tymczasem poganiacz nie przestaje ze strachu wołać o pomoc:

— Miłosierni Żydzi, ratujcie! Synowie miłosiernych ojców, ratujcie!

Ale jak tu ratować, kiedy spod końskich kopyt tysiące iskier leci.

Śledzą więc przerażonymi oczami pędzącą budę i w kółko powtarzają: „Oby nas Bóg ustrzegł”. Niektórzy Żydzi myślą już o potrzebie odmówienia modlitwy na intencję ocalenia. Ze sklepów wybiegają kobiety z krzykiem: „O rety! Gwałtu!”

Po drodze buda musi przejechać mimo rzeźni. Tu napadają na konie pętające się przy rzeźni psy. Skaczą koniom do pysków. Za psami wybiegają rzeźnicy. Łapią konie za lejce i po chwili buda staje. Rozbrykane konie zatrzymały się. Widać, że same są przerażone, że drży na nich skóra. Rzeźnicy wskazują na budę. Wkrótce wszystko się wyjaśnia. Okazuje się, że między poganiaczem a solidnie ubranym Żydem, który w pasie okalającym biodra ma ukryte pieniądze, powstała sprzeczka. Poganiacz krzyczy, że tamten ograbił go i przebrał się w jego ubranie, że on jest kupcem, a tamten jest poganiaczem. Solidnie ubrany Żyd twierdzi, że to nieprawda, że poganiacz po prostu zwariował, bo oto, kiedy jemu śpieszno na jarmark brylantów, poganiaczowi nagle zachciało się zatrzymać konie, żeby je nakarmić. Ludzie słysząc, że to człowiek z brylantami, zaczynają powoli nabierać do niego szacunku. Niby poganiacz dokładnie opowiada o tym, że jadąc przez las tamten przyłożył mu nóż do gardła i zmusił do zamienienia się ubraniami. Obrabował go z pieniędzy, brylantów, koni i budy. Jednym słowem ze wszystkiego. Dlatego na widok żydowskiego miasteczka podniósł krzyk... Oskarżony zaprzecza wszystkiemu: „Nic podobnego! Zwariował!”

Ludzie odganiają psy, zawracają wóz i zajeżdżają do rabina. Niech on rozstrzygnie. Rabin postanawia przesłuchać każdego z nich z osobna. Najpierw każe wprowadzić tego, który ma na sobie ubranie poganiacza. Wysłuchawszy go, rabin powiada:

— Twarz prostacka, mowa furmańska. Jego głos brzmi jak w lesie lub w szczerym polu. To głos poganiacza koni.

I mimo takiego stwierdzenia dalej pyta:

— Ile towaru masz w budzie?

— Nie mam pojęcia. Nie liczę go. Jestem prostakiem, rabinie. Bóg pomógł mi — handluję brylantami.

— Ile pieniędzy masz w sakiewce?

— Nie wiem. Nie mam zwyczaju ich liczyć. Chcę tylko jednej rzeczy, żeby mi się szczęściło.

Wydaje się, że ten człowiek kłamie, że wszystko jest już jasne, ale rabin poleca mimo to wprowadzić jego przeciwnika. Ten ma twarz człowieka uczonego w *Piśmie*. Rabin mimochodem usiłuje go przeegzaminować ze znajomości *Tory*. Pytany odpowiada, cytując *Miszne*<sup>43</sup> razem z *Poskim*<sup>44</sup>.

Wtem, ni z tego, ni z owego powiada do rabina:

— Po co mamy długo deliberować? Proszę tylko popatrzeć!

Jednym, zdecydowanym szarpnięciem wysypuje z opasającego go gartla złote ruble i brylanty. Czerwone płomienie rozblęły na stole.

<sup>42</sup>*gartel* — pleciony sznur zastępujący pas. [przypis tłumacza]

<sup>43</sup>*Miszna* — pierwsza część *Talmudu*; zawiera sześć dyscyplin zwanych *sederami*, czyli porządkami. [przypis tłumacza]

<sup>44</sup>*Poskim* — późniejsze przepisy prawne, które powstały po zakończeniu *Talmudu*. [przypis tłumacza]

— Rabi — powiada dalej — dam ci połowę moich brylantów za to, że orzekniesz, iż należą do mnie.

Zrywa się rabin z krzesła i z gardła wydobywa jeden krzyk:

— Zbóju!

Na krzyk rabina wbiegają do pokoju ludzie. A tu dziw nad dziwami. Przecierają ze zdumienia oczy. Gdzie się podział poganiacz, gdzie jest jego pasażer? Gdzie się podziały złote ruble i brylanty? Wszystko zniknęło. Nie ma budy, nie ma koni. Jakby ziemia ich wszystkich pochłonęła.

Zastanawiają się mieszkańcy Chełma:

— Czy był to sen, czy też, uchowaj Bóg, czary?

W piekle tymczasem pytają szatana, jak wyjaśnić to, co się stało w Chełmie.

— Głupcy! Może rabin wziąłby nawet łapówkę, ale nie w tej sytuacji, kiedy tak łatwo mogłaby się sprawa wydać. Prawda o łapówce wypłynęłaby na wierzch jak oliwa. Straciłby urząd rabina i powędrowałby, być może, nawet do więzienia. Nie jest przecież głupcem.

Za karę sadzają niefortunne diabły na rok przy węglu i smole. Szatan zwołuje nowe zebranie. Tym razem nikt się już nie pali do wykonania zadania szatana. Nie słychać już krzyków: „Ja! Ja! Ja!”. Po krótkiej debacie dwa diabły zajmujące wyższe stanowiska w hierarchii diabelskiej decydują się wziąć na siebie wykonanie zadania. Jeden młody i bystry, drugi starszy, bardziej doświadczony.

Był szary, chłodny, deszczowy dzień. Powszedni dzień między Rosz-haszana<sup>45</sup> i Jom-Kipur<sup>46</sup> z tak zwanymi Straszными Dniami<sup>47</sup>. Chełm tonął w błocie. Z nieba lał deszcz razem z melancholią. I oto w mieście pojawił się obcy, biedny Żyd. Wychudzony, wymizerowany żebrak. Sama skóra i kości. Chodzi o kulach. Jest strasznie głodny.

Wlecze się od domu do domu, od sklepu do sklepu, prosząc o kawałek chleba... dopiero w dziesiątym domu dają mu kawałek suchego twardego chleba. Nie ugryzie go, bo nie ma zębów. W dwudziestym domu dostaje stary, wytarty grosz. Tak wytarty, że wyslizguje się z rąk. Chełm nie potrzebuje obcych żebraków. Ma swoich własnych żebraków i to najrozmaitszego gatunku. Żebraków ukrywających swoją nędzę, biedne wdowy i sieroty po byłych rytualnych rzeźnikach, sędziach, rabinach oraz innych sługach Bożych.

Człapie więc obcy żebrak po ulicach Chełma. Mija dzień, mijają dwa dni. Wilgoć i chłód przenikają go do szpiku kości. Z waty wylażącej ze starego płaszcza ścieka woda. Czyna wylażą mu z orbit. I oto na samym środku rynku żebrak pada jak ścięty na ziemię. Jedna kula poleciała na lewo, druga na prawo. Sam leży między nimi. Na ustach piana.

Miłosierni Żydzi na ten widok podbiegają do niego. Jeden opryskuje go wodą, drugi przynosi rodzynkowe wino i chce mu wlać do gardła. Ściśnięte szczęki nie pozwalają się jednak otworzyć. Trzeba użyć noża, żeby je rozewrzeć i wlać w usta kilka kropel wina.

Niektórzy Żydzi zaczynają pomstować: „Chełm to Sodoma”. Tymczasem biedak jest już w agonalnym stanie.

Ale chyba nie pozwolą mu umrzeć na ulicy. Powstaje problem. Dokąd mają go zanieść. Chętnych nie widać. Bogatsi Żydzi szybko się zmywają. Pozostali nie mają w domu miejsca. I oto przechodzi akurat przez rynek rabin. Bez namysłu powiada: — Zanieście go do mnie!

Żydzi szybko wykonują jego polecenie. Nigdy nie byli mu tak posłuszni.

Konającego żebraka natychmiast kładą do łóżka rabina. Ten spokojnie siada przy stole, otwiera księgę i wglębia się w jej treść. Od czasu do czasu rzuca okiem na śmiertelnie chorego żebraka, który zdaje się pogrążony w letargu. Pod oknami, na ulicy kręcą się Żydzi. Na wszelki wypadek — mogą się przydać. Tymczasem zapada noc. Rabin wstaje od stołu i przygotowuje się do odmówienia wieczornej modlitwy. Wtem dobiega go cichy głos chorego, który przywołuje go do siebie. Z sercem wezbranym miłosierdziem

<sup>45</sup>Rosz-haszana także: *Rosz Haszana* a. *Rosz Haszone* — Nowy Rok w judaizmie, obchodzony zazwyczaj we wrześniu. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Jom Kipur — dzień odpuszczenia grzechów, Sądny Dzień. [przypis tłumacza]

<sup>47</sup>Straszne Dni — Dziesięć dni pokuty od Rosz-haszana do Jom Kipur, podczas których decyduje się los człowieka, czy będzie żył lub umrze. [przypis tłumacza]

podchodzi rabin do chorego. Nachyla się ku jego ustom, żeby usłyszeć, co ten ma do powiedzenia. Jest przekonany, że konający chce przed śmiercią coś mu przekazać.

— Rabinie — szepczą wargi chorego — jestem wielkim grzesznikiem. Nie chcę umrzeć, nie wyznawszy przedtem swoich grzechów.

Usłyszawszy to, rabin chce zwołać ludzi na świadków, ale chory łapie go za rękę i cichym głosem oświadcza:

— Uchowaj Bóg, nie wołaj ludzi. Wyznam ci wszystko, ale tylko w cztery oczy.

I wyznaje rabinowi, że w ciągu całego swego życia uprawiał żebractwo. Był jednak fałszywym żebrakiem. Zebrał niby dla utrzymania żony i dziecka, choć nigdy nie był ani żonaty, ani dzieciaty. Zbierał pieniądze na rzecz towarzystwa zajmującego się wyposażaniem starych i biednych niewiast, choć nigdy nie był członkiem tego dobroczyńnego towarzystwa. Zawsze był samotny jak kamień w szczerym polu...

Zbierał też datki na utrzymanie jeszyw<sup>48</sup>, ale ani jeden jeszybotnik<sup>49</sup> nie dostał od niego grosza. Chodził po domach i zbierał pieniądze na rzecz Ziemi Izraela, ale złamanego grosza z ubieranych pieniędzy nie przekazał na ten cel. Zbierał nawet pieniądze na utrzymanie grobu Szymona ben Jochaja w Ziemi Świętej i rzecz jasna pieniądze zatrzymał dla siebie. Handlował też niby Ziemią Izraela<sup>50</sup>, a faktycznie pobierał ją na miejscu. I do wielu jeszcze innych grzechów się przyznał.

Kończąc, wyciągnął zza pazuchy sakiewkę i oświadczył:

— W niej jest to, co uźebrałem.

Gwałtownym ruchem otwiera sakiewkę, a w niej leżą same sturublowe banknoty.

— Te wszystkie banknoty w wasze, rabinie, ręce oddaję. Wydajcie je na cele dobroczynne, według waszego własnego uznania.

Rabin jednym susem przyskoczył do okna. Otworzył je na oścież i zawołał:

— Żydzi, wejdźcie do mnie i to natychmiast. Macie policzyć pieniądze, które przeznaczam na jałmużnę dla ubogich.

Rabin wykazał przy tym taką energię, jakby nagle ubyło mu pięćdziesiąt lat.

Na wołanie rabina wbiegają do mieszkania Żydzi. Ze zdumieniem stwierdzają, że nie ma żadnych banknotów... Co więcej nie ma w pokoju również konającego żebraka. Jest jedno tylko rozbebeszone łóżko i dwie wybite w oknie szyby.

Zastanawiają się, czy to sen, czy, broń Boże, czary?

Szatan w piekle otwiera z podziwu usta i powiada:

— To już nie jest łatwa do wykrycia rzecz.

Czarne diabły są wzburzone. Odzywa się Lilit<sup>51</sup>:

— A ja go dostanę w swoje ręce. Są na to stare sposoby!

Pewnego dnia chełmski rabin nagle poczuł się niedobrze. Zawołał felczera, żeby mu puścił krew. Tymczasem słońce miało się właśnie ku zachodowi i należało odmówić modlitwę *mincha*<sup>52</sup>. Podczas odmawiania Osiemnastu Błogosławieństw nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła dziewczyna z kurą w rękach. Chciała spytać rabina, czy kura jest kosztowna i nadaje się do spożycia.

Widząc, że rabin nie przerywa modlitwy, postanowiła poczekać, aż skończy. Zaczyna tymczasem chodzić w kółko po pokoju. Rabin nie zwraca na nią uwagi. Wtedy dziewczyna udając, że zapomniała, gdzie jest, zaczyna śpiewać.

A głos — słuchajcie mnie uważnie — ma taki, o jakim *Talmud*<sup>53</sup> mówi: „Głos kobiety to nagość”.

Czy rabin będzie słuchał tego głosu? Oczywiście, że nie! Wtedy ona, udając zmęczoną, siada na krześle i zaczyna się kołysać. Ławka od kołysania skrzypi. Głupia sprawa. Gdyby nawet w tej chwili przylazł do niego jadowny wąż, rabin nie ruszyłby się ze swego miejsca.

<sup>48</sup>jeszywa — wyższa szkoła talmudyczna. [przypis tłumacza]

<sup>49</sup>jeszybotnik a. jeszywotnik — student żydowskiej szkoły rabinicznej. [przypis tłumacza]

<sup>50</sup>handlował (...) Ziemią Izraela — religijni Żydzi chcieli być pochowani w grobie, do którego wkładano woreczek z ziemią pochodzącą z Izraela. [przypis tłumacza]

<sup>51</sup>Lilit — szatanica, żona Belzebuba, królowa nocy. [przypis tłumacza]

<sup>52</sup>mincha — modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

<sup>53</sup>Talmud — obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijnego, pobilijnego dorobku judaizmu. Składa się z *Miszny* i *Gemary*. [przypis tłumacza]

Widząc, że jej wysiłki idą na marne, dziewczyna wpada w złość. Zrywa się z krzesła i zaczyna z impetem biegać po pokoju.

Rabin, po odmówieniu Osiemnastu Błogosławieństw, modli się dalej aż do końca, po czym siada za stołem i spokojnie powiada do dziewczyny: „Pokaż kurę!”.

Dziewczyna chce mu włożyć kurę do ręki, ale rabin, chcąc uniknąć dotknięcia jej ręki grzecznie powiada: „Połóż ją na stole!”. Żydówka powinna wiedzieć, jak należy podawać kurę rabinowi... dziewczyna więc posłusznie kładzie na stół coś w rodzaju kurczaka.

Wtedy rabin powiada do niej:

— Powiedz, o co chodzi?

Dziewczyna opowiada mu długo i rozwlekle, jak tę kurę kupiła u jakiejś gojki<sup>54</sup>, jak przyniosła ją do domu, z którego potem uciekła i jak ją pochwycono. Opowiadając to, śmieje się bez przerwy i odsłania przy tym ząbki. A ząbki są białe i bije od nich blask. I głos jej odbija się przyjemnym echem ze wszystkich zakątków mieszkania. Okrąża przy tym stół, przy którym siedzi rabin... rękawy zaś jej bluzy, która z przodu jest otwarta, są krótkie. Zakasała je. Ręce są obnażone. Ciało namaściła olejkami i perfumami. Przyjemnie pachnie. Stara się dotknąć ciałem stołu, krzesła i rabina... on zaś patrzy tylko na kurczaka... wtedy ona staje z tyłu za rabinem i stara się przez jego głowę spojrzeć na leżącego na stole kurczaka.

W ten sposób dotyka swoją mordeczką głowy rabina, ten czuje, że jej oddech zaczyna go ogrzewać przez jarmułkę... czuje jego ciepło na swojej nagiej szyi.

Ale nic z tego. Wszystkie jej wysiłki są daremne.

Rabin dokładnie bada kurczaka, po czym oświadcza:

— Kura jest koszerna, ty zaś, dziewczyno, szybko zwróć się do swata. Czas ci za męża pójść.

W mig wylatuje przez okno dziewczyna razem z kurą.

Uśmiecha się rabin. Zrozumiał, na jaką próbę był wystawiony.

A tam (w piekle) znowu zebranie. Dyskutują. Jedni mówią tak, drudzy inaczej. I nagle włącza się do dyskusji całkiem młody nieopierzony jeszcze diabełek. Jest jeszcze na stażu. Śmiało zadaje pytanie:

— Czy chełmski rabin nie posiada żadnej słabostki? Żadnej pożądlivosti?

— Absolutnie żadnej! — odpowiadają mu.

— Niczego nie lubi?

— Może łaźnię parową w wigilię soboty...

Po krótkiej przerwie, podczas której wszyscy się zastanawiają, młody diabeł wraca do pytań.

— Czy nie posiada czasem jakiegoś nawyku w rodzaju ugniatania kuleczek z chleba podczas odmawiania błogosławieństwa nad jedzeniem?

— Nie zauważyliśmy... Zresztą nigdy nie widzieliśmy go przy jedzeniu... Chyba nie ma...

Jedna tylko Lilit nagle przypomniała sobie, że kiedy rabin poczuł zapach jej perfum, zażył tabaki.

— To wystarczy — oświadczył diabeł i zaraz zmył się.

Rabin miał od wielu lat zwyczaj wychodzenia w pole po piątkowej kąpieli. Między łanami pszenicy i żyta była droga, na której odbywał swoje spacerunki. Chodził i recytował z pamięci *Pieśń nad pieśniami*. Będąc z natury człowiekiem często zamyślonym i roztrągnionym, bał się, że pewnego dnia zapuści się zbyt daleko i nie zdąży wrócić przed nastaniem soboty. Odmierzył wtedy krokami dopuszczalną odległość, zaznaczając ją rosnącym w połowie drogi drzewkiem. Mimo iż na drzewku rosły piękne jak perły owoce, rabin, zgodnie z nakazem mędrca z *Talmudu* nie powiedział: „Jak piękne jest to drzewo”<sup>55</sup>. Dla

<sup>54</sup>gojka — nie-Żydówka. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>nie powiedział: „Jak piękne jest to drzewo” — bogobojny Żyd zajęty rozmyślaniami o Torze, uważa delectowanie się pięknem natury za grzech. [przypis tłumacza]

niego drzewko było wyłącznie drogowym znakiem. Połowę *Pieśni nad pieśniami* wyrecytowywał<sup>56</sup> w drodze z miasta do drzewka. Przy drzewku zatrzymywał się, siadał w jego cieniu i zażywał z pudełka szczyptę tabaki. W powrotnej drodze recytował drugą połowę *Pieśni nad pieśniami*. Zawsze zdążył w ten sposób wrócić do miasta, żeby przywitać nadchodzącą sobotę.

Pewnego razu, w piątek, zanim rabin nadszedł, zjawił się przy drzewku jakiś „niemczyk”<sup>57</sup>. Kapelusz na głowie, spodnie w zielone paski. Jednym ruchem wyrwał drzewko z ziemi i przeniósłszy je na dalsze miejsce wsadził w ziemię, po czym skrył się za nim. A że był chudy jak szczapa, trudno go było zauważyć.

Tymczasem doszedł rabin do miejsca, gdzie miało rosnąć drzewko. Połowę *Pieśni nad pieśniami* właśnie zdążył wyrecytować, a tu drzewka jak nie ma, tak nie ma. Patrzy i zauważa, że jeszcze daleko do niego. Zmartwił się rabin. Widocznie — myśli sobie — recytował tekst *Pieśni nad pieśniami* bez świadomej intencji, zwanej *kawana*. Z miejsca wyznacza sobie pokutę. Bardzo mu się chce zażyć tabaki. Z pragnienia tabaki serce omdlewa, ale nie zażyje jej, dopóki nie dojdzie do drzewka, jest już wprawdzie zmęczony, ale nie zmieni ustalonego przez siebie zwyczaju... Człapie więc dalej, choć nogami ciężko porusza. Wreszcie dotarł do drzewka. Jest bardzo wyczerpany i strasznie chce mu się zażyć tabaki. Chwała Bogu, że siedzi już pod drzewkiem. Szybko wyciąga pudełko z tabaką. Z niecierpliwości drżą mu ręce. I kiedy ma już otworzyć pudełko, nagle zza jego pleców coś dmuchnęło. Pudełko wypadło mu z ręki. Widocznie — myśli — wiatr nagle powiał.

Pudełko toczy się po ziemi. Wysiłki rabina, który czołga się po ziemi, żeby uchwycić je, spełzają na niczym. Pudełko dalej się toczy i rabin w ślad za nim dalej się czołga. Zapach tabaki ciągnie go i ciągnie. Widząc to, „niemczyk” uśmiecha się z zadowoleniem i dalej dmucha. I kiedy zdawało się, że rabin za chwilę dosięgnie pudełka, „niemczyk” nagle wyrzywa drzewko z ziemi i przestawia je na poprzednie miejsce. Zdumionym okiem patrzy rabin. Drzewo znowu się oddaliło od niego. Jest przekonany, że w swoim zamyszeniu doszedł do innego drzewka. Podnosi oczy ku niebu, a ono usiane jest gwiazdami. Nie zauważył nawet, kiedy słońce zaszło. Tak pociągający był zapach tabaki. Prawda, że noc była jasna jak dzień... Do miasta już nie pójdzie. Odległość dzieląca go do miasta przekracza normę dopuszczalną w sobotę<sup>58</sup>. Żywić go będą wrony. Tak jak ongiś żywiły proroka Eliasza. Pudełko jednak musi pochwycić.

Czołga się więc dalej za nim, a „niemczyk” nie przestaje dmuchać i pudełko toczy się dalej.

Co wam będę długo opowiadał. Rabin przekroczył dopuszczalną normę sobotnią.

Chytry diabełek awansował i otrzymał poważniejsze zadanie do wykonania. Przed odejściem powiedział do zebranych diabłów:

— O górę można się potknąć, ale na słabostkach i małych pożądlivościach można się wywrócić!

<sup>56</sup>wyrecytowywał — dziś tylko: recytował. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>niemiec, niemczyk — Żyd ubierający się i zachowujący się po świecku, asymilator. [przypis tłumacza]

<sup>58</sup>Odległość (...) przekracza normę dopuszczalną w sobotę — w sobotę wolno Żydowi odbyć drogę nie dłuższą niż dwa tysiące kroków. [przypis tłumacza]

# JEŚLI MÓWIA, ŻE WARIAT, UWIERZ!

Pytacie mnie o Mojsze, syna Josla? Chodzi o to, żeby go wyswatać? Dobrze, bardzo proszę! Zresztą kogo mielibyście o to pytać, jeśli nie mnie. Był moim przyjacielem. I to jakim! Nawet jego ojca, który był sędzią, znałem bardzo dobrze. Sędzią był u nas do ostatnich dni swego żywota. I chociaż był, oby mi wybaczył, przeciwnikiem chasydów<sup>59</sup>, to przyznać trzeba, że głowę miał tęgą. Taki człowiek mógł sobie pozwolić na to, żeby być *mitnagedem*<sup>60</sup>.

Z kabały się wyśmiewał, ale ja mimo to czułem do niego ogromne zaufanie. Był Żydem starej daty i nas młodych chciał trochę zastraszyć.

Do rebego — cadyka<sup>61</sup>, w odróżnieniu od chasydów, nie jeździł. Sam był porządnym, sprawiedliwym Żydem.

I jak żarliwie studiował *Pismo*! Owijał sobie głowę ręcznikiem (inaczej — powiadał — mózg by wyschnął i pękł). Przykuty do krzesła wytrwale studiował. Oczy mu przy tym błyszczały. Spod długich, gniewnych brwi leciały iskry. O czym teraz myślicie?

Zastanawiacie się, czy Mojszele pochodził z nobliwej rodziny, z dobrego domu? Jak najbardziej! Jeśli zaś chodzi o niego samego, to nie bardzo był nobliwy. I choć serce mnie boli, muszę gwoli prawdy powiedzieć, że nie zawsze mówił do rzeczy.

Widocznie zabrakło mu w mózgu jakiejś klepki.

Za młodu także miał tęgą głowę do nauki. Tygodniowy materiał nauki opanował już pierwszego dnia. Ale co wariat, to wariat. W każdym jego ruchu, w każdym postępku uwidoczniło się to. Tak samo jak ojciec, miał długie brwi i gorejące oczy. Była jednak między ojcem a synem duża różnica. Ojciec był z natury rozsądnym człowiekiem, a Mojsze był daleki od rozsądku. Był po prostu stuknięty. Oderwany od rzeczywistości, mógł godzinami wpatrywać się w niebo. Sunie, na przykład, po niebie zwykła chmura, a Mojszele dostrzega w niej zmarłego stryja. Czasami widzi w chmurze arcykapłana Aro- na albo dla odmiany zwyczajnego capa. Czego zresztą nie potrafił zobaczyć w chmurach? Jeśli niebo jest czyste, bez chmur i obłoków, on powiada, że widzi biały *parochet*<sup>62</sup>, który zawieszony jest w święto Rosz-haszana<sup>63</sup>.

Zimą całymi dniami siedział w oknie i gapił się na śnieg. Twierdził, że dostrzega w śniegu brylanty. O innych jego dziwactwach już nie wspomnę.

Nie mam zamiaru zabierać wam dużo czasu, więc postaram się streścić dzieje mojej przyjaźni z Mojszele.

Obaj ożeniliśmy się w tym samym tygodniu. Ja po ślubie pojechałem do teścia, u którego byłem na należytym wikcie. Mojszele natomiast postarał się o posadę melameda<sup>64</sup> na miejscu.

Będąc u teścia, zupełnie o nim zapomniałem.

Po pewnym czasie w rodzinie teścia coś się popsuło. Powstały jakieś intrygi i ja dałem się w nie wciągnąć. Potem miałem także własne kłopoty. Dziecko mi, niestety, umarło i współzycie z żoną zaczęło się niedobrze układać. W końcu doszło do rozwodu. Nim się obejrzałem, zaczęli mi swatać nową żonę. Tym razem z rodzinnego miasta.

Proponuję mojej rozwiedzionej żonie, żeby dzieci nasze pozostały przy niej. Ona się nie zgadza. Idziemy do rabina. Ten, po przeprowadzeniu rozprawy sądowej, orzeka, że dzieci przez trzy lata mają pozostać przy matce.

<sup>59</sup>*chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szemtowę. [przypis tłumacza]

<sup>60</sup>*mitnaged* (Im: *mitnagedim*) — przeciwnik chasydyzmu. [przypis tłumacza]

<sup>61</sup>*cadyk* — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>62</sup>*parochet* — zasłona wisząca nad Świętą Szafą w bóżnicy, zwaną też Arką Przymierza. W niej znajdują się zwoje *Tory*. [przypis tłumacza]

<sup>63</sup>*Rosz-haszana* — żydowski Nowy Rok, nazywany też Świętem Trąbek; Święto upamiętnia pierwszy dzień stworzenia świata; Rosz-haszana Bóg ocenia ludzi i zapisuje ich losy w dwóch księgach: sprawiedliwych wpisuje do *Księgi Życia*, grzeszników do *Księgi Śmierci*; pozostali ludzie mają 10 dni na poprawę (czas do Jom Kipur, Dnia Pojednania). [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]



Wyjeżdżam zaraz do rodzinnego miasta i pierwsze kroki kieruję do *beit-hamidraszu*<sup>65</sup>.

I kogo spotykam?

Oczywiście, że Mojszele. Pytam go:

— Jak ci się powodzi?

— Tak sobie.

— Masz już dzieci?

— Nie!

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— To co zamierzasz zrobić?

— Nic.

Słyszeliście kiedyś taką odpowiedź? Nie rezygnuję jednak i dalej go pytam:

— Pojedziesz w tej sprawie do cadyka?

— Mój ojciec nie jeździł, to i ja nie pojedę.

No i masz ci. Skoro tato nie jeździł do cadyka, to i on nie pojedzie.

Nie daję za wygraną.

— Czym to wytłumaczysz?

— Mam taki wewnętrzny nakaz.

Słucham go i nie wierzę własnym uszom. Kiedy chodzi o dzieci, to nawet chrześcijanie jeżdżą do rebege. U mego rebege zdążyłem w ciągu trzech lat zobaczyć, bez przesady, ponad dwadzieścia osób z ogolonymi brodami. Byłem nawet świadkiem, jak jeden położył na stole przed rabinem pięćdziesiąt srebrnych talarów. Pomagało mu to, jak umarłemu kadzidło. Bo jak mogło pomóc, kiedy facet po uszy zanurzony był w bałwochwalstwie. Ale starał się przynajmniej, a Mojszele nie chciał nawet słyszeć o tym. Rozumiem, że prości ludzie, jak — powiedzmy — tragarze czy szewcy, nie jeżdżą do cadyka, ale Mojszele? Czyżby nie wiedział, że czasami Bóg, oby był błogosławiony, tak sprawia, że cadyk potrafi dokonać czegoś dobrego albo unieważnić coś złego? Gdyby tak nie było, to jakby wyglądał nasz świat? Czy wszystko ma się toczyć prosto jak po linijce? Ale spróbujcie z Mojszele gadać!

Tymczasem zaczęło mi się kręcić w głowie od propozycji swatów. Raili mi różne kandydatki i wyobraźcie sobie, że wszystkie z mego miasta. Skończyło się jednak na tym, że ożeniłem się po raz drugi z kobietą z innego miasta...

I jak na tym wyszedłem? Wstyd się przyznać. Zostałem oszukany. Szybko wróciłem do rodzinnego miasta. Dowiaduję się, że Mojszele właśnie zdążył już owdowieć. I teraz wpada w nowe szaleństwo. Odrzuca nowe propozycje swatów, którzy rają mu nowe kandydatki do małżeństwa.

Według prawa żydowskiego można swatać nawet w okresie ścisłej żałoby, zwanej *szziwa*<sup>66</sup>. Mojszele nie uznaje tego prawa. Powiada, że chce poczekać, aż minie *szoszim*, to znaczy trzydzieści dni od śmierci małżonki. Potem twierdzi, że data ślubu mu nie odpowiada. Jakoby miała być dla niego nieszczęśliwa. Potem wyjaśnia mi, że postanowił z żeniątką zaczekać jeszcze przez rok. Kiedy doczekałem się wreszcie końca roku, oświadcza mi, że absolutnie nie widzi powodu do pośpiechu.

— Rozumiem — powiadam do niego — że możesz się obejść bez żony, ale co ci szkodzi ożenić się, wziąć parę złotych posagu i wyjechać do innego miasta, żeby tam prowadzić umiłowany przez ciebie żywot ascety.

Moje słowa nie przekonują go. Nie chce i nie żyćzy sobie.

Ma czas. Zastanowi się.

Wyobraźcie sobie, że kilka lat z rzędu przeżył jak pies na dworze. Powiedzmy sobie szczerze: co wart jest człowiek bez żony? Bez ciepłego posiłku? On żywił się tylko śledziami. Twardo siedział na ławce w *beit-hamidraszu* i wkuwał *Pismo*. Wkuwał i zadowalał się śledziem. Nie ma co, wspaniale miał życie.

<sup>65</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; działał jak instytucja, bardzo ważna szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jesiwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*szziwa* — siedem dni ścisłej żałoby po zmarłym. [przypis tłumacza]

Popatrzcie na mnie. Zobaczcie, jaką mam twarz! A ile, myślicie, czasu minęło od śmierci mojej trzeciej żony? Może pół roku. I co? Nieład, chaos, bałagan w całym domu. Koszuli na sobotę nie ma. Jedzenie w kredensie do niczego. Nie ma nawet jednej całej pary spodni. A ten twardo obstaje przy swoim. Studiuje, wkuwa i nic go nie obchodzi.

I co to za życie? Rano cebula z kawałkiem suchego chleba. Na obiad kawałek śledzia. Na kolację resztką niedojedzonego śledzia. Rano biegnie do pompy na podwórzu, żeby się umyć. Ręcznik nie jest mu potrzebny. Do tego są rękawy. I znowu żuje twardy chleb ze śledziem.

I jak po tym wszystkim wyglądał? Po prostu szedł na dno. Błada twarz. Oczu prawie nie widać. Dwie czarne dziury w głowie. Niemożliwie zgarbiony. Ubrany, że pozał się Boże! Poruszał się jak cień, a może nawet jak żywy trup. Coś tam w głowie mu się pomieszało, bo oto pewnej soboty podbiegł do bóżnicy trzymając w ręku woreczek z *talesem*<sup>67</sup> i *tefilin*<sup>68</sup>. A przecież idąc ulicą musiał zauważyć, że sklepy są zamknięte, a ludzie ubrani świątecznie. W jedwabnych lub atlasowych kapotach. Krzyczą do niego, ale on nie słyszy<sup>69</sup>. Biec za nim nie wolno. W sobotę nie można stawiać dużych kroków. Zresztą wstydę się, bo ludzie na jego widok pękają ze śmiechu. Nikt nie przejmuje się tym, że jakiś ulicznik rzucił mu w plecy kamieniem.

I dziwna rzecz. Kiedy prowadzi lekcję z uczniami w chederze<sup>70</sup>, jest zupełnie innym człowiekiem. Wprost nie do poznania. Uczy z zapalem. Słowa wymawia wyraźnie, cierpliwie wyjaśnia i, kiedy trzeba, powtarza. Jest tak przejęty nauczaniem, że nie pozwoli sobie przerwać, nawet gdy należy niesforne dziecko ukarać. Kańczug<sup>71</sup> używany przez melamedów w chederze on już dawno zarzucił. Dla dzieci cheder stał się prawdziwym rajem.

Dawno by już odebrali mu posadę melameda, gdyby tak dobrze nie nauczał. Nikogo nie tknie nawet palcem, a mimo to dzieci świetnie się uczą. Z chwilą jednak, kiedy kończy lekcję i odkłada księgę, przestaje być normalnym człowiekiem. Zapomina o jedzeniu i spaniu. Nawet o tym, że trzeba się pomodlić. Atutem jego było to, że miał uznanie u dzieci. One go bardzo kochały. Gotowe były poświęcić się dla niego.

Kiedy coś zapomniał, od razu mu przypominały.

— Rebe — wołały — proszę się umyć. Rebe, trzeba coś zjeść.

— Co to, to nie — odpowiadał. — Z jedzeniem wolę zaczekać. Nie lubię samemu jeść.

Czy wiecie, na kogo chciał czekać? Trzymając w palcach ogon od śledzia, siedział i kiwał się na ławce. Oczy miał wlepione w drzwi. Czekał, być może, aż ukaże się w nich prorok Eliasz.

Ale nagle sobie coś przypomniał. Widocznie doszło do niego, że prorok Eliasz zjawia się tylko w Pesach<sup>72</sup> podczas *sederu*<sup>73</sup>. Bierze wtedy do ust dzwonek śledzia i zaczyna płakać. Dzieci są przestraszone.

— Rebe, dlaczego rebe płacze?

Rebe milczy. Ze wstydu obraca się twarzą do ściany, żeby dzieci nie widziały jego łez.

Czasami podchodzi do szafy, która mu została z całego gospodarstwa, i otworzywszy ją, wbija wzrok w jej wnętrze. Jakby spodziewał się znaleźć w niej jakieś bogate ubranie. Jakby się zastanawiał, jaką kapotę ma włożyć. Atlasową czy jedwabną. Zapewniam was, że w szafie oprócz kilku szmat i łachów niczego więcej nie ma.

W miasteczku, jak wam wiadomo, każdy dba o siebie, ale ja dbałem z litości o Mojszele i to od czasu, kiedy pierwszy raz owdowiałem.

Wspomniałem już wam uprzednio, że żeniąc się po raz drugi, zostałem oszukany. Moja druga żona zaraz po ślubie zaczęła chorować. Chorowała dość długo. Długo się

<sup>67</sup>*tales* a. *talit* — szal modlitewny. [przypis tłumacza]

<sup>68</sup>*tefilin* a. *filakteria* — dwa skórzane pudełka, w których umieszczone są wersety z Biblii; jedno pudełko przytwierdza się rzemieniem do lewej ręki (obok serca) i drugie do czoła (do myśli). [przypis tłumacza]

<sup>69</sup>w głowie mu się pomieszało, bo oto pewnej soboty podbiegł do bóżnicy trzymając w ręku woreczek z *talesem* i *tefilin* — w sobotę nie używa się tefilin do modlitwy, tylko w powszednie dni. [przypis tłumacza]

<sup>70</sup>*cheder* — jednoizba, elementarna szkoła religijna dla chłopów od 4. roku życia. [przypis tłumacza]

<sup>71</sup>*kańczug* — skórzany, pleciony bicz z rękojeścią. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Pesach* — w judaizmie nazwa świąt wielkanocnych; Pascha. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*seder* — wieczerza paschalna. [przypis tłumacza]

mężczyła, zanim zmarła. Musiałem więc znowu się ożenić. Prawdę mówiąc miałem już wtedy kupę dzieci. „Moje dzieci” i „nasze dzieci”.

I co może mężczyzna robić z tyloma dziećmi? Powiedzcie sami. Bardzo was o to proszę. Może ma je karmić własną piersią? Układać do snu? Myć je? Przygotowywać im jedzenie? Co wam będę mówił? Było mi źle. Bardzo źle. Tak źle, że nie miałem ani czasu, ani głowy do Mojszele. Dzięki Bogu jednakże, nie jestem niedorajdą. Wiedziałem, co mam zrobić. Słowem — ożeniłem się po raz trzeci. Z tą kobietą, która niedawno temu, jak wiecie, zmarła. Była to nad wyraz dzielna niewiasta. W dodatku miała tę zaletę, że nie rodziła.

Ale co robi Bóg? Pewnego dnia wybiera się moja trzecia żona do mykwy<sup>74</sup> i przeziębiam się. W środku lata. W lipcu. Dostaje zapalenia płuc. Choroba jej kosztowała mnie mnóstwo pieniędzy. Nic nie pomogło. Wzięła i umarła.

Na czym to stanąłem? Tak, na tym, że wziąłem ślub z trzecią żoną. Kiedy ona wzięła gospodarstwo w swoje ręce przekonałem się, że mam na kim polegać. Wtedy przypomniałem sobie Mojszele. Przychodzę do niego i powiadam:

— Mojszele, musisz się ożenić. Gdybyś nawet miał z tego powodu umrzeć.

On jednak puszcza moje słowa mimo uszu.

— Jeśli tak — powiadam sobie w duchu — to poczekaj bratku.

Umówiłem się z właścicielem mieszkania, gdzie Mojszele miał cheder, że wymówi mu lokal. I to raz na zawsze! Mełamed musi mieć żonę.

Ale mój Mojszele machnął tylko ręką.

— Bez uczniów, to bez uczniów.

I na drugi dzień wychodzi sobie za miasto, na spacer. Potem przychodzi na łąkę. Kładzie się na trawie i wyleguje się. Jakby to nie jego był problem. Poczuvszy głód, wraca do miasta, bierze od kogoś kawałek chleba, myje ręce, zjada z apetytem, po czym odmawia stosowne błogosławieństwo i rusza znowu w drogę.

Byłem już niemal pewny, że z żeniaczki nic już nie będzie, ale na trzeci dzień przychodzi do *beit-hamidraszu* Mojszele i powiada, że gotów jest się żenić.

Zapewne myślicie, że poszedł po rozum do głowy, że doszedł do wniosku, że bez żony mężczyzna jest niczym. Nic z tych rzeczy! On po prostu stęsknił się za dziećmi, za nauczaniem w chederze. Musi mieć uczniów.

Dla dobra sprawy można się nawet z diabłem pokumać. Solennie obiecuje, uroczyście ślubuje, że gotów jest się ożenić. Obowiązkiem wyszukania mu żony obarczają mnie.

I Mojszele znowu ma uczniów.

Ja z zapalem zabrałem się do wyszukania mu odpowiedniej niewiasty. Muszę podkreślić, że potraktowałem to jak *mycwe*<sup>75</sup>, jak dobry, zbożny uczynek. Widziałem w tym palec Boży, bo oto znalazła się świetna partia. Dzielna kobieta. W swoim czasie o mało co nie ożeniłem się z nią, ale nawinął mi się swat, oby go szlag trafił, który przewrócił mi w głowie i wyswatał żonę z innego miasta. Słowem kobieta dla Mojszele była bardzo bogata. Istna kopalnia złota. Udziela pożyczek pod zastaw na procent. Całą buchalterię ma w głowie. Nie zdarzyło się, żeby poniosła stratę, żeby popełniła choćby najmniejszą pomyłkę. I właśnie Mojszele przypadł jej do gustu. Szczęściarz!

Pomyślałem, że trzeba zebrać pieniądze na wyprawę dla Mojszele. Należy mu kupić ubranie, *sztrajml*<sup>76</sup> i mały talesik. Na wieść o tym niewiasta oświadcza, że sama wyłoży pieniądze. Daje dwadzieścia pięć rubli i Mojszele zostaje ubrany do ślubu jak król. Wszystko w najlepszym gatunku. *Sztrajml*, kapota, buty, pończochy, dwa małe talesy i dwie czy nawet trzy pary spodni.

Ze ślubem nie zwlekano. Mojszele pod ślubnym baldachimem jaśniał. Wyglądał na prawdziwego pana. Przypatrzwszy mu się jednak bliżej, łatwo zauważyć, że drży. Zwłaszcza widać to na poruszających się wargach. Sprawia to wrażenie, że coś go mocno boli, że szeptem odczynia zły urok. I w oczach ma jakieś niesamowite błyski. Nic innego, tylko wariat.

I zaraz też po ślubie objawia swoje szaleństwo. Bogata żona nie życzy sobie, żeby mąż dalej uczył dzieci w chederze. Sama zarabia jakieś dziesięć rubli tygodniowo. Do czego

<sup>74</sup>*mykwa* — rytualny basen, w którym pobożny Żyd oczyszcza swoje ciało. [przypis tłumacza]

<sup>75</sup>*mycwa* a. *micwa* — Boży nakaz, dobry uczynek. [przypis tłumacza]

<sup>76</sup>*sztrajml* — kapeluszek z lisim otokiem noszony w dni uroczyste przez chasydów. [przypis tłumacza]

więc potrzebny jej jest zarobek belferski męża? Powiada do niego: „Chcesz uczyć, to ucz się sam w domu. Siedź w domu. Niczego ci nie brakuje. Możesz się u mnie kąpać w mleku i maśle”. Mojszele na to się nie zgadza. On musi mieć dzieci do nauki. Już się do nich mocno przywiązał.

Bez nich nie potrafi żyć.

— Będziesz miał — powiada do niego żona — własne dzieci.

Ale Mojszele trwa przy swoim. Póki nie ma własnych dzieci, będzie uczył cudze dzieci.

— No to niech ci będzie, trzymaj się tej posady melameda — powiada zrezygnowana żona.

I dawna melancholia ogarnia znowu Mojszele. Nie przestaje rozmyślać. Z nikim oprócz uczniów nie rozmawia. Dla wszystkich ma jedno zdanie: „To nie to”.

Co chce przez to powiedzieć, nie wiadomo.

Nieszczęśliwa żona starała się we wszystkim mu dogodzić. Można powiedzieć, że poświęcała się dla niego. Szykowała mu najlepsze przysmaki, a on nic. Podnosił tylko oczy i patrzył na nią tak, jakby ją po raz pierwszy w życiu widział. Patrzył i wzdychał: „To nie to! Nie to!”.

Pewnego dnia Mojszele zasiedział się w *beit-hamidraszu* do późna w nocy. Ani się modlił, ani studiował. Albo siedział pochylony nad pulpitem, albo chodził od ściany do ściany. Żyd, który jako ostatni wychodził z *beit-hamidraszu*, powodowany litością, zawołał do niego:

— Mojsze, idziesz?

Mojsze milczy. Wtedy Żyd ponawia pytanie.

— Dlaczego nie idziesz do domu?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Żyd chwyta go za ramię i mocno potrząsa. Mojsze otwiera oczy i budzi się. Wygląda na wyrwanego z głębokiego snu. Cichym głosem powiada:

— To wcale nie to.

Co wam powiem? Nieszczęsna kobieta zaczęła wylewać lzy goryczy na moją głowę. Przecież to ja naraiłem jej Mojszele. Ja jestem za to odpowiedzialny.

Serce ściska mi się z bólu, kiedy patrzę na tę kobietę. Wykosztowała się. Tyle pieniędzy wydała i za to wszystko otrzymała „To nie to!”. Zastanawiałem się, jak jej pomóc i po namyśle poradziłem jej, żeby pod jakimś pretekstem zwabiła męża do rabiego. Ułożyliśmy razem plan, żeby wykorzystać do tego celu zbliżające się święto Rosz-haszana. To święto ma szczególne znaczenie i wymowę. Wszyscy wiemy, że noc cadyka jest wielka. Wszystko było już gotowe, ale tuż przed świętem Rosz-haszana stało się coś, co zburzyło cały nasz plan.

Jest wieczór. Mojszele siedzi z żoną przy stole. Mają jeść kolację. W pewnej chwili żona powiada do niego, żeby wyszedł i zamknął okiennice, bo nie chce jeść przy otwartym oknie. Mojszele wyszedł, zamknął okiennice i tyle żeśmy go potem widzieli. Zniknął jak kamfóra.

Możecie sobie wyobrazić, co się działo potem w miasteczku. Zakotłowało się od domysłów i komentarzy. Jedni powiadali: — Co się dziwić? Wariat. Poszedł na pewno, mimo chłodu, do rzeki, żeby się wykąpać. Wszedł do wody i utonął.

Drudzy znów tak skomentowali jego zniknięcie: — Nie trzeba się zbytnio przejmować wariatem. Wyszedł, jak zwykle, za miasto i po prostu zablądził.

Wynajęto więc chłopów, żeby przeszukali okolicę i dno rzeki.

Niczego jednak chłopów nie znaleźli. Mojszele nie pozostawił za sobą najmniejszego śladu.

I chociaż zdarza się, że mężowie czasem uciekają od swoich żon, to w danym wypadku nie ma mowy o ucieczce. Mężowie, którzy uciekają od żon, zwykle zjadają kolację, ubierają kapotę i wychodzą. Mojszele zaś zniknął, zanim zjadł kolację i zanim zdążył najążyć kapotę. Powiedzcie mi, kto zostawia miskę klusek z fasolą i w starym ubraniu ucieka z domu?

Żal i litość ogarnia mnie, kiedy patrzę na tę nieszczęsną agunę<sup>77</sup>. Mało ją to kosztowało? Wesele wystawne, ubranie, spodnie, pieniądze za usługi rabina, kantora i szamesa. I wszystko na nic. Dla kogo to wszystko zrobiła? Dla męża, z którym przeżyła tylko cztery tygodnie? I co to było za życie? Chcę jednak podkreślić, że nigdy nie odezwał się do niej złym słowem. Dobrym także nie. Jedyne jego słowa brzmiały:

„To nie to!”

Co w takim wypadku się robi? Pisze się listy do rabinów. Bez skutku. Nie ma jasnych odpowiedzi. Zastanawialiśmy się, czy aby nie napisać do magida<sup>78</sup> — kaznodziei. Jedni twierdzili, że można, drudzy, jak zwykle, byli odmiennego zdania. Stało na tym, że napisano list do magida, żeby wyjaśnił, czy pozostawiona przez Mojszele aguna — żona może wyjść powtórnie za mąż. Ale skąd magid, oby żył jak najdłużej, mógł wiedzieć, jak rozstrzygnąć tę kwestię, skoro rabini nie potrafili.

A Mojszele przepadł bez wieści. Jak kamień w wodę. Wydawało się, że sprawa jest skończona, ale nagle spada niczym z nieba umyślny posłaniec od samego Mojszele. Przyniósł żonie list rozwodowy. Myślicie, że z daleka? Nic podobnego! Z niedaleko położonej miejscowości Piczewki. Wszystkiego pięć wiorst od naszego miasteczka.

Powiedzcie sami, czy komuś wpadłoby do głowy, że wariat ucieknie tak niedaleko? Nikomu nie śniło się szukać go w pobliżu. Do listu rozwodowego załączył pisemne zobowiązanie na 200 złotych, które będzie spłacał w ratach. Po jednym złotym na tydzień. Pierwszy złoty wręczył żonie od razu.

Po kilku tygodniach sam się zjawił i objął posadę melameda. Powiadam wtedy do niego:

— Wariacie, po co przybyłeś? Nie mogłeś tam uczyć dzieci w chederze?

— Ogarnęła mnie tęsknota.

— Za czym? Za kim?

— Za miejscowym cmentarzem.

Mówił to z takim przekonaniem, że ciarki przebiegły mi po grzbiecie. Czyście kiedyś słyszeli, żeby człowiek tęsknił za cmentarzem? On nie kłamał. On naprawdę zatęsknił za cmentarzem.

Co noc, po modlitwie *maariw*<sup>79</sup>, wychodzi za miasto i krąży wokół cmentarza.

Jest kohenem<sup>80</sup>.

Krąży wokół ogrodzenia cmentarza i patrzy z daleka na nagrobki.

Co to ma znaczyć? Zastanawiam się, czy to czasem nie jest regułą — magicznym panaceum na dzieci? Czy Mojszele nie stał się kabalistą? Może nawet czarodziejem?

Co mogę wam powiedzieć? Różne myśli chodziły mi po głowie. Sprawa przyjęła poważny obrót. Albo jest skrytym cadykiem, albo sprzedał duszę diabłu.

Gdybym nie wiedział, że jest kohenem, to bym pomyślał, że związał się z bandą złodziei, którzy okradają cmentarz. Czego bowiem Żyd nie zrobi dla zarobku? Tak jednak nie jest. Od wielu tygodni patrzę na cmentarz i nic się nie dzieje. Spróbujcie coś z tego zrozumieć.

Teraz dopiero doszedłem do tego, czym jest wariactwo. Jeśli mówią, że wariat, uwierz!

Mimo wszystko Mojszele jest moim przyjacielem. Bardzo go lubię... niestety jest wariatem. Ożenić go trudno. Nawet bardzo trudno. Ale nie rezygnuję. Nie mówię „nie”.

A może macie dla mnie jakąś solidną propozycję małżeńską?

<sup>77</sup> *aguna* — żona, której mąż zniknął i nie wiadomo, czy żyje. Nie może powtórnie wyjść za mąż. [przypis tłumacza]

<sup>78</sup> *magid* — kaznodzieja. [przypis tłumacza]

<sup>79</sup> *maariw* — modlitwa wieczorna. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *kohen* — kapłan z rodu Aarona, któremu nie wolno wchodzić na teren cmentarza. [przypis tłumacza]

## REB JOCHANAN — GABE<sup>81</sup>

Zmęczony całodzienną pracą społeczną reb Jochanan pobiegł do domu. Z kuchni doszedł go zapach smacznego jedzenia. Zapach mięsa i gotowanych jabłek. Minął kuchnię i wszedł do pokoju, w którym przebywała jego żona, Sosza. Gdy tylko stanął na progu, przywitała go gniewnym okrzykiem:

— Próżniaku!

— Dlaczego się złościysz? — zapytał ciężko siadając na krzesło.

— Jeszcze się pyta! Bez przerwy jesteś zajęty sprawami gminy. Zawsze coś robisz dla niej. Kiedy nareszcie zrobisz coś dla siebie?

— Dla mnie? — zdziwił się gabe. — A co ja powinienem zrobić dla siebie? Nasze dzieci są już, dzięki Bogu, dorosłymi, samodzielnymi ludźmi. Nam zaś, zdaje się, też niczego nie brakuje. Co więc mam do roboty?

I rozglądając się po izbie dodaje:

— Łóżko, jak widzę, jest już pościelone. Naczynia wyczyszczone. A wszystko to bez mego udziału i bez mojej pomocy. Nie dotknąłem się nawet ścian, a mimo to nie widzę na nich najmniejszego śladu pajęczyny. Stół już jest nakryty. Obrus jest biały jak śnieg. Noże, widelce i łyżki błyszczą niczym złoto. Na stole nie brakuje też ulubionej rzodkiewki, chrzanu i butelki wódki.

— Zostaw twoje kawały. Lepiej byś poszedł się umyć.

— Nie, Soszo. Nie umyję się, dopóki sama nie powiesz, że mam rację. W domu nie mam nic do roboty. Za to w bóżnicy jest wiele do zrobienia. A kto ma się tym zająć, jeśli nie ja? Może sklepikarz Joske, który nie ma nawet czasu na spożycie posiłku? A może ten wędrowny handlarz wiejski Jechiel, który w sobotę wieczór od razu po hawdale<sup>82</sup> wyrusza z domu na handel i wraca dopiero w następny piątek pod wieczór? A może ten lichwiarz Reuwen, który przez cały dzień uwija się jak w ukropie, goniąc od jednego do drugiego dłużnika, by ściągnąć swoje groszowe procenty? A może ktoś z tych biednych rękodzielników, ciężko harujących na kawałek chleba?

— No, niech tam. Dajmy temu spokój. Już się nie złościysz.

— Dobra. Wiem, że już się nie złościysz. Chcę ci jednak udowodnić, że i dla siebie też coś robię. Popatrz, Soszo. Popatrz na moją siwą brodę. Popatrz na moje siwe pejsy. Niech ci się nie wydaje, że jestem ciągle młodzikiem. Właściwie trzeba już szykować się do drogi...

— Do drogi? Do jakiej drogi?

Sosza jest wyraźnie zdumiona. Szybko jednak odgaduje, co mąż ma na myśli. Jest przerażona. Krzyczy:

— Broń Boże! Uchowaj Bóg! Przestań! Nie mów tak! Nie otwieraj ust szatanowi! Nie wywołuj diabła!

— Nie bój się, Soszo! Ty też już przekroczyłaś dwudziestkę. A co powiemy, gdy tam spytają nas, cośmy na ziemi robili? Czegośmy dokonali? Jaką damy odpowiedź? Może powiemy im, że tylko jedliśmy i pili? A co powie na to Najwyższy? Ty, Soszo, będziesz mogła przynajmniej powiedzieć, że zajmowałaś się zbieraniem darów na posąg dla biednych dziewcząt...

— Nie mów!

W jej głosie brzmi błagalna prośba. Boi się, że to jej może zaszkodzić w otrzymaniu należnej zapłaty na tamtym świecie.

— Dlatego też i ja chcę uczynić coś dobrego.

— Bardzo dobrze! Doskonale! Rób, jak uważasz... A tymczasem idź i umyj się.

— Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Pamiętasz Soszo, swoją jedwabną suknię ślubną? Tę w srebrne paski?

— Jakże mam nie pamiętać?

— Może byś ją ofiarowała na parochet<sup>83</sup> dla Arki Przymierza w bóżnicy?

<sup>81</sup>*gabe* a. *gabaj* — zarządca bóżnicy. [przypis tłumacza]

<sup>82</sup>*hawdala* — uroczystość pożegnania soboty; *hawdala* znaczy „odróżnienie”, chodzi o odróżnienie soboty od dni powszednich. [przypis tłumacza]

<sup>83</sup>*parochet* — zasłona wisząca nad Świętą szafą w bóżnicy, zwaną też Arką Przymierza, gdzie znajdują się swoje *Tory*. [przypis tłumacza]

- Doskonale. Już po nią idę...
- Zaczekaj, kochana moja Soszo. Już ją sam wziąłem. Już wisi nad Arką.
- Ach, ty złodzieju! — Sosza mówi to z uśmiechem na twarzy.

Dopiero teraz Reb Jochanan decyduje się umyć ręce i zasiąść do stołu. Z apetytem zajada podane przez żonę jedzenie, po czym odmawia błogosławieństwo i kładzie się spać.

\*

Reb Jochanan pogrążył się we śnie, a jego dusza uleciała do nieba.

Tam w niebiosach wpisała do księgi dobrych uczynków następujące słowa:

„Ja Jochanan, syn Sary, przez cały dzień wykonywałem świętą i zbożną pracę. W duchu tak sobie mówiłem: ja i moja żona Sosza mieszkamy w pięknym, czystym i wygodnym domu. Tymczasem Dom Boga, święty *beit-bamidrasz*<sup>84</sup>, jest w zaniedbanym stanie. Wymaga remontu. W tym celu wynająłem też rzemieślników. Właśnie dzisiaj wstawili do odnowionej bóżnicy nowe ławki i nowy stół. Kazałem też dokładnie wymyć podłogę, oczyścić ściany i wypucować na glanc wszystkie naczynia liturgiczne. Postawiłem również nowy świecznik na pulpicie przy wschodniej ścianie. W kasie miałem na ten cel niewiele. Wszystkiego było 300 złotych i 18 groszy. Na rachunek mojej żony, Soszy, kazałem zrobić parochet. Oprócz tego nadmieniam, że Sosza zajmuje się pracą społeczną, zbiera na posag dla biednych panien przed ślubem. Niech więc Pan Bóg weźmie to pod uwagę i zapisze to wszystko na jej dobro. Remont bóżnicy został w całości zakończony. Szamesowi<sup>85</sup> poleciłem, aby pod żadnym pozorem nie wpuścił do bóżnicy nikogo, kto by chciał tam przenocować. Dom Boga nie może być miejscem noclegowym dla obieżyswiatów i włóczykiów. W nocy bóżnica musi być zamknięta na siedem spustów”.

Dusza Reb Jochanana nie zdążyła jeszcze zakończyć pisania, kiedy w niebie zjawiała się następna dusza. Ta również wpisała do księgi następujące słowa:

„Ja, Bert, syn Judyty, osiągnąłem już sześćdziesiąty rok życia. Dopóki dopisywały mi siły, pracowałem i zarabiałem na kawałek chleba. Kiedy jednak zestarzałem się i siły mnie opuściły, nie mogłem już pracować zarobkowo. Musiałem pójść na żebrzy. Z początku powodziło mi się nawet nieźle. Miałem co jeść. Zamożniejsi ludzie w mieście znali mnie dobrze. Sprzyjali mi i wspierali. Z upływem jednak czasu obrzydłem im. Coraz rzadziej obdarowywali mnie chlebem. Coraz częściej chleb ten był czerstwy i twardy. Nie byłem w stanie go rozgryźć.

Twardy chleb, a ja bez zębów. Doszedłem do wniosku, że dalszy mój pobyt w mieście stał się niemożliwy. Umrę tu z głodu. Zdecydowałem się więc opuścić rodzinne miasto i przenieść się do innego. I oto jestem tutaj. Na dworze był okrutny mróz. Chciałem przenocować w bóżnicy. Taki jest zwyczaj u bezdomnych Żydów. Szames jednak zamknął drzwi na klucz i nie chciał mnie wpuścić. Gabe bowiem nakazał mu, pod żadnym pozorem nie wpuszczać nikogo. Dom Boga — powiedział — nie może przekształcić się w zajezdny dom. Śpię więc teraz na ulicy. Mróz wyciska szpik z moich starych kości. Dokuczają mi głód i zimno. Pytam więc Ciebie, Boże, Panie Świata:

Komu bardziej jest potrzebna bóżnica Tobie czy mnie?”

\*

I wtedy z niebios rozległ się potężny głos:

— Zawezwać obydwie dusze przed Sąd Boży!

Nazajutrz znaleziono martwych: gabego w jego domu, w łóżku, oraz starego nędzarza na ulicy, tuż obok bóżnicy.

<sup>84</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczony do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; działał jak instytucja, bardzo ważna szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jeshiwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*szames* — sługa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

Bóg, Świątynia, Dom,  
Żebrak, Miłosierdzie,  
Urzędnik, Pobożność,  
Sprawiedliwość

# CZASY MESJASZA

Tak jak we wszystkich miastach i miasteczkach Galicji tak też i w naszej gminie mieszkał wariat.

Wariat jak to wariat, przed nikim strachu nie odczuwał. Ani przed kahałem<sup>86</sup>, ani rabinem, ani sędziami. Nawet łaźniebnego z mykwy<sup>87</sup> i grabarza na cmentarzu, którego najbogatsi w mieście się bali, miał za nic.

Ludzie zamykali przed nim bramy i drzwi mieszkań. I chociaż biedny wariat nikogo słowem nie skrzywdził i palcem nie ruszył, to jednak wszyscy podnosili na niego głos, a niektórzy nie żalowali mu nawet kopniaków. Chłopcy z ulicy często obrzucali go błotem i kamieniami.

Ja zaś odczuwałem zawsze w stosunku do niego litość. Coś niepojętego ciągnęło mnie do niego. Miałem ochotę porozmawiać z nim, a nawet pogłaskać go po głowie, ale podejść do niego okazało się niemożliwe, albowiem błoto i kamienie, którymi ulicznicy go obrzucali mogły w części i na mnie spaść. Ja byłem chłopcem ubranym w porządną garniturek uszyty w samym Lwowie lub Krakowie i usilnie starałem się, żeby go nie ubrudzić. Z tego więc powodu trzymałem się z daleka od niego.

Miasteczko, w którym mieszkali moi rodzice i w którym spędziłem dziecięce lata, było twierdzą ogrodzoną fosą, wałami i wysokimi murami. Na murach rozmieszczone były armaty i w niewielkich odstępach stali na wartach uzbrojeni w karabiny żołnierze.

Z chwilą zapadnięcia nocy podnoszono zwodzony most i zamykano wszystkie bramy. Do samego rana miasteczko było odcięte od świata. Przy każdej bramie prowadzącej do miasteczka stał wartownik.

Dopiero po nastaniu pełnego dnia byliśmy wolni. Wolno było wchodzić do miasta i wychodzić z niego bez pytania komendanta placu. Wolno było zażywać kąpieli w rzece płynącej za miastem. Można było rozłożyć się na nadbrzeżnej łące i patrzeć w niebo lub w siną dal.

Patrzeć na to, na co miało się ochotę. Nikt nikomu w niczym nie przeszkadzał, a jeśli nawet ktoś na czas nie powrócił do miasta, nikt o niego się nie dopytywał. Był jeden tylko wymóg: w nocy musiała panować bezwzględna cisza. Wtedy nie wolno było nikomu ani wyjść, ani wejść. Nikogo nie wypuszczano i nikogo do miasta nie wpuszczano. Jedyne szczęście, że wpuszczają do niego księżyc — myślałem wtedy.

Jak długo będę żył, nie zapomnę widoku uchodzącego dnia i zapadania nocy. Pamiętam, że kiedy tylko pierwsze cienie zmierzchu zaczynały kłaść się na miasto, ludzi ogarniał strach. Ze strachu zarówno ludzie, jak i domy jakby się przygarbiły.

Następowała pora podniesienia mostu. Żelazne łańcuchy zaczynały trzeszczeć w potężnych blokach. Szczęk żelastwa i twarde skrzywienie stalowych lin przejmowały człowieka zgrozą. I co wieczór powtarzało się to z niesłabnącą siłą. Nogi pod człowiekiem ugiwały się ze strachu, twarze tępiały ze zmęczenia, oczy gasły jak u konających, powieki opadały, jakby były z ołowiu. Serca cichły i płuca z trudem wciągały powietrze. Patrole nocne zaczynały krążyć po ulicach. Słychać było szczęk szabel przy każdym zderzeniu z wysokimi butami — gumiakami noszonymi przez patrolujących żołnierzy.

Przy błysku bagnetów padały pytania: „kto tam?” Na to hasło trzeba było odpowiedzieć odzewem: „swój”, „tutejszy”. W przeciwnym wypadku jeden tylko Pan Bóg mógł przewidzieć, co się stanie. Toteż nic dziwnego, że wielu mieszkańców wołało zamykać się na klucz w domu i porządnie zaryglować drzwi. Bali się wychodzić poza próg domu.

I oto pewnego dnia zdarzył mi się taki wypadek:

Kąpałem się w rzece płynącej poza murami miasta. Rozkoszowałem się piękną naturą i nie wiem, czy z powodu zapatrzenia się w niebo, czy z zamyślenia nad sobą zapomniałem, że po dniu zwykle zapada noc.

Nagle widzę, jak zwodzony most zostaje podniesiony. W uszach szumi mi od trzasku zamykanych bram. Czuję, że serce zaczyna mi walić jak młot.

Przepadło! Tę noc zmuszony będę spędzić za miastem. I dziwna rzecz: dotychczas każdej niemal nocy śniłem o wolnym świecie poza murami miasta i oto kiedy po raz pierwszy

<sup>86</sup>kahał — gmina żydowska, może również oznaczać zarząd gminy. [przypis tłumacza]

<sup>87</sup>mykwa — rytualny basen, w którym pobożny Żyd oczyszcza swoje ciało. [przypis tłumacza]



moje marzenie się spełniło, ogarnął mnie lęk. Odwieczna, znana i właściwa człowiekowi rozterka między tym, co dyktuje głowa, a tym, co podpowiada serce, przybrała postać walki. Głowa mówiła do mnie: „Zachowaj spokój. Choć raz skorzystaj z dobrodziejstwa czystego powietrza. Delektuj się widokiem gwiaździstego nieba”. Serce natomiast zdrząło z niepokoju i omal nie wyskoczyło z piersi, po czym niby mgła uniosło się w górę, ku mojej głowie. I poprzednia jasna, czysta myśl zaczęła od razu ciemnieć i ciemnieć, aż zniknęła za chmurą. W uszach zaczęło mi szumieć, w oczach migotać. Najcichszy szum spadającej gałązki, najmniejszy ruch cienia lub źdźbła trawy wywoływał we mnie lęk. Wdzierał się w moje ciało i duszę przez uszy i oczy.

Ukryłem twarz w piasku.

Nie wiem, czy spałem, czy tylko tak sobie leżałem. Dalibóg nie jestem tego pewien, ale nagle usłyszałem, że ktoś obok mnie oddycha. Zerwałem się z póluspienia i stwierdziłem, że nie jestem tutaj sam. Dwoje dobrze mi znanych, czarnych oczu wpatruje się we mnie dobrotliwie. Te oczy należą do naszego wariata. Pytam go:

— Co ty tutaj robisz?

— Ja nigdy nie śpiam w mieście.

W jego postaci tkwi coś smutnego. Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem. Głos jego brzmi serdecznie, nawet bratersko. Zapominam o lęku. Przypominam sobie nagle, że w dawnych czasach uważano wariatów za proroków. Zresztą w krajach wschodnich po dziś dzień uważają ich za proroków.

W duchu zadaję sobie pytanie:

„Czy w istocie on także jest jednym z owych proroków? Czy nie prześladowają go tak samo, jak niegdyś prześladowano proroków? Czy nie obrzucają go kamieniami, tak jak ongiś obrzucano nimi proroków?”

Czy jego oczy nie błyszczą jak gwiazdy na niebie? Czy głos jego nie brzmi jak najdoskonalszy dźwięk harfy? Czy nie tkwi w nim ból nas wszystkich? Czy nie znosi on cierpienie całego naszego pokolenia? Może on jeden wie, co nas czeka w przyszłości?”

Ostrożnie, bez pośpiechu, żeby go nie spłoszyć, zadaję mu pytania.

Odpowiada na moje pytania łagodnym, cichym i tak słodkim głosem, że chwilami wydaje mi się, że rzecz dzieje się we śnie, że to tylko śniony w letnią noc przyjemny sen.

— Czy wierzysz — pytam go — w nadejście czasów mesjasza?

— Oczywiście — odpowiada spokojnie i pewnie. — Mesjasz musi przyjść.

— Musi?

— Bezwzględnie. Wszyscy czekają na niego. Nawet niebo i ziemia. Gdyby miało być inaczej, życie nie miałoby sensu! Nikt nie chciałby palcem nawet kiwnąć. Jeśli ludzie pracują, działają i tworzą, to znaczy, że życie ma sens, że ludzie chcą żyć. To świadczy o tym, że ludzie wierzą w nieuniknione nadejście mesjasza. Wiedzą, że jest już w drodze do nas.

— A czy to prawda — pytam dalej — że nim nadejdą czasy mesjasza, rozpętają się na świecie straszne wojny z powodu pojawienia się fałszywych mesjaszy? Ludzie będą się nawzajem pożerać jak dzikie bestie. Cała ziemia przesiąknie krwią. Od wschodu do zachodu, od południa do północy popłyną rzeki pełne krwi i wszystkie zwierzęta chleptać będą tę ludzką krew. Nasiąkną nią wszystkie ogrody, pola i drogi. I wtedy dopiero, kiedy ten potop krwi zaleje cały świat, nadejdzie prawdziwy mesjasz... Powiedz mi, czy to prawda?

— Szczera prawda!

— I ludzie go poznają?

— Każdy, od razu go pozna. Nikt się nie omyli. To będzie mesjasz w każdym ruchu, każdym słowie, każdym spojrzeniu, w każdym nawet grymasie twarzy. Nie będą mu towarzyszyły zastępy wojsk. Nie przyjedzie na koniu i miecza nie będzie miał przy swoim boku.

— A co będzie miał?

— Skrzydła. Mesjasz będzie miał skrzydła. Po jakimś czasie wszystkim ludziom wyrosną skrzydła. A stanie się to w taki sposób: z początku nagle przyjdzie na świat jedno dziecko ze skrzydłami. Potem drugie, trzecie itd. I tak już będzie ciągle... Ludzi ogarnie wtedy strach, ale potem się przyzwyczają. I coraz więcej dzieci urodzi się ze skrzydłami, aż wyrosnie całe pokolenie uskrzydłone. Pokolenie to nie zechce już tkwić i tarzać się

w błocie. Nie zechce już zaciekle walczyć o nędzny byt, o nędzny zarobek, o robaczywe pieniądze.

Długo jeszcze mówił na ten temat, ale ja przestałem go już rozumieć, aczkolwiek głos miał nadal łagodny i smutny, a jego słowa wsiąkały w moje serce jak w gąbkę.

Kiedy skończył, zaczynało już dzień.

Usłyszałem, jak spuszcza ją z twierdzy zwodzony most.

Od tej nocy życie moje w twierdzy stało się nie do zniesienia. Wszystko mi obrzydło: stare zmurszałe mury, trzeszczący ciągle most, żelazne bramy, warty i patrole, chrapliwe wołanie wartowników: „kto tam?” i fałszywa, służalcza odpowiedź: „swój”, „tutejszy”. Obrzydły mi do reszty te wiecznie drżące ze strachu gliniaste twarze mieszkańców, ich przerażone oczy. Nie mogłem dalej patrzeć na rynek, który swoimi drgającymi błędzącymi cieniami kładł się ciężarem na mojej duszy. Nie pozwalało mi to oddychać pełną piersią. Nie pozwalało czuć się wolnym człowiekiem.

I uświadomiwszy sobie to wszystko, poczułem w sercu ból. I naraz ogarnęła mnie przemożna tęsknota... Postanowiłem wyruszyć na spotkanie mesjasza.

Wsiadam do pierwszego napotkanego wozu. Bałagula<sup>88</sup> mierzy mnie wzrokiem i pyta:

— Dokąd?

— Dokąd chcesz, byle daleko stąd.

— Na jak długo?

— Jak długo koń wytrzyma.

Bałagula pociąga za lejce i jedziemy. Coraz bardziej oddalamy się od miasta-twierdzy. Przede mną inne pola, inne wsie i inne miasta. Wszystko jest inne. Jest to jednak wrażenie pozorne. Z wysokości wozu wydaje się inne. W istocie rzeczy wszystko jest takie samo. Przypatrzysz się dokładnie mijanym miejscowościom, dostrzegam unoszącą się nad nimi tę samą melancholię. W oczach spotykanych ludzi zauważyłem te same fałszywe błyski. Nad wszystkimi polami, miastami i wsiami unosiła się mgła, która nie przepuszczała światła z nieba. Gasiła wszelką radość. Wszystko wydawało się skurczone, przyduszone i ściśnięte. Dlatego bez przerwy poganiam mego bałagulę. „Dalej — krzyczę. — Jedź dalej!” Ale nie ja decyduję. Zależny jestem od bałaguly, a ten zależny jest od konia... A koń chce żreć. Chcesz, czy nie chcesz, musisz się zatrzymać.

Wstępuję do przydrożnej karczmy. Duża izba przedzielona zwisającą zasloną na dwie części. W tej części, do której wszedłem, siedzą przy dużym stole trzej mężczyźni. Nie zwracają na mnie uwagi. Za to ja mogę sobie dokładnie ich obejrzeć. Najstarszy z nich jest siwy jak gołąb, ale trzyma się równo, jest żwawy i ma zdrowe oczy. Bez okularów czyta w jakiejś dużej, leżącej przed nim na stole księdze. Na tle białej połyskującej srebrnymi skrajami księgi, on i księga zlewają się niejako w jedną całość. Po jego prawicy siedzi młodszy mężczyzna. To zapewne jego syn. Ta sama twarz, ale bardziej ruchliwa, bardziej nerwowa. Chwilami wydaje się zmęczona. On także ślęczy nad księgą. Oczy ma jednak słabsze. Nosi okulary. Jego księga jest trochę mniejsza i trzyma ją blisko oczu. Jest w średnim wieku. Broda i pejsy zaczynają już tu i ówdzie świecić srebrem. Kiwa się nad księgą. Raz do przodu, raz do tyłu. Odnoszę wrażenie, że ma ochotę oderwać się od księgi, ale nie daje rady, bo księga przyciąga go z powrotem. Dostrzegam, że wargi jego drżą. Raz po raz patrzy na starego, ale ten nie reaguje. Nie zauważa go. Po lewicy starego siedzi najmłodszy. Z pewnością jest to jego wnuk. Młodzieniec ma czarne, błyszczące włosy i nerwowo skrzące się oczy. On też zagląda do książki, która jest znacznie mniejsza od ksiąg obu starszych mężczyzn. Książkę trzyma tuż przed oczyma. Od czasu do czasu odsuwa ją od oczu i spojrzeniem pełnym lęku i szacunku obejmuje starego mężczyznę. Na ojca natomiast patrzy z uśmiechem nieco ironicznym. Nachyla się ku zaslonie, ciekaw, co się za nią dzieje. Dochodzą stamtąd jakieś westchnienia i jęki. Jakby kobieta właśnie tam rodziła.

Mam zamiar zakaszczyć, żeby wreszcie zwrócili na mnie uwagę, ale w tej samej chwili rozchyła się w jednym miejscu zasłona i dwie kobiety pojawiają się przed nami. Jedna jest stara z twarzą o wystających kościach i oczach zdolnych przeniknąć do wnętrza człowieka. Druga, młodsza od niej, kobieta w średnim wieku ma twarz pucułowatą i łagodną. Z jej oczu bije jakaś niepewność. Stoją i przyglądają się siedzącym przy stole mężczyznom. Stoją

<sup>88</sup>bałagula — furman. [przypis tłumacza]

i czekają na pytania. Najstarszy nie zwraca na nie uwagi. Jego dusza jest teraz zespolona z duszą czytanej książki. Mężczyzna w średnim wieku zastanawia się, jak przywołać do przytomności ojca. Najmłodszy zaś, nie zwlekając zrywa się z miejsca i woła:

— Mamo! Babciu! I co...

Jego ojciec wstaje od stołu. Jest wyraźnie zaniepokojony. Tymczasem dziadek odsuwa na centymetr książkę od siebie i kieruje wzrok ku kobietom.

Najmłodszy drżącym głosem ponawia pytanie:

— I co z nią?

— W porządku. Już po wszystkim.

— Urodziła? Urodziła?

Ojciec najmłodszego głosem, w którym brzmi zdziwienie, pyta:

— Matko, dlaczego nie gratulujesz? Dlaczego nie mówisz *mazł tow*<sup>89</sup>?

Stary zaś po dłuższym namyśle powiada:

— Co się takiego stało, że nie słyszę od ciebie *mazł tow*? A jeśli nawet urodziła się dziewczynka...

— Nie żadna tam dziewczynka — odzywa się starsza. — To nawet chłopiec.

— Martwy?

— Ależ nie! Żyje — odpowiada stara kobieta, ale w jej głosie nie ma radości.

— Czy to jakiś potworek lub kaleka?

— Nie, ale na ramionach rysują mu się jakieś znaki.

— Jakie znaki?

— Znaki skrzydeł.

— Skrzydeł?

— Właśnie. I zaczynają z nich wyrastać skrzydła.

Słyszając to, stary aż przysiadł z przerażenia. Jest wyraźnie zatroskany. Mężczyzna w średnim wieku jest pełen zdumienia. Tylko najmłodszy podskakuje z radości:

— Świetnie! Doskonale! Niech rosną te skrzydła. Niech wyrosną na prawdziwe, duże, mocne skrzydła.

— Nie ma powodu cieszyć się z tego — odzywa się mężczyzna w średnim wieku.

— Straszny kaleka — wzdycha najstarszy.

— A to dlaczego? — pyta najmłodszy.

Stary, stanowczym, surowym głosem oświadcza:

— Skrzydła, wnuku, unoszą człowieka w górę... Ze skrzydłami nie można utrzymać się na ziemi.

— To co z tego — replikuje wnuk. — Wielka mi rzecz, żyć na ziemi i tarzać się w jej błocie. Lepiej żyć wysoko w górze. Czy niebo nie jest piękniejsze od ziemi?

Twarz starego pokrywa się bladością. Ojciec najmłodszego zabiera wtedy głos:

— Głuptas z ciebie, moje dziecko! Jak można żyć na wysokościach? Czym można się tam odżywiać? Samo powietrze nie wystarczy. Tam nie ma karczmy. Tam nie dostaniesz koncesji na dostawy. Tam nie ma nawet gdzie i u kogo kupić zajętych skórek. Tam wysoko w górze...

Stary mu w tym momencie przerywa. Ostрым mocnym, stanowczym głosem oświadcza:

— Wysoko w górze nie ma bóżnicy. Nie ma domu nauki. Nie ma miejsca do odprawiania modłów. Tam nie ma tej udeptanej przez wszystkie poprzednie pokolenia ścieżki. Tam w górze, człowiek zabłądzi, zabłąka się, bo nie ma drogi, po której kroczyli wszyscy nasi poprzednicy... Jest się wprawdzie wolnym ptakiem, ale biada takiemu wolnemu ptakowi, jeśli dopadnie go zwątpienie i ogarnie go melancholia!

— Jak się będzie nazywał? — krzyczy już prawie najmłodszy.

Widać, że jest wściekły. Zalewa go krew. Oczy goreją. Chce coś dodać, ale babcia wpada mu w słowa...

— Głupi mężczyźni! O czym wy tu dyskutujecie? A rabin...

<sup>89</sup>*mazł tow* — dosł.: gwiazda, dobry los; formuła życzeń pomyślności, gratulacji wypowiedzianych z okazji radosnych wydarzeń np. narodzin dziecka, zaręczyn, ślubu, po zażegnaniu jakiegoś nieszczęścia lub po pomyślnym zakończeniu jakiejś czynności. [przypis edytorski]

— Czy rabin pozwoli go obrzezać? Czy pozwoli odmówić błogosławieństwo nad skrzydlatym dzieckiem...

I w tej sekundzie budzę się. Moje nocowanie poza miastem, moja podróż i historia ze skrzydlatym dzieckiem okazały się zwykłym snem.

# FARTUCH

Nogami człowiek stoi na ziemi, głową sięga do niebios.

Wszystko zależy od tego, gdzie mieści się serce.

Jeśli jest przy nogach, pragnienie człowieka ogranicza się do spraw ziemskich, „prochu i pyłu”. Serce położone blisko głowy budzi w człowieku pragnienie i dążenie do „wyższych światów”.

Żyd spełniający „Ze śmieci podnosi biedaka”<sup>90</sup> — podnosi swoje dążenia i pragnienia z ziemskiego błota i śmieci ku wyżynom.

Opasany pleconym sznurem, dzieli swoje ciało na dwie części i powiada: „Serce moje, masz należeć do głowy!”.

Wtedy nie mają nad nim władzy ani diabły, ani Lility<sup>91</sup>, ani, uchowaj Bóg, *dybuk*<sup>92</sup>.

W tym także celu kobiety noszą fartuchy.

I proszę nie lekceważyć sprawy z fartuchem.

Rachyw to miasteczko położone niedaleko Opatowa. O błogosławionej pamięci cadyku<sup>93</sup> z Opatowa z pewnością słyszeliście.

Mieszkańcy miasteczka leżącego nad Wisłą utrzymują się z handlu drzewem pochodzącym z okolicznych lasów, spławianych Wisłą do Gdańska. Wtedy był to handel na wielką skalę.

Przebywali tam gdańscy kupcy, wielcy szanowani panowie. Spełniali nakaz „I żeby żył z tobą twój brat”.

Żył więc dzięki nim makler, księgowy w lesie, szyper wiozący noże do młyna w Królewcu, gdzie cały towar przejmował już od nich Niemiec. Słowem całe miasteczko żyło dzięki nim.

Zimą idą w ruch sanie. Ze wszystkich lasów ciągną przez miasteczko do brzegu rzeki fury z drewnem wszelkiego rodzaju. Kloce, podkłady, belki. W drodze powrotnej do domu chłop urządza sobie postój na rynku. Zarabia wtedy karczmarz za czarkę wódki z zakąską. Zarabia właściciel sklepiku żelaza. Chłop płaci za kosę, za jakiś niezbędny kawał żelaza... miasteczko zarabia na soli, na smarze... kowal (również Żyd) naprawia albo przybija nową podkowę.

Jednym słowem chłop daje zarobić na chleb.

Mijają miesiące zimowe i mróz puszcza.

Ciepły wiaterek rozpędza chmury i słońce zaczyna powoli wylazić ze swojej chmurowej skorupy. Letnie ożywienie zapowiada swoje nadejście. Miejscowi przewoźnicy tratwami zaczynają przygotowywać się do rejsu. Z bliskich miasteczek także przybywają właściciele łodzi. Zarabia właściciel domu zajezdnego. Wszyscy szykują się do drogi. Trzeba więc udać się do sklepikarzy. W drodze potrzebne będą: kosztowna wędzonka, tłuszcz, sól, krupa, beczka wódki — wałówka dla flisaków. Słowem zaczyna się ruch nad brzegiem Wisły. Chłopi przybywają ze wsi. Każdy ze swoją siecią, żeby złowić rybę. Każdy ze swoją patelnią, żeby usmażyć złowioną rybkę. Każdy ustawia sobie budkę ze słomy.

Na rynku od świtu do zmroku huczy od uderzeń młotów i siekier. To od zbijania drewna.

Pewnego dnia w środku nocy — zaczyna nagle grzmieć: Wisła rusza, lód pęka, wiatr wieje. Mija jeszcze kilka dni: wiatr zrobił swoje, słońce swoje, chłop zaś pomógł krze za pomocą kilofa i łopaty odpłynąć. Rzeka jest wolna. Spuszczają tratwy. Na rzece płyną już inne tratwy. Wre i kipi życie na brzegu rzeki. Biedna Żydówka z miasteczka utrzymuje się ze swojej placówki na brzegu: sprzedaje owoce, jarzyny, sól. Ukradkiem — gorzałkę.

Zapewne myślicie, żem zapomniał o fartuchu. Nic podobnego. Chciałem najpierw opisać miasteczko, w którym rzecz się wydarzyła.

<sup>90</sup>*Ze śmieci podnosi biedaka* — werset z modlitwy odnoszącej się do Boga. [przypis tłumacza]

<sup>91</sup>*Lilit* — szatanica, żona Belzebuba, królowa nocy. [przypis tłumacza]

<sup>92</sup>*dybuk* — dusza zmarłego, która wstąpiła w ciało żywego człowieka. [przypis tłumacza]

<sup>93</sup>*cadyk* — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

Kondycja ludzka, Serce,  
Obyczaje, Żyd

Strój, Żyd, Kobieta,  
Mężczyzna

Otóż w tym miasteczku zmarł kiedyś *dajan*<sup>94</sup>. Niewiele po sobie pozostawił: wdowę i jedną tylko sierotkę... Gmina zaangażowała natychmiast nowego sędziego i ten zobowiązał się przekazywać wdowie i sierotce jedną czwartą swojej pensji. Zobowiązał się, ale słowa nie dotrzymał. Zbyt wysoka nie była jego pensja, natomiast potomstwem obarczony był nielicho. Podnosi wdowa krzyk w gminie. Rada w radę i gmina postanawia dać jej kilka złotych, żeby sobie urządziła stragan nad brzegiem rzeki. Właśnie umarła jakaś straganiarka i znalazła się dla niej posada. I tak się rzeczy potoczyły. Wdowa postawiła sobie stragan, jej córka, sierota, nosi za nią koszyki tam i z powrotem i bacznie obserwuje ręce klientów. I nie ma sprawy. Kiedy jej mąż żył i zarabiał jako sędzia, też im się nie przelewało. Przy śledziu, bywało, palce sobie przecinali... z głodu, powiadają, jeszcze nikt nie szedł z tego świata. Tylko ta dziewczyna, jej córka! Rośnie, na psa urok, jak na drożdżach. Zdarza się, że usłyszy jakieś mocne gojskie<sup>95</sup> powiedzonko i wtedy odczuwa klucie w całym ciele. A kiedy chłop jakiś podejdzie do niej z rękami, odskakuje jak sparzona, gotowa oczy mu wydrapać.

I jaki będzie koniec?

Czy znowu odwoływać się do gminy? Czy ją posłuchają?

Wzdycha wdowa i patrzy w niebo. Patrzy w górę i wzdycha.

Nie na próżno wzdycha. Jest ucho, które słyszy. I oto pewnego dnia, w wieczór kończący sobotę usłyszała od sąsiadów, że zastanawiają się, czy pora wybrać się do rzeki. Nagle otwierają się drzwi:

— Dobrego tygodnia — woła swat Pinie, który ukazał się na progu.

— Dobrego tygodnia! Dobrego roku! — rewanżuje mu się wdowa. Nie wierzy własnym oczom. — Proszę usiąść, reb Pinie... Surele, córeczko wytrzymaj krzesło...

Surele udaje, że nie słyszy. Odwraca się bowiem, zdążywszy przedtem objąć gościa złym spojrzeniem.

Reb Pinie uśmiecha się.

— Wszystkie one tak postępują!

Krzesło przeciera sama wdowa.

— I co dobrego przynosi nam reb Pinie?

Serce wali w niej młotem. Reb Pinie siada na krzesło, rozdziela palcami brodę na dwie części. Na lewą i prawą. Uśmiecha się jeszcze raz i powiada:

— Bardzo dużo dobrego!

— Mianowicie?

— Wyobraźcie sobie, mianowicie, że wdowiec reb Mendel wrócił z lasu do domu... gonię za nim już od dłuższego czasu: Żyd nie powinien tak długo żyć bez żony... owszem jego żona nieboszczka była kobietą cnotliwą, miała złote ręce... wszystko prawda, ale tak długo obejść się bez żony nie można... a dzieciaki... po prostu zbrodnia... podrzucić sąsiadce pięcioro niebożąt, gdy ta sama ma sześcioro... Żyd wraca na sobotę do domu, a tu dziecięta podrapane, wygłodniałe.

Ja gonię za nim, podsyłam mu nawet ludzi ogólnie szanowanych, zajmujących poważną pozycję, a on ciągle odkłada decyzję. Wciąż zwleka. „Jak to — łapię go za kłapy marynarki — przecież z pana już nie młodzieniaszek... jeśli nie teraz, to kiedy?” Be, me, on nie ma czasu... To trzeba skończyć pracę w lesie, to uporać się z pracą na brzegu... Słowem wykręca się, jak może! Swatam mu konkretną osobę, słucha i zapisuje w notesie. Sprawdza — powiada — i popyta ludzi. Ale nic z tego. Nic nie zrobił. Kandydatka ginie wśród zapisów kubików<sup>96</sup> w notesie.

Tego piątku wrócił wcześniej niż zwykle z lasu, ogląda drewno na brzegu i na kogoś zwrócił uwagę.

— Na kogo?

Reb Pinie zażył szczyptę tabaki i powiada:

— Na waszą jedynaczkę.

Stojąca obok łóżka Sara na dźwięk tych słów rzuca się na posłanie twarzą do ściany.

— Tak, właśnie tak postępują wszystkie niewiasty! — śmieje się Pinie.

<sup>94</sup>*dajan* — sędzia. [przypis tłumacza]

<sup>95</sup>*goj* — nie-Żyd. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*kubik* — metr sześcienny; pot. nazwa miary objętości towarów (np. drewna itp.). [przypis edytorski]

— To co z tego? — pyta z drzeniem w głosie wdowa.

— Co z tego? Ano nic... sobota to sobota... po hawdali<sup>97</sup> posyła po mnie. Idź — powiada — do wdowy po sędzim i wyswataj mi jej córkę. Ja tymczasem jadę z powrotem do lasu. (Furmanka stała już gotowa do jazdy). — Kiedy powrócę, z Bożą pomocą, pojedę do niej w towarzystwie dziesięciu Żydów. Zaniosę jej gościniec.

Reb Pinie zażywa znowu szczyptę tabaki... Wdowa czeka z otwartymi ustami aż do końca jego słów:

— I jak Bóg da, odbędą się zaręczyny.

Z ust Surele wyrywa się bolesny okrzyk. Przypada do niej matka, obejmuje, całuje i stara się na siłę ją przekonywać:

— Córeczko, co za szczęście. Przecież to prawdziwa kopalnia złota... nie zasłużyliśmy, dalibóg, na taką łaskę... Chyba że twój ojciec z za grobu postarał się o to.

Surele wyrywa się z objęć matki. Zeskakuje z łóżka i szlochając wybiega z domu. Wdowę z początku ogarnia przerażenie. Trwa to niedługo. Po chwili uśmiech pojawia się na jej twarzy. Przypomina sobie słowa swata i powiada:

— Postąpiła tak jak wszystkie dziewczęta w podobnej sytuacji, wszystkie tak reagują.

— Tak samo postępują! Tak samo! — bąka pod nosem reb Pinie.

Życzy wdowie „dobrego tygodnia” i wychodząc całuje *mezuzę*<sup>98</sup>.

Wdowa zagłębia się w myślach. Patrzy przez okno na niebo. Jest wdzięczna Bogu. Mruczy pod nosem.

— Dobra rzecz! Dobra nowina!

I byłyby to nawet dobra rzecz, gdyby nie ten fartuch...

I gdyby nie ten brzeg...

Bo gdy słońce zachodzi, na brzegu robi się radośnie i wesoło. Fajrant. Chłopi rozpalają przed swoimi słomianymi budkami ogień z odpadów drewna, wydobywają z budek patelnie i każdy smaży sobie swoją rybę. Jedzenie poszło w smak. Noc jest piękna, gwiazdzista. Chłop do czytania *Pisma* nie ma głowy...

Zaczynają więc śpiewać. Wnet u jednego znajduje się fujarka, u drugiego skrzypce. Gra muzyka. Nie zaszkodzi lyczek gorzały. Nogi same ruszają w tan. Słowem — „hulać dusza”...

W taką noc wybierają się młodzi ludzie i kawalerowie z miasteczka na spacer lub do kąpieli w rzece. Przysłuchują się śpiewom, przyglądają się. Czasami przychodzą tu również dziewczęta... nic dobrego z takich rzeczy nie wychodzi. Czasem jakaś dziewczyna, jeśli nikt tego nie zauważy, podchodzi bliżej uczujących chłopów. Na jej widok chłopak pozwala sobie na żarcik, czasami wciąga ją do tanecznego koła. Mało co się wtedy może dziać.

Strzeż nas Panie Boże...

Kiedyś, dawno temu, na wiele lat przed opisywaną przeze mnie historią, wydarzyła się w tym miejscu brzydka sprawa. Bardzo nawet brzydka i to z dziewczyną z dobrego domu, dziewczyną, która miała być wydana za męża.

Opowiadano o niej po cichu, że ścisła się z jakimś chłopem na brzegu. Gadano, najpierw szeptem, potem głośno, aż doszło do uszu jej ojca i matki. Ci nie uwierzyli, ale zaczęli jej pilnować. Stali się czujni. Wieczorem wszyscy siedzą w domu. Ojciec odmawia modlitwę popołudniową *minche* i wieczorną *maariw* w domu.

Pierwszy dzień mija w porządku. Nic się nie dzieje. Drugi tak samo. Trzeciego dnia jednak okazuje się, że dziewczyna nie może usiedzieć w domu. Bierze szal.

— Dokąd idziesz?

— Do koleżanki.

Zabierają jej szal i powiadają:

— Nieprawda, idziesz na brzeg rzeki.

— Niech będzie na brzeg. Co was to obchodzi?

<sup>97</sup>*hawdala* (hebr. oddzielenie) — w judaizmie ceremonia zakończenia Szabatu, oddzielenia czasu Szabatu (także innych świąt) od dnia powszedniego; po zapadnięciu zmroku lub po nabożeństwie w synagodze odmawiane są błogosławieństwa nad winem, wonnościami i światłem świecy, jest to pożegnanie święta i rozpoczęcie nowego tygodnia. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*mezuzza* — futerałik z drewna lub blachy zawierający werset biblijny, przybijany do framugi drzwi wejściowych. [przypis tłumacza]

Gadu, gadu, dziewczyna przyznaje się: tańczy tam i śpiewa. Ma za kochanka chłopca. On się z nią ożeni. Ona się wychrzci...

Biorą rodzice sznur od wieszania bielizny i przywiązują ją do łóżka. Nic innego, jak tylko *dybuk* wstąpił w dziewczynę. Skoro świt zawiozą ją do cadyka z Opatowa.

Tymczasem na brzegu wciąż rozlega się pytanie: „Gdzie jest Malka (tak nazywała się dziewczyna). Bez niej jakoś smutno. Tak pięknie tańczy i śpiewa. A kiedy rozpuszcza włosy to »żyć nie umierać«”.

Wyprawiają chłopci do miasteczka posłańca, żeby się dowiedział, co się z nią stało. Posłańcem rzecz jasna jest jej kochanek.

Wraca i podnosi raban. Był przed jej domkiem, zajrzał przez okienko do środka.

Opowiada, co tam zobaczył:

— Kochana Malka leży związana. Usta ma zatkane szmatą... biją ją.

Słyszając to, chłopci jak jeden mąż zrywają się z miejsca i biegną ratować kochaną Malkę. Biegną przez rynek. Na ten widok powstaje zamieszanie w miasteczku. Krzyk:

— Chłopi napadają!

Mieszkańcy w mig zdejmują towar ze straganów. Zamykają sklepy. Zamykają się w domach za zaryglowanymi drzwiami.

Budzą się rano ze snu. Wstają, wychodzą na ulicę i dowiadują się:

— Malka została zabrana. Matka śmiertelnie zachorowała. Ojciec przez noc osiwił.

Starzy Żydzi wzdychają: „Gules — diaspora — niewola”.

Młodzi Żydzi jednak podnoszą krzyk. Formują grupę, uzbrajają się w kije i kamienie, i biegną do brzegu, żeby odbić żydowską córeczkę.

Wybucho walka na brzegu. Żydzi mają przewagę. Biją się w imię Boga zastępów. Chłopom na brzegu jednak udaje się zawiadomić swoich na przedmieściu. Ci przychodzą z pomocą. W rękach mają widły. Towarzyszą im psy. Rycerze Izraela dają nogę i ledwo z życiem uchodzą.

Matka Malki tej nocy umarła. Ojciec zamknął dom na wszystkie spusty i wyruszył w świat. Dopiero tuż przed nastaniem zimy chłopci opuścili brzeg i udali się każdy do swojej wsi, do swojej żony i swoich dzieci.

I nie wiadomo, co się dalej stało z dziewczyną. Czy w tym czasie obrzydła im albo, bojąc się, że pobiegnie za nimi do wsi, wrzucili ją do wody, czy też opuszczona przez wszystkich sama się utopiła.

Na długo przed Straszными Dniami<sup>99</sup> rybacy wyłowili z rzeki sieć, a w niej wzdęte ciało dziewczyny z przywiązaniem do szyi kamieniem. Nie do poznania.

Ciało pogrzebali za płotem. Z grzesznej duszy powstał *dybuk*...

Pierwsza zobaczyła dziewczynę w nowej postaci żona gabego<sup>100</sup> w okresie Selichot<sup>101</sup>.

Ledwo z życiem uciekła i w kobiecej części bóżnicy zwanej babińcem, opowiedziała o tym, jak z cmentarza, zza płotu wyszła. Przeszła przez rynek i podeszła do swego domu. Zapukała w drzwi, czekając na głos z wewnątrz. Nie doczekawszy się głosu, podeszła do okienka i zapukała w szybę. Nic. Nikt się nie odezwał. Zaczęła wtedy krzyczeć: „Mamo! Tato!”. I paznokciami podrapała sobie twarz. Zaraz po tym ktoś w miasteczku zachorował. Posłano służącą do apteki po lekarstwa. Ta nie wraca. Rano znajdują ją przed znanym domkiem zemdloną.

Ocucona opowiada:

— Zobaczyłam... płonące jak głownie oczy. Włosy rozwichrzone na całunie... Paznokciami grzebie w drzwiach. I wzdycha: „Tatusiu, mamusiu!”.

Potem następną ją zobaczyli. Coraz więcej ludzi ją widziało. Powoli wszyscy się do *dybuka* przyzwyczaili... A bez fartucha żadna kobieta w miasteczku już za drzwi nosa nie wychylała. Żeby *dybuk* nie uzyskał władzy nad nią.

A kiedy związek małżeński nie jest taki, jak w niebie zapisano, nie jest właściwym związkiem. I oto zdarza się taka historia:

<sup>99</sup>Straszne Dni — dziesięć dni pokuty od Rosz-haszana do Jom Kipur, podczas których decyduje się los człowieka, czy będzie żył lub umrze. [przypis tłumacza]

<sup>100</sup>gabe a. gabaj — zarządca bóżnicy. [przypis tłumacza]

<sup>101</sup>Selichot — błagalne modlitwy o odpuszczenie grzechów w miesiącu poprzedzającym Straszne Dni. Odwiedza się wtedy groby zmarłych krewnych. [przypis tłumacza]



Pewnego wieczoru Surele zanosi do domu koszyki. Matka zatrzymała się przy straganie. Myśli sobie Surele, że warto tymczasem napalić w kuchni. Nim się jednak obejrzała, wpada do domu matka z okrzykiem radości:

— Córeczko, już więcej koszyków nie będziesz dźwigała. Do brzegu, do kramu nie będziesz chodziła.

Twarz Surele pokryła się bladością.

— Co się stało, mamusiu?

— Co się stało? Twój narzeczony wrócił z lasu. Polecił przekazać nam tę nowinę. Reb Pinie spotkał mnie przed drzwiami. Zaraz nadejdzie.

Przyjdzie z *minjanem*<sup>102</sup> Żydów i z poczęstunkiem. Zgodnie z tym, co obiecał.

I Surele znowu rzuca się z płaczem na łóżko.

— Płacz córeczko, płacz. Wypłacz sobie szczęście. Szczęście, które by świeciło jak słońce, a ja przy tobie także odżyję. I słyszysz, córeczko, on już nadchodzi z poczęstunkiem, ale ja też nie chcę pozostać z pustymi rękami. Ja też coś dam...

Przyniosłam kilka śledzi i trochę kartofli w mundurkach ugotuję.

Zanurza Surele twarz w poduszce...

— Leż, Surele, leż córeczko, ja w twoim wieku też płakałam. Też myślałam, Bóg wie, jakie strachy czyhają na mnie w życiu.

I zaraz zabiera się do roboty. Zapala ogień w kuchni, stawia garnek z kartoflami na fajercie. Ogień trzaska wesoło i woda w garnku zaczyna kipieć. Trzeba ją już odcedzić. Nagle przypomina sobie: sól. Zupełnie zapomniałam o niej.

— Córuchno, Sarciu, korono ty moja, bądź taka dobra i skocz do sklepu po sól.

Surele nie reaguje. Matka przypada do niej i zaczyna całować. Powołuje się przy tym na religijny nakaz „czcij matkę swą”.

— Jeśli nie chcesz, to odcedź kartofle, a ja skoczę po sól.

Wstaje wtedy Surele z łóżka i idzie po sól.

Mija chwila, mija druga chwila, mija trzecia, kartofle już odcedzone, a Surele nie wraca. A sklep jest tuż naprzeciw domu. Biegnie wdowa do drzwi, otwiera je i patrzy to na sklep, to na podwórze przy sklepie. Surele jak nie ma, tak nie ma. Woła więc: „Surele, Surele!” Nikt nie odpowiada. Ogarnia ją strach. Bierze szal i wybiega z domu. Serce jej podpowiada że, uchowaj Bóg, coś niedobrego się zdarzyło.

A serce matki posiada coś z proroka.

I rzeczywiście wydarzyło się nieszczęście.

Kiedy Surele leżała w łóżku rozwiązał jej się zapewne sznurek od fartucha i idąc podwórzem do sklepu nie poczuła, jak z niej spadł. A kiedy weszła do sklepu i otworzyła usta, żeby powiedzieć „sól”, wydobył się z nich okrzyk podobny do krzyku chłopów na brzegu: „Hu! Ha!”.

*Dybuk* wszedł w nią przez otwarte usta.

Zrywa z głowy chustę i włosy rozwichrzzone spadają jej na szyję i ramiona.

I oczy zaczynają płonąć ogniem niczym czarne rozżarzone węgielki.

Wyskakuje ze sklepu i gromkim głosem zaczyna śpiewać rozpustną piosenkę, nieraz słyszaną od chłopów na brzegu rzeki. I puszcza się w tan na rynku. I znowu wydaje ryk: „Hu! Ha!”.

I pędem biegnie do brzegu rzeki. Kiedy jej matka wyszła z domu, rynek był jakby zdrętwiały. Sklepiarka zdrętwiałym palcem wskazała jej drogę do brzegu.

Tych Rycerzy Izraela Żydzi nie będą już ratowali... pamiętaj o tamtej walce. Kręcą się jeszcze po ziemi starzy Żydzi. Jeden bez ucha, drugi z połówką nosa... i wzdychają.

Wdowa jednak jest matką. Biegnie więc, na nic nie zważając.

Przybiegłszy na miejsce, zastaje córkę w środku tańczącego koła. Jedną gołą ręką oplata szyję i drugą obejmuje młodego chłopaka.

Tańczy z nim. Chłopek gwizdże na fujarce, skrzypce grają, chłopci przyklaskują rękami i przytupują nogami.

<sup>102</sup>*minjan* — dziesięciu dorosłych Żydów niezbędnych przy odprawianiu uroczystości lub publicznej modlitwy. [przypis tłumacza]

Matka jest matką, więc jednym skokiem przebija się do środka koła.

— Ludzie — krzyczy — ludzie bandyci, ludzie mordercy! Czy nie widzicie, że jest opętana, że wstąpił w nią *dybuk*?

Przed matką chłopci się rozstępują. Jej głos napawa ich strachem. Słowo *dybuk* wywiera wrażenie. Fujarka milknie, skrzypce zamierają. Ona podbiega do córki i odrywa ją od chłopca. Odpycha go na bok i woła do tłumu:

— Popatrzcie na jej oczy, na jej rozwichrzone włosy. Zobaczcie, jak ciało jej się trzęsie. Oszałała. *Dybuk*. Z kim tańczycie? Gdzie są wasze oczy? Jeszcze nie minęło pół godziny, jak *dybuk* wstąpił w nią. Miały się odbyć zaręczyny. Z bardzo bogatym człowiekiem. Prawdziwa kopalnia złota. Posłałam ją po sól... na rynku wstąpił w nią *dybuk*. Być może *dybuk* Malki.

To robi jeszcze większe wrażenie.

Chłopci zaczynają się wycofywać. Każdy śpieszy do siebie, do domu. Matka coraz mocniej przyciska córkę do swojej piersi.

— Nie bój się, córuchno, nie trzęś się. Jutro, za pomocą Jego Imienia, wypędzę z ciebie *dybuka*.

I półżywą zaprowadza do domu.

Opatowski cadyk, oby jego pamięć była błogosławiona, przysłał staremu rabinowi z miasteczka swoją laskę i pouczył, jak wypędzić *dybuka*.

I zaraz, jak tylko słońce się pojawiło, zabrano się do rzeczy.

Szames stukaniem w okiennice zwoływał ludzi do bóżnicy. Ta wkrótce wypełniła się po brzegi. W babińcu również było tłoczno jak nigdy.

Na stół bimy<sup>103</sup> położono deskę służącą do mycia zmarłych przed pochówkiem.

Na tę deskę położyli Surele i przykryli ją czarną narzutą.

Po chwili miejscowy rabin, trzymając w ręku laskę opatowskiego cadyka, wstąpił na schodki prowadzące do Świętej Szafy, po czym odwrócił się twarzą do bimy.

Stoi i cicho szepcze należne słowa i nagle, uderzając trzy razy laską w schodek, woła:

— *Dybuku*, wyjdź!

Zebranych w bóżnicy ogarnia strach. *Dybuk* jednak nie reaguje. Milczy.

Rabin znowu wydaje rozkaz:

— *Dybuku*, wyjdź! Nakazuję ci, żebyś natychmiast opuścił ciało tej dziewczyny!

Tłum drży ze strachu. W babińcu kilka kobiet zemdląło, a *dybuk* jak milczał, tak milczy.

Za trzecim jednak razem, kiedy stary rabin wspomniął o Sądzie Bożym w niebiosach i zagroził, że rzuci na niego kłatwę, którą poprze opatowski cadyk, *dybuk* westchnął spod czarnej narzuty i zawołał:

— Nie mogę, rabinie.

— Dlaczego?

— Którędy mam wyjść? Przez drzwi? Tam przecież stoi *Baal hanes*<sup>104</sup>. Tam też pali się wieczna lampa.

— Przez okno!

— Wszystkie szyby są całe.

Właśnie kilka dni temu szklarz za wygraną na loterii wstawił nowe szyby do okien.

Chwyta rabin laskę i rzuca nią w okno. Szyba rozpryskuje się na drobne kawałeczki.

I *dybuk* wyszedł.

Kiedy jednak zdjęto czarną narzutę, Surele już nie żyła.

<sup>103</sup>*bima* — podium w środku bóżnicy, na którym czyta się podczas modlitw fragmenty *Biblij*. Na nim wygłasza się również kazania. [przypis tłumacza]

<sup>104</sup>*baal hanes* — cadyk obdarzony mocą cudotwórcy. [przypis tłumacza]

# MIĘDZY DWIEMA GÓRAMI

O rabinie z Brześcia i rabim z Białej zapewne słyszeliście, ale nie każdy z was wie o tym, że cadyk<sup>105</sup> z Białej, reb Noach był na długo przedtem wyróżniającym się uczniem w jeszywie<sup>106</sup> brzeskiego rabina. Kilka ładnych lat studiował w jeszywie, by nagle zniknąć. Odbył kilkuletni *galut*<sup>107</sup>, po czym objawił się w Białej.

Przyczyna opuszczenia przez niego jeszywy i zniknięcia na kilka lat była następująca:

W ciągu kilku lat gorliwie i z zapałem studiował *Torę*<sup>108</sup>, by w pewnej chwili stwierdzić, że jest zbyt sucha, gdyż przedmiotem jej zainteresowania są ujęte w sztywne ramy kwestie tego na przykład typu jak całokształt problematyki kobiet w aspekcie prawa, etyki oraz rozważania na temat zakazu spożywania mięsa razem z mlekiem lub prawa majątkowego. I wszystko jest w porządku. Są też chwile, kiedy do rabina i uczniów przychodzą ludzie z pytaniami.

Przychodzi na przykład Reuwen, który wytacza proces Szymonowi. Rabin rozsądza ich. Rozstrzyga i wydaje orzeczenie. Czasem przychodzi służący, który prosi o rozstrzygnięcie jakiejś kwestii w jego osobistej sprawie. Czasem też przychodzi kobieta. Ma problem, z którym sama nie jest w stanie sobie poradzić. Wtedy *Tora* odżywa. Przystaje być suchym, martwym tworem. Nabiera sensu, uzyskuje znaczenie, nawet władzę w świecie.

Bez tych pytań *Tora* jest tylko jakby ciałem bez duszy. To, co jest w niej napisane, znajduje się na samej powierzchni. Tak myśli Noach, który stwierdził, że *Tora* jest sucha. On instynktownie wyczuł, że nie jest *Torą Życia*. Jego zdaniem *Tora* powinna żyć! Kłopot z tym, że w Brześciu studiowanie kabały było surowo zabronione. Rabin w tym mieście był nieprzejednanym *mitnagedem*, czyli przeciwnikiem chasydyzmu. Ponadto był z natury wybuchowy i mściwy.

Jeśli przyłapano kogoś na zaglądaniu do kabalistycznych ksiąg, jak *Zohar* czy *Pardes*, rabin wpadał w gniew. Nie żałował przekleństw i nie cofał się przed obłożeniem śmiałka klątwą.

Przyłapanemu kiedyś na studiowaniu *Zoharu* zwolennikowi mistyki rabin polecił zgolić brodę i pejsy. Na dodatek polecił to uczynić gojowi.

Co, myślicie, stało się potem z tym ogolonym nieszczęśnikiem? Wpadł w melancholię. Po pewnym czasie odszedł od zmysłów. Najdziwniejsze zaś jest to, że żaden cadyk nie mógł temu nieszczęśnikowi pomóc.

Zadzierać z rabinem brzeskim to nie żarty.

I mimo to przez długi czas rabi Noach z Białej nie mógł się zdobyć na opuszczenie jeszywy.

Długo bił się z myślami, aż pewnej nocy przysnił mu się dziwny sen. Oto przyszedł do niego brzeski rabin i powiedział:

— Chodź, Noachu, zaprowadzę cię do dolnego rajy.

Wziął go za rękę i zaczął prowadzić. Szli i szli, aż weszli do dużego pałacu, w którym nie było ani okien, ani drzwi. Z wyjątkiem, rzecz oczywista, drzwi, którymi weszli do pałacu. Już od progu uderzyła Noacha niezwykła jasność panująca w pałacu. A jasność tę powodowały ściany zbudowane z kryształu.

I obaj idą naprzód i naprzód, i końca nie widać.

W pewnej chwili brzeski rabin powiada do Noacha:

— Trzymaj się mojej kapoty. W pałacu jest niezliczona ilość sal. Jeśli oderwiesz się od mojej kapoty, zabłądzisz i to na wieki.

Rabi Noach więc posłusznie trzyma się kapoty brzeskiego rabina. Idą dalej i dalej. Na całej drodze nie ma ani jednej ławki. Ani jednego mebla domowego. Nie ma niczego. Puste sale. Zdumionemu rabiemu Noachowi brzeski rabin wyjaśnia:

— Tu się nie siedzi. Tu się tylko idzie naprzód.

Sen, Zamek, Nauczyciel,  
Nauka, Uczeń, Błędzenie,  
Samotność

<sup>105</sup>cadyk — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>106</sup>jeszywa — wyższa szkoła talmudyczna. [przypis tłumacza]

<sup>107</sup>galut a. golus — diaspora, wygnanie; tu: dobrowolne odosobnienie. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Tora (hebr.) — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też *Pięcioksięgiem* lub księgami Mojżeszowymi, nazwa ta nie wskazuje jednak autora ksiąg, lecz to, że podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe; *Tora* opisuje genezę i rozwój prawa na tle wydarzeń historycznych lub uważanych za historyczne. [przypis edytorski]

Idą więc dalej, trzymając się razem. Przechodzą przez różne sale. Jedne większe od drugich. W każdej sali ściany świecą innym kolorem. Niektóre przeróżnymi, mieszanymi kolorami. I nikogo na drodze nie spotkali.

Od długiego marszu rabi Noach się zmęczył. Zimny pot oblał jego ciało. Od bijącego ze ścian blasku zaczęły go boleć oczy. I raptem ogarnęła go wielka tęsknota. Tęsknota za Żydami, za przyjaciółmi. Za całym narodem żydowskim. A tu nie widać ani jednego Żyda.

— Nie tęsknij i nie czekaj na nikogo — powiada do niego brzeski rabin. — Ten pałac przeznaczony jest tylko dla mnie i dla ciebie. Ty też zostaniesz kiedyś rabinem w Brześciu.

I jeszcze większy lęk ogarnął rabiego Noacha. Zachwiał się, dotknął ręką ściany, żeby nie upaść. Wtedy poczuł ból. Poparzył sobie rękę, ale nie od ognia tylko od lodu. Krzyknął:

— Rabinie, te ściany są z lodu, a nie z kryształu!

Rabin z Brześcia jednak nie reaguje na jego krzyk. Milczy.

— Wyprowadź mnie stąd — woła Noach. — Nie chcę przebywać z tobą sam na sam! Chcę przebywać razem ze wszystkimi Żydami!

I ledwie zdążył skończyć, brzeski rabin zniknął. Rozpłynął się. Rabi Noach z Białej został sam w ogromnym pałacu.

Jak wyjść z pałacu, nie wie. Ze ścian bije zimny, złowrogi strach. I tęsknota za ujrzeniem byle jakiego Żyda jest coraz mocniejsza. Doprowadza go to do płaczu. Zaczyna modlić się do Boga:

— Panie świata, wyprowadź mnie stąd. Wolę już, żebyś mnie wtrącił do piekła, byle razem z Żydami.

I w tej samej chwili zobaczył przed sobą zwykłego, prostego Żyda. Małego Żydka opasanego furmańskim czerwonym gartlem<sup>109</sup>. Żydek trzymał w ręku długi bat. Bez słowa, wziął Noacha za rękaw i wyprowadził z pałacu, po czym natychmiast zniknął.

Tak właśnie wyglądał sen rabiego Noacha.

Obudziwszy się szarym rankiem, rabi Noach zrozumiał, że nie był to zwykły sen. Szybko się ubrał i pognął do *beit-hamidraszu*<sup>110</sup>, żeby śpiący tam uczeni studiujący *Pismo*, wyjaśnili mu sens snu. Po drodze do *beit-hamidraszu* musiał przejść przez rynek. Tu zauważył wóz kryty budą. Patrzy i oczom nie wierzy. Przy wozie stoi furman opasany czerwonym gartlem. W ręku trzyma długi bat. Ten sam Żydek, którego widział we śnie.

Od razu kapuje, że za tym kryje się jakaś tajemnica. Nie zastanawia się długo i zaraz podchodzi do furmana, i pyta go:

— Dokąd Żyd jedzie?

— Nie twoją drogą!

— A może bym się zabrał z tobą? Bardzo o to proszę.

Furman przez chwilę rozmyśla, po czym oświadcza:

— A na piechotę nie łaska? A idź ty sobie swoją drogą!

— Dokąd mam iść?

— Tam, gdzie cię oczy poniosą! Nie moje zmartwienie.

Wtedy Noach zrozumiał, o co chodzi, i wyruszył na „galutową”<sup>111</sup> tułaczkę.

Jak wspominałem na początku, rabi Noach objawił się po kilku latach w Białej. Nie opowiem, jak przebiegła historia z galutem rabiego. Usłyszałem ją z ust świadka, który powołał się na innego świadka. W każdym razie była tak niezwykła, że kto chce jej wysłuchać, musi nastawić oczy i uszy.

W jakiś rok po pojawieniu się rabiego w Białej, bogaty i szanowany Żyd w Białej, reb Jochiel, sprowadził mnie w charakterze mełameda<sup>112</sup> do swoich dzieci.

Z początku nie chciałem nawet przyjąć proponowanej mi posady mełameda. Reb Jechiel, jak już wyżej wspominałem, był mocno nadzianym bogaczem starej daty. Córkom

<sup>109</sup> *gartel* — pleciony sznur zastępujący pas. [przypis tłumacza]

<sup>110</sup> *beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; działał jak instytucja, bardzo ważna szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jesiwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *galut* — diaspora, niewola; tu: dobrowolne wygnanie. [przypis tłumacza]

<sup>112</sup> *melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]

ofiarowywał w posagu ogromne pieniądze. Wchodził w koligacje rodzinne z największymi rabinami. Ostatnią jego synową była córka rabina z Brześcia.

Jest rzeczą zrozumiałą, że jeśli brzeski rabin wraz ze wszystkimi swoimi powinowatymi należał do *mitnagdim*<sup>113</sup>, to i reb Jechiel przyłgął do nich. Ale ja jestem chasydem<sup>114</sup>. Gorliwym zwolennikiem rabiego Noacha z Białej. Jak więc wejść do takiego domu?

Wahałem się, ale coś ciągnęło mnie do Białej, do miasta, w którym mieszkał mój ulubiony cadyk, rabi Noach. Być w jednym mieście z cadykiem to przecież nie bagatela. Rozważyłem wszystkie za i przeciw i w końcu postanowiłem pojechać do Białej.

Sam reb Jechiel okazał się człowiekiem prostym, uczciwym i śmiem nawet twierdzić, że w głębi serca był po stronie rabiego Noacha. Uczonym w *Piśmie* nie był. Na mądrościach rabina brzeskiego znał się jak kura na pieprzu.

Nie zabrania mi być zwolennikiem rabiego Noacha z Białej, ale sam trzyma się z daleka od niego. Kiedy opowiadam coś o rabim z Białej udaje, że ziewa. Ja jednak dostrzegam, że uszy jego łowią każde moje słowo. Jego syn, zięć brzeskiego rabina, marszczy wtedy czoło i mierzy mnie gniewnym i kpiącym zarazem wzrokiem. Dyskusji jednak ze mną nie podejmuje. Zresztą z natury jest małomówny.

I oto nadchodzi dzień, w którym córka rabina brzeskiego, synowa reb Jechiela, ma rodzić. Na pozór rzecz wydaje się normalna, ale okazuje się, że w rodzinie brzeskiej sprawa ta nie jest prosta. Wiadomo było, że rabin przed laty w stanie gniewu nakazał przemocą zgolić jakiegoś Żydowi, który zainteresował się kabałą, brodę i pejsy. Za ten postępek Sprawiedliwi pokolenia wydali na niego surowy wyrok.

Dwaj jego synowie w wieku pięciu i sześciu lat nagle zmarli. Żadna z jego córek nie urodziła męskiego potomka. Przy tym każda z nich rodziła w bólach i mękach. Jedną nogą była już na tamtym świecie. Wszyscy dostrzegli w tym znak z nieba. Tylko sam rabin starał się tego nie dostrzegać. Dalej toczył wojnę z chasydami. Zwalczał ich za pomocą klątw i przy pomocy swoich zwolenników.

Mnie naprawdę żal było córki rabina, Gitele. Po pierwsze szkoda każdej żydowskiej istoty. Po drugie Gitele była bardzo cnotliwą, dobrą i pobożną niewiastą. Śmiem twierdzić, że takiej sprawiedliwej i porządnej istoty jak ona jeszcze na świecie nie było. Bez jej pomocy żadna biedna panna nie mogłaby wyjść za mąż. Czy słusznym jest, żeby ona poniosła karę za grzech ojca?

Dlatego też, jak tylko zauważyłem kręcącą się w mieszkaniu babę-polożną, postanowiłem namawiać wszystkich, żeby do porodu zawołać rabiego z Białej. Wystarczy kwitel<sup>115</sup>. Pidionu<sup>116</sup> rabi nie weźmie. Nie dba o to.

Zastanawiałem się, z kim rzecz omówić. Najpierw zacząłem przekonywać męża Gitele, zięcia rabina z Brześcia. Wiem, że żonę mocno kocha, że jest z nią związany ciałem i duszą. Między nimi panuje idealna atmosfera. Zgoda i pokój domowy wyzieraają wprost z każdego kąta mieszkania. Niby wszystko w porządku, ale w końcu jest przecież zięciem rabina z Brześcia.

Wysłuchał mnie niby uważnie, ale zaraz splunął i odszedł. Zabrałem się więc do reb Jechiela. Ten, po wysłuchaniu moich argumentów, powiada:

— To jest córka rabina brzeskiego. Nie mogę mu tego zrobić! Nawet gdyby w grę wchodziła groźba utraty życia.

Usiłuję wtedy przekonać małżonkę reb Jechiela. Porządna z niej kobiecina, ale prosta, niewykształcona.

Na moje wywody odpowiada:

— Niech tylko mój mąż wyrazi zgodę, to natychmiast posyłam rabiemu z Białej mój świąteczny diadem wraz ze złotymi kolczykami. Kosztowały majątek. Bez zgody męża nie dam najmniejszego grosza.

— Ale kwitel można posłać? Co wam szkodzi posłać kwitel?

— Bez wiedzy męża niczego nie zrobię!

<sup>113</sup>*mitnagdim* — Im od *mitnaged*: przeciwnik chasydyzmu. [przypis tłumacza]

<sup>114</sup>*chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szentowa. [przypis tłumacza]

<sup>115</sup>*kwitel* — kartka z prośbą o pomoc przedstawiana cadykom. [przypis tłumacza]

<sup>116</sup>*pidion* — wykup. [przypis tłumacza]

Powiedziawszy to, odwróciła się plecami, żeby ukryć łzy. Matka to zawsze matka. Sercem wyczuwa niebezpieczeństwo.

Kiedy jednak usłyszałem pierwszy krzyk bólu rodzącej Gitele, sam pobiegłem do rabiego z Białej. Wysłuchawszy o co chodzi, rabi Noach powiada do mnie:

— Szmaj, co mam zrobić? Mogę się tylko za nią pomodlić.

— Rabi, daj mi dla rodzącej jakąś monetę, talizman lub kameę. Zresztą daj cokolwiek...

— To może, nie daj Bóg, jeszcze pogorszyć sprawę. Bez wiary taka rzecz może nawet zaszkodzić. A jak ci wiadomo, ona w takie rzeczy nie wierzy.

Co mogłem więcej zrobić? Akurat były pierwsze dni święta Sukot<sup>117</sup>. Gitele ma bardzo ciężki poród i ja w niczym nie mogę jej pomóc. Lepiej będzie, jeśli zostaną w domu rabiego. Byłem tu zadomowiony. Będę mógł — myślę sobie — oczami bez przerwy błagać rabiego o pomoc. Może się zlituje.

Dochodzą mnie słuchy, że z Gitele jest niedobrze. Już trzeci dzień trwają bóle porodowe. Uczyniono już wszystko, co można było w takim wypadku uczynić. Odprawiono modły przy otwartej Arce w synagodze. Udano się na cmentarz, żeby prosić zmarłych krewnych o wstawiennictwo u Boga. Wypalono setki świec w synagodze i w *beit-hamidraszach*. Rozdano jałmużnę biedakom. Poszło na to mnóstwo pieniędzy. Nie da się wszystkiego opowiedzieć, jak i co uczyniono. W domu Jechiela otwarto wszystkie szafy z ubraniami i sukniami. Na stole leżała góra monet. Biedni ludzie przychodzili i brali, co tylko chcieli.

Serce ścisnęło mi się z bólu, kiedy widziałem, że nic nie pomaga. Powiedziałem wtedy do mego rabiego:

— Rabi, jak to jest? Przecież jest napisane: „jałmużna ocala od śmierci”.

I rabi na moje pytanie odpowiada, jak mi się wydaje, nie na temat:

— Może brzeski rabin przyjedzie!

Ledwie dokończył zdanie, otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi reb Jechiel.

Nie zwraca się do rabiego, tylko do mnie. Jakby rabiego Noacha nie było w pokoju.

— Szmaj — powiada do mnie i łapie mnie za kłapy marynarki — przed domem stoi furmanka. Wsiadaj i jedź do rabina brzeskiego. Powiedz mu, żeby przyjechał.

Widocznie wyczuwał już, czym może się zakończyć poród synowej, bo zaraz dodał:

— Niech sam zobaczy, co się dzieje! Niech sam powie, co należy zrobić!

Twarz miał przy tym, co tu gadać, straszłą. Twarze nieboszczyków lepiej wyglądają.

No i jadę. W drodze nie przestaję myśleć. Skoro rabi Noach wiedział już wcześniej, że rabin z Brześcia przyjedzie, to już z tego musi coś wyniknąć. Może pokój. To znaczy pokój nie między rabinem z Brześcia i rabinem z Białej (oni zresztą między sobą jawnej walki nie toczyli), ale pokój między *mitnagdim* i chasydami. Przyjedzie do Białej i na miejscu zobaczy, co i jak. Oczywiście ma!

Niebo jednak w tak poważnej sprawie nie jest skore do szybkiego pozytywnego działania. Niebo po prostu wypowiedziało mi wojnę. Ledwie wyjechałem na rogatki Białej, pojawiła się na niebie chmura. Chmura chmurze nie równa. Ta była gęsta, ciężka i czarna jak smoła. Na dodatek rozszalał się wiatr. Miałem wrażenie, że wszystkie wiatry, ze wszystkich krańców świata zbiegły się tu razem. Powożący chłop, jak każdy wieśniak, zna się na tych rzeczach. Przeżegnał się i oświadcza, że czeka nas ciężka droga. Podnosi do góry bat i pokazuje mi niebo. Tymczasem wiatr jeszcze bardziej się rozszalał. Rozerwał chmurę na dwa kawałki, jakby była świstkiem papieru i zaczął napychać jeden kawałek chmury na drugi. Przypomina mi to pływające w rzece kry lodu, które, pędzone siłą nurtu, wpadają jedna na drugą.

Nad głową mam już dwu- lub trzypiętrowe chmury. Z początku — przyznaję — nie odczuwałem strachu. Nie przeraził mnie padający deszcz. Byłem do tego przyzwyczajony. Często bywałem przemoknięty do nitki. Piorunów też się nie bałem. Po pierwsze

<sup>117</sup>Sukot — Święto Szalasów; trwa siedem dni; w tym czasie Żydzi jedzą i śpią w szalasach, tak jak ich przodkowie podczas Exodusu. [przypis tłumacza]

w okresie święta Sukot nie grzmi i nie błyska. Po drugie wiadomo, że po dęciu w szofar<sup>118</sup> piorun traci na cały rok władzę nad nami...

I nagle poczułem, że coś chlasnęło mnie po twarzy. Jakby białym ścięło. Trzy razy. W tym momencie opuściła mnie odwaga. Wszystkimi zmysłami wyczuwam, że to niebo bije mnie po twarzy, że niebo nakazuje mi powrócić do Białej.

I chłop także prosi mnie, żeby zawrócić. „Jedźmy — powiada błagalnie — z powrotem do domu”.

Ale ja wiem, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad rodzącą córką rabina z Brześcia. Wśród szumu wiatru słyszę jęki Gitele. Słyszę, jak palce zięcia rabina trzeszczą. Z rozpaczy łamie sobie ręce. Mam również przed oczyma poszarzałą z bólu twarz reb Jechiela. Widzę jego gorejące oczy. Jedź dalej — powiadam do chłopca. Ten świsnął białym i jedziemy. A deszcz leje i leje. Woda leje się z góry i woda pryska z dołu, spod kół wozu i spod końskich kopyt. Cała droga jest już zalana wodą. Po prostu jeden ogromny obszar wody. Na powierzchni wody ukazuje się piana. Mam wrażenie, że nasz wóz już nie jedzie, tylko płynie. Co wam będę mówił? Na domiar wszystkiego zabłądziliśmy. I mimo to nie poddałem się. Wszystko przetrzymałem!

Z brzeskim rabinem zajechałem do Białej w powszedni dzień między świętami Sukot. Dokładnie w Wielką Hosannę<sup>119</sup>.

Gwoli prawdy muszę powiedzieć, że w chwili kiedy brzeski rabin wsiadł do wozu, wiatr ustał i cisza panowała podczas całej naszej jazdy. Potężna chmura pękła na dwie części i przez utworzoną szparę wdarło się słońce. Deszcz także ustał. Szczęśliwie dotarliśmy do Białej. Tę nagłą zmianę pogody dostrzegł także powożący chłop. Mruknął głośno w swoim języku:

— Wielki rabin! Duży rabin!

Warte relacji jest nasze wejście do domu reb Jechiela. Na widok rabina kobiety obstały go ze wszystkich stron. Jak szarańcza dopadły go. Padły przed nim twarzą do podłogi i zaniosły się płaczem. Tymczasem jakby ustały jęki rodzącej w drugim pokoju. Czy to wskutek płaczu kobiet, który mógł zagłuszyć je czy też wskutek wyczerpania Gitele nie mogła już jęczeć? Nie wiem.

Reb Jechiel jakby nas nie zauważył. Stał przy oknie z czołem przyciśniętym do szyby. Widocznie twarz mu płonęła.

Zięć rabina z Brześcia też nie kwapił się z powitaniem teścia. Stał zwrócony twarzą do ściany. Popatrzyłem na niego i zauważyłem, że drży na całym ciele. Raz po raz uderza głową o ścianę.

Przez chwilę pomyślałem, że nie wytrzymam tego widoku, że zaraz upadnę. Byłem ogarnięty żalem i lękiem. Nagle zrobiło mi się zimno. Poczulem, że dusza we mnie zamarała.

Teraz chciałbym was zapytać, czy znaliście rabina z Brześcia?

Był to mąż wysokiego wzrostu o silnej budowie ciała. Istny — mówiono — żelazny chłop. Napawał ludzi strachem. Prawdziwy władca. Nosił długą, białą brodę. Jeden jej szpic, jak pamiętam, zatknęty był za gartlem, a drugi drgał nad gartlem.

Miał białe, grube i długie brwi. Pół twarzy nimi zakrywał. Kiedy unosił je w górę — lęk ogarniał człowieka. Boże Wszchemogący! Kobiety na widok unoszonych brwi padały na ziemię, jakby piorun je poraził. Takie miał oczy. Ostre jak brzytwa. Przeszywały człowieka na wskroś. I nagle krzyknął. Zdawało się, że to ryk lwa.

Krzyknął do kobiet:

— Wara stąd! Precz stąd!

Potem ściszonej już miękkiem głosem zapytał:

— Gdzie jest moja córka?

Pokazali mu pokój, w którym leżała. Wszedł. Byłem pod wrażeniem tego, co słyszałem i widziałem. Byłem całkowicie wytrącony z równowagi. Boże, co za oczy! Co za spojrzenie! Co za głos! Jego postępowanie było zupełnie inne niż postępowanie rabiego z Białej. Zupełnie inny świat. Oczy mego rabiego świecą takim dobrym, przyjaznym

<sup>118</sup>szofar — barani róg, w który dmie się uroczysto w święto Rosz-haszana i na zakończenie święta Jom-Kipur. [przypis tłumacza]

<sup>119</sup>Wielka Hosanna — jeden z ośmiu dni Świąt Szalasów, kiedy przy modlitwie o zmiłowanie potrząsa się gałązkami palmowymi. [przypis tłumacza]

blaskiem. Takim delikatnym, pogodnym blaskiem, że serce człowieka wypełnia się niewysłowioną słodyczą i radością. Kiedy spojrzy na ciebie, wyda ci się, że obsypuje cię czystym złotem... Jego aksamitny, słodyczą nasycony głos, chwytając za serce, delikatnie głaszcząc je. Napawa radością. Przed nim nie odczuwa się lęku. Wręcz przeciwnie. Na jego widok dusza człowieka rozplywa się z radości. Pragnie wyskoczyć z ciała, żeby się zespolić z jego duszą. Wyrwa się, nie przymierzając, jak motyl do jasnego płomienia. Na widok zaś rabina z Brześcia ogarnia człowieka taki strach i taka trwoga, że tylko krzyknij: „Boże, Władco Świata! To *gaon*<sup>120</sup>. *Gaon* starej daty”.

Kiedy wszedł do pokoju córki ogarnął mnie strach. Pomyślałem, że zrobi z niej kupę kości. Pobiegłem więc co sił do rabiego z Białej.

Ten otwiera drzwi i wita mnie z uśmiechem.

— Widziałeś — powiada do mnie — jak wygląda majestat *Tory*?

Natychmiast uspokoiłem się. Jeśli rabi się uśmiecha, to znaczy, że jest dobrze.

I rzeczywiście było dobrze. W Szemini Aceret<sup>121</sup>, ósmego dnia święta Sukot, córka rabina z Brześcia szczęśliwie urodziła. Następnego dnia w Sichmat-Tora rabin rozprawiał już o *Torze* przy stole. Ja chciałem nawet usiąść przy innym stole, ale bałem się wyjść. Beze mnie bowiem zabrakłoby człowieka do minjanu<sup>122</sup>.

Co byście chcieli, żebym wam dalej opowiedział? Może chcecie posłuchać, jaką wiedzę i znajomością *Tory* popisał się rabin z Brześcia? Jeżeli *Tora* przypomina zgłębione morze, to rabin w tym morzu jest Lewiatanem. W jednym palcu ma wszystkie traktaty *Miszny*. Kiedy zanurza się w morzu *Tory*, zdaje się, że słyhać, jak ono wrze i kipi. Swoimi komentarzami na temat *Tory* otworzył mi wszystkie zakamarki w mózgu, ale jest przysłowie, które tak brzmi: „Serce zna swoje niepokoje”. Moje serce, słuchając go, nie zaznało radości. I wtedy przypomniałem sobie sen rabiego Noacha. Zmroziło mnie to!

Słońce świeciło przez okno. Na stole nie brakowało wina. Od wina i słońca wszystkim zrobiło się ciepło. Widać nawet, jak są spoceni. Mnie jednak było zimno. Tam, u mego rabiego słyszałem i widziałem inną *Torę*... Tam jest jasno i ciepło. Każde słowo rabiego Noacha przepojone jest miłością i nasycone ekstazą. Czuje się, że w mieszkaniu unoszą się aniołowie z nieba. Słyhać nawet szum ich białych skrzydeł. Panie świata, jakże chciałbym tam teraz być! Wyjść jednak mi nie wolno!

I nagle rabin przerywa tok swoich wywodów o *Torze* i zadaje pytanie:

— Jakiego macie w Białej rabiego?

— Jest nim niejaki rabi Noach — odpowiadają mu biesiadnicy przy stole.

Słyszając to, serce mi się kraje... Powiedzieli „niejaki rabi Noach”. Boże co za lizusostwo! Co za lizusy!

— Czy jest cudotwórcą?

— Trudno powiedzieć... Jakoś nie słyszeliśmy... chociaż kobiety opowiadają, ale kto na nich może polegać?

— Czy bierze pieniądze bez czynienia cudów?

Opowiadają mu całą prawdę: pieniędzy bierze mało. Dużo za to daje biednym i potrzebującym.

Namyśla się rabin przez dłuższą chwilę, po czym znowu zadaje pytanie:

— Czy nauczać *Tory* potrafi?

— Powiadają, że nawet bardzo. To wielce uczony mąż.

— Skąd ten Noach pochodzi?

Tego nikt nie wie. Okazuje się, że tylko ja potrafię odpowiedzieć na pytanie rabina. Wywiązuje się między nami rozmowa. Rabin pyta:

— Czy wazh Noach nie przebywał czasem w Brześciu?

— Czy był w Brześciu? — powtarzam pytanie rabina. — Chyba tak.

— Ach, rozumiem, ty zapewne jesteś jego chasydem.

Odniosłem wrażenie, że w tym momencie spojrzał na mnie jak na obrzydliwego pajaka.

<sup>120</sup>*gaon* — człowiek obdarzony dużą wiedzą, geniusz. [przypis tłumacza]

<sup>121</sup>*Szemini Aceret* a. *Szemini Aceres* — ósmy dzień Sukot. W tym dniu zazwyczaj odmawia się modlitwę o deszcz. [przypis tłumacza]

<sup>122</sup>*minjan* — dziesięciu dorosłych Żydów niezbędnych przy odprawianiu uroczystości lub publicznej modlitwy. [przypis edytorski]



I obróciwszy się twarzą ku zebrany m rzekł:

— Miałem kiedyś w jeszywie ucznia o imieniu Noach. Tęgą miał głowę do nauki, ale ciągnęło go do tamtej strony świata... Nieraz upominałem go za to. Chciałem go ostrzec, ale pewnego dnia nagle ulotnił się. Czyżby to był ten Noach?

— Kto wie?

I rabin zaczyna go dokładnie opisywać: chudy, niskiego wzrostu, czarna bródka, czarne kręcone pejsy. Zawsze zamyślony. Mówi cicho.

— Być może, że to on. Rysopis odpowiada Noachowi z Białej.

Rozmowa stała się kłopotliwa. Dziękowałem Bogu, że nastąpiła pora odmówienia dziękczynnego błogosławieństwa.

Po odmówieniu błogosławieństwa wydarzyła się rzecz, która nigdy by nie przyszła mi do głowy. Nawet w najśmielszych snach. Oto bowiem rabin podniósł się z krzesła i zawołał mnie na bok. Szeptem powiedział do mnie:

— Zaprowadź mnie, Szmajo, do twego rabiego, a mego ucznia. Tylko uważaj, żeby to się nie rozniosło.

Poddam się woli rabina i prowadzę go do domu rabiego Noacha.

Po drodze z lękiem pytam go:

— Jaką intencją szanowny rabin się kieruje?

Odpowiedź rabina jest rzeczowa i prosta.

— Kiedy odmawiałem dziękczynne błogosławieństwo uświadomiłem sobie, że dotychczas byłem sędzią, który wydawał zaoczne wyroki. Teraz chcę na własne oczy zobaczyć Noacha. Być może, że tym razem Bóg pomoże mi ocalić mego ucznia.

I uśmiechając się żartobliwie, dodaje:

— Wiesz, szajgecu<sup>123</sup>, że jeśli twój rabi okaże się tym Noachem, który u mnie pobierał naukę, to myślę, że wyrośnie z niego wielki mąż Izraela. Może nawet zostanie rabinem w Brześciu.

Słyszając jego słowa utwierdziłem się w przekonaniu, że mój rabi jest właśnie tym Noachem, który studiował w brzeskiej jeszywie. I serce z radości we mnie zadrżało.

I oto obie góry spotkały się z sobą. To, że nie znalazłem się pośrodku obu tych gór, przypisuję cudowi boskiemu.

Rabi z Białej, oby jego pamięć była błogosławiona, zwykł był w uroczystość Simchat-Tora<sup>124</sup> wyprawiać chasydów na spacer po mieście. Sam zaś zasiadał na krześle na ganku, skąd obserwował spacerujących chasydów. Cieszył się widokiem rozradowanych swoich zwolenników.

Dzisiejsza Biała różni się od dawnej. Przed laty było to miasteczko o małych niskich domach. Tylko synagoga, *beit-hamidrasz* i dom rabiego były większe. Ganek rabiego mieścił się na pierwszym piętrze. Z niego widać było wszystko jak na dłoni: wzgórze po wschodniej stronie i rzekę po prawej stronie.

Rabi siedział sobie na ganku i patrzył na to, co się na dole działo. Zauważywszy grupę chasydów, którzy milcząc spacerowali, podrzuca im z góry początek jakiejś melodii. W mig chasydzi podchwytują melodię i zaczynają śpiewać. I oto chodzą już i śpiewają. Za tą grupą posuwa się następna grupa chasydów. I grupa za grupą śpiewa. Wychodzą na miasto ze śpiewem na ustach. Z prawdziwą radością w sercach. Z radością *Tory*.

Sam rabi nie rusza się z ganku. Tym razem usłyszał widocznie nasze kroki i wyszedł na spotkanie rabina z Brześcia.

— *Szolem alejchem*<sup>125</sup>, rabinie — wita cichym głosem dostojnego gościa.

— *Alejchem szolem*, Noachu.

— Proszę usiąść, rabinie.

Rabin siada na krześle, rabi Noach zaś staje przed nim.

— Powiedz mi, Noachu, dlaczego uciekłeś z jeszywy? Czego ci w niej brakowało?

— Brakowało mi — odpowiada grzecznie Noach — oddechu. Nie mogłem oddychać pełną piersią.

— Co to znaczy? Co ty wygadujesz?

<sup>123</sup>szajgec — określenie pejoratywne nieżydowskiego chłopca; pot. łobuziak, urwis. [przypis tłumacza]

<sup>124</sup>Simchat Tora — Radość Tory; święto związane z zakończeniem cyklu czytania *Tory*, obchodzone jest w ostatnim dniu święta Szalasów, zwanych również świętem Sukkot. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>szolem alejchem (hebr.) — pokój wam; pozdrowienie. [przypis edytorski]

— Właściwie nie mnie brakowało oddechu, ale mojej duszy.

— Dlaczego, Noachu?

— Bo twoja *Tora*, to suche, sztywne Prawo. Są w niej twarde przepisy. Nie ma w niej miłosierdzia. Nie ma w niej najmniejszej iskry łaski. Dlatego też pozbawiona jest radości, swobodnego oddechu. Samo żelazo i miedź. Żelazne normy prawne i nieugięte miedziane przepisy... Zbyt wysoki poziom ma twoja *Tora*. Jest dostępna tylko dla uczonych. Dla wybrańców.

Brzeski rabin nie przerywa mu, więc rabi Noach mówi dalej:

— Powiedz mi rabinie, jaką *Torę* masz dla prostych Żydów? Dla żydowskich drwali, rzeźników lub rzemieślników? Co ty masz do ofiarowania, zwłaszcza dla grzesznego Żyda? Co masz dla tych, którzy nie są uczeni?

Rabin dalej milczy. Jakby nie rozumiał, co Noach do niego mówi. Rabi z Białej dodaje do poprzednich słów:

— Proszę mi wybaczyć, rabinie, ale muszę wygarnąć przed tobą całą prawdę. Twoja *Tora* była twarda i sucha. Była ciałem bez duszy.

— Mówisz o duszy?

— Oczywiście! Twoja *Tora*, jak już ci powiedziałem, była przeznaczona tylko dla nielicznych wybrańców, dla uczonych, ale nie dla prostego ludu żydowskiego. *Szechina*<sup>126</sup> zaś powinna spoczywać na całym narodzie Izraela, albowiem *Tora* jest duszą całego narodu żydowskiego.

— A twoja *Tora*, Noachu?

— Czy chcesz ją zobaczyć?

— Zobaczyc *Torę*? — rabin jest zdumiony.

— Chodź, pokażę ci ją! Pokażę ci cały jej blask. Pokażę ci radość, która z niej promieniuje na cały lud Izraela.

Brzeski rabin nie rusza się z miejsca. Rabi Noach ponawia propozycję:

— Chodźmy, rabinie! Proszę Was. To niedaleko.

Zeszli razem z ganku. Ja po cichu szedłem za nimi. Rabi wyczuł moją obecność i powiedział do mnie:

— Szmajo, możesz iść z nami. Ty też zobaczysz dzisiaj *Torę*. Zobaczycie razem Radość *Tory*. Prawdziwą *Simchat-Tora*.

I zobaczyłem to samo niby co zawsze w *Simchat-Tora*, ale dzisiaj jakoś inaczej. Jakby z oczu spadła mi zasłona.

Nad nami rozciąga się ogromne, szerokie niebo. Istna nieskończoność. I błękit... Jasny, czysty błękit. Tak piękny, że oko na jego widok się raduje. Po niebie płyną małe obłoczki. Białe. Srebrzysto-białe. Wpatrując się w nie, można dostrzec, że drżą z radości, że tańczą z radości. Radości *Tory*. I patrząc w dal zauważam, jak miasto opasane jest zielonym, ciemnozielonym szerokim gartlem. I zieleń łąk opasających miasto jest żywa. Tak żywa, jakby radość życia przewijała się wśród traw. Tu i ówdzie wybuchały wśród zieleni trawy płomyki — oznaki życiodajnej radości i rozkoszy. Nadają życiu inny smak. Patrząc i widzę wyraźnie, jak płomyki tańczą i skaczą wśród traw. Mam wrażenie, że obejmują się i całują. I na tych łąkach z tańczącymi płomykami przechadzają się chasydzi. Atlasowe i nawet satynowe kapoty błyszczą jak lustro. Wszystkie kapoty. Zarówno te, które są podarte i te które są całe. I płomyki, które wyrwały się z traw przyczepiają się do błyszczących, świątecznych kapot. Wydaje się, że tańczą wokół każdego chasyda z miłością i ekstazą.

I wszyscy chasydzi patrzą spragnionym wzrokiem w stronę ganku rabiego Noacha. Widzę wyraźnie, jak oczami chłoną światło z twarzy rabiego. I im więcej światła wysysają z jego twarzy, tym głośniejsze śpiewają. I jest w tym śpiew i radość, i świętość.

Każda grupa chasydów śpiewa swoją pieśń, ale w powietrzu wszystkie melodie i wszystkie pieśni zlewają się w jedną melodię. W jedną pieśń. Do ganku rabiego dociera już jedna, jedyna melodia. Jakby wszyscy chasydzi postanowili zaśpiewać tę samą pieśń.

Wszystko dookoła śpiewa. Śpiewa niebo i śpiewa ziemia. Śpiewają niewidoczne teraz gwiazdy i dusza świata śpiewa.

<sup>126</sup>*szechina* — Boska obecność, Duch święty. [przypis tłumacza]

— Boże, Panie świata — szepczę. — Jest mi tak dobrze, iż boję się, że roztopię się w rozkoszy.

Nie doszło do roztopienia się w rozkoszy, bo nagle rabin zawołał, że trzeba odmówić modlitwę *mincha*<sup>127</sup>.

I cały czar prysnął.

Znowu zasłona spadła mi na oczy. Na górze widzę zwykle, zwyczajne niebo. Na dole zieleni się zwyczajna łąka. I chasydzi w podartych kapotach są zwyczajni. I melodia składa się z urywanych kawałków śpiewu. I płomyki zgasły.

Patrzę na rabiego. Jego twarz także ściemniała.

Obie „góry” nie doszły do porozumienia. Brzeski rabi pozostał nadal przeciwnikiem chasydów i jako taki wyjechał z Białej.

A jednak coś z tego spotkania wynikło. Rabin z Brześcia przestał prześladować chasydów.

---

<sup>127</sup>*mincha* — modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

## CHEŁMSKI MEŁAMED<sup>128</sup>

Grzeszne żądze tak opanowały kiedyś świat — opowiadał reb<sup>129</sup> Szachne przebywającym w *beit-hamidraszu*<sup>130</sup> Żydom — że ci poczuli strach, a nuż Stwórca Świata zapomni w gniewnym uniesieniu o złożonej Noemu przysiędze i znów otworzy bramy nieba, żeby zasłać na ziemię potop.

Tym razem nie będzie już żadnego Noego i żadnej arki.

Sytuacja stała się krytyczna. Wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad światem.

Doszło do tego, że nawet najsprawiedliwsi ze sprawiedliwych lamedwawnicy<sup>131</sup> w obawie o swój los zebrali się na zjeździe w Bratkowie, żeby zanalizować sytuację. Przez siedem dni i siedem nocy nieprzerwanie dyskutowali, aż prawie doszli do wniosku, że sami też ponoszą winę za to, co się stało. Jeśli tak, to najwyższa pora, żeby nadszedł mesjasz, który położy temu koniec.

Był jednak wśród lamedwawników pewien Żyd, nosiwoda z zawodu, który się sprzeciwił większości zebranych. Uparł się, że nie powinni uznać siebie za winnych. Kilka razy powtórzył z uporem jedno słowo: „Nie!”. I wtedy rozległ się głos z nieba i za głosem zjawił się na zebraniu anioł Gabriel. Oświadczył, że tak jak lamedwawnicy, postanowiono także na Najwyższym Zgromadzeniu w Niebie.

Nosiwoda jednak nie przyjął oświadczenia Gabriela do wiadomości.

— Nie chcę — powiedział — popełnić grzechu.

Dyskusja rozgorzała od nowa. Długo się spierano, aż wreszcie doszli do wniosku, że przyczyną wszystkiego jest instynkt zła — zwany Jecer hara<sup>132</sup>, którego trzeba koniecznie zniszczyć.

Wszyscy lamedwawnicy byli prostymi biednymi Żydami. Oprócz wspomnianego już nosiwody byli wśród nich szewcy, drwale, kamieniarze itp. Tylko jeden spośród nich otrzymał niedawno w spadku po ciotce zamieszkałej w egipskiej Aleksandrii spory majątek. Było to tak niedawno, że spadkobierca nie zdążył jeszcze zarazić się grzeszną żądzą złotego cielca. Za pieniądze owej ciotki lamedwawnicy postanowili sprowadzić z Egiptu eunucha. Przy jego pomocy postanowili wykołować Jecer hara.

Sprowadzonego eunucha natychmiast ubrali w szaty pobożnego Żyda. Zapuszczono mu brodę i pejsy, tak że wyglądał jak prawdziwy bogobojny chasyd<sup>133</sup>.

Kiedy wszystko już było gotowe, zawezwali Jecer hara i powiedzieli mu:

— Masz przed sobą bogobojnego Żyda. Pokaż, co potrafisz! Wypróbuj na nim swoją moc!

Jecer hara długo się nie zastanawiał. Na widok Żyda z brodą i pejsami wybuchnął śmiechem.

— Wielka mi rzecz — oświadczył — namówić tego słabego Żyda do grzechu.

Nie przyszło mu do głowy, rzecz oczywista, że ma do czynienia z eunuchem.

Ochoczo zabrał się do dzieła. Najpierw zaczął go obsypywać różnymi słówkami. To podlizywał się, każąc mu komplementami, to używał porzekadeł, w których nie brakowało grubych słów.

Eunuch nic, oczywiście, z jego słów nie zrozumiał. Siedział nieporuszony i najmniejszym ruchem nie reagował.

Od ciągłego gadania Jecer hara ochrypl. Po raz pierwszy w swojej karierze napotkał na taki opór i na taką obojętność ze strony porządnego Żyda. Nie dał jednak za wygraną. Sięgnął po nieraz wypróbowany sposób. Gwizdnął raz i dwa i w jednej chwili

<sup>128</sup>*melamed* a. *melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]

<sup>129</sup>*reb* — tytuł grzesnościowy, odpowiednik polskiego „pan”. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. „dom nauki”; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; stanowił instytucję, bardzo ważną szczególnie w XVII i XVIII w., gdy podupadły *jesziwy*, czyli wyższe szkoły talmudyczne. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*lamed waw* — po hebrajsku oznacza 36; religijni Żydzi wierzą, że w każdym pokoleniu żyje trzydziestu sześciu sprawiedliwych mężów, dzięki którym świat się utrzymuje. [przypis tłumacza]

<sup>132</sup>*Jecer hara* — instynkt zły; w każdym człowieku tkwią dwa instynkty: dobry i zły. [przypis tłumacza]

<sup>133</sup>*chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szemtowę. [przypis tłumacza]

otoczyły eunucha przeróżne kobiety. Jedne wyglądały na cnotliwe i szanowane, inne na zwykle mężatki, trzecie na młode dziewczęta. Jedne w krynolinach, drugie w zasłonach na twarzy, inne na pół gołe. Różnie się też zachowywały. Jedne się śmiały, drugie płakały, trzecie przeklinały, czwarte krzyczały. Nie wywierają wrażenia na eunuchu. Ich powaby nie działają na niego. Jecer hara aż poci się ze złości. Widząc, że próba z niewiastami się nie powiodła, znowu gwizdże. Tym gwizdem sprowadza na ziemię biblijną prostytutkę Rachaw<sup>134</sup>. Ona fachowo dobiera się do eunucha, ale nic z tego. Choćbyś stanął na głowie.

Jecer hara postanawia dokonać ostatniej próby.

— Zrobię mu — powiada — masaż. Spróbuję go dobrze natrzeć.

Chwyta eunucha i zaczyna go łaskotać, nacierać i masować. Nic z tego. Cały wysiłek na nic. Sam ledwie zipie. Zaczyna go łamać w nogach i rękach. O mało co nie zemdlął.

Łamedwawnicy tylko na to czekali.

Związali Jecer hara frędzlami *cicit*<sup>135</sup> i zarznawszy go ostrym nożem, używanym przy obrzezaniu, wsadzili do pieca i spalili. Potem, przy szalejącym wietrze, rozsypali jego popiół na wszystkie strony świata.

W niebie zapanowała wielka radość. Na ziemi zaczął się dobry rok. Spokojnie potoczyło się życie pod słońcem.

Narody świata przestały prowadzić między sobą wojny. Ustały kłótnie między małżonkami. Łopat i kociub<sup>136</sup> zaczęto używać już tylko do pieczenia chał. Królowie rozpuścili swoje wojska. Zwolnieni z armii żołnierze wrócili do swoich rodzin.

Karabiny rozdano chłopcom do zabaw w lesie w święto Lag-beomer<sup>137</sup>. Armaty rozmieszczano na polach wiejskich jako straszidła na ptactwo. Można było wtedy kpić z nich. Przestały zagrażać.

I na świecie zapanowały pokój, radość i zgoda.

I wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby drażki od ślubnego baldachimu nie stały bezużytecznie w kącie synagogi. Nikt ich nie potrzebował. Wszyscy mężczyźni stali się ascetami, odludkami. Wszystkie kobiety stały się cnotliwymi działaczkami społecznymi. Trzy dni tak zwanej hagbały, poprzedzające święto Szawuot<sup>138</sup>, podczas których nie wolno mieć kontaktów płciowych, rozciągnęły się na cały rok.

Rabini, kantorzy<sup>139</sup>, szamesi<sup>140</sup> i klezmerzy<sup>141</sup> byli bez pracy.

Skończyły się wydatki na wesela. Koniec z posagami i ślubami. Jedno tylko zostało: studiowanie *Pisma*. Wszyscy więc ślęczą nad księgami.

I wtedy wyłonił się problem, który pogrążył wszystkich w zmartwieniu. Co się dzieje? Umierać ludzie nie przestali, ale naturalny przyrost ustał. Ludzie przestali się rodzić. Czegoś takiego nigdy nie było. I jeden tylko Bóg w niebiosach wiedział, co by się stało dalej, gdyby nie mełamed z Chełma.

Posłuchajcie więc historii, którą wam opowiem:

Jeszcze zanim zebrali się łamedwawnicy w Bratkowie, chełmski mełamed poczuł, że Jecer hara wierci mu dziurę w głowie. Mełamed przeczuwa coś złego, więc idzie do *beit-bamidraszu*. Jecer hara za nim. Mełamed jedzie do cadyka<sup>142</sup>. Jecer hara jedzie z nim. Idzie do mykwy, żeby się oczyścić — a licho zatyka sobie nos, ale do mykwy wchodzi.

<sup>134</sup>*Rachaw* — prostytutka, która uchroniła od śmierci zwiadowców Jozuego przed zdobyciem miasta Jerycho. [przypis tłumacza]

<sup>135</sup>*cicit* a. *cyces* — frędzle przymocowane do czterech rogów talesu; element rytualnego stroju żydowskiego. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*kociuba* — narzędzie używane przy pieczeniu chleba: pogrzebacz do roznarniania żaru a. szufla do wkładania i wyjmowania bochenków. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*Lag-baomer* — 33. dzień od święta Paschy; jedyny dzień między Paschą a świętem Szawuot, kiedy dozwolone jest zawieranie małżeństwa i można się weselić, albowiem w tym dniu ustala panująca zaraza w kraju, podczas której umarło 24 tysiące uczniów rebego Akiwy; w tym dniu po dzień dzisiejszy urządza się dla młodzieży majówki. [przypis tłumacza]

<sup>138</sup>*Szawuot* — święto objawienia *Tory* Mojżeszowi na górze Synaj, zarazem święto pierwszych zbiorów. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*kantor* — śpiewak prowadzący modły w bóżnicy. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*szames* — służa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

<sup>141</sup>*klezmer* — muzykant, grajek. [przypis tłumacza]

<sup>142</sup>*cadyk* — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

Mełamed widzi, że jest niedobrze. Może stracić posadę. Żeby się uwolnić od Jecer hara, ucieka do lasu.

Siedem lat spędził w lesie. Sypiał na gołej ziemi. Żywił się zgniłymi korzeniami. Od-  
mawiał psalmy i recytował z pamięci fragmenty kabalistycznej księgi *Zohar*.

Schudł tak, że można go było przeciągnąć przez ucho igielne. Stał się tak przezroczy-  
sty, że nie można go było okiem uchwycić. Sam widział, a dla innych był niewidoczny.

Czy możecie to sobie wyobrazić?

Kiedy osiągnął już taki stan, postanowił wrócić do miasta. Zdawało mu się, że teraz  
na zawsze już uwolnił się od Jecer hara. Teraz spokojnie może wrócić do domu.

Ledwie jednak zdążył wyjść z lasu, rozpętał się burzliwy wiatr. Świat zdawał się być  
przewrócony do góry nogami. Stało się to akurat w tym momencie, kiedy łamedwaw-  
nicy rozsypali na wietrze popiół po spalonym Jecer hara. I wyobraźcie sobie, że na jego  
nieszczęście, drobina popiołu wpadła mu do lewego oka. Ładna historia, nie ma co. I oto  
lewym okiem zaczął dostrzegać takie rzeczy, których na całym świecie nie można zoba-  
czyć. Od lewego oka zaraziło się prawe oko. Potem drobina popiołu przedostała mu się  
do mózgu i do serca.

Nie będę długo się rozwodził. Jednym słowem chełmski mełamed wchłonął w siebie  
całego Jecer hara i kiedy wrócił do swego miasta, zaraził nim cały świat.

Mój dziadek, oby spoczywał w pokoju, opowiadając mi tę historię, powtarzał wciąż,  
że gdyby nie chełmski mełamed, to by nas już nie było na świecie. Kiedy tylko zobaczył  
jakiś wesele, uroczystość obrzezania chłopca, dziadek zwykł był mówić:

— To dzieło chełmskiego mełameda. W każdym z nas tkwi coś z tego mełameda.

# SZMA ISRAEL ALBO KONTRABASI- STA

W Tomaszowie, polskim miasteczku kongresowym, położonym niedaleko granicy z Galicją, pojawił się pewnego pięknego dnia nikomu nieznany młodzieniec. Kim jest i skąd przybył, nikt nie wiedział. Nikt też nie miał pojęcia, gdzie spędza dni i gdzie nocuje. Od czasu do czasu cichcem podchodził do drzwi tego czy innego zamożniejszego Żyda i zapukawszy w nie, prosił o kawałek chleba.

A że napisane jest „że temu, który wyciąga rękę, należy dać” — dawali mu. Zwłaszcza że młodzieniec nigdy nie prosił ani o pieniądze, ani o jakieś przysmaki. Gdyby mu nawet je dawali, on by ich do ręki nie wziął. Jemu wystarczył kawałek suchego chleba. A skoro tak było, ludzie nie pytali go o to, kim jest i czym się zajmuje. Jedzenie należy się każdemu żywemu stworzeniu. Uwagę jednak ludzi wzbudził fakt, że jest trochę dziwny. Jakby był nie z tej ziemi. Nie interesuje się tym, co się wokół dzieje. Ciągłe wpatrzony jest w odległą dal. Zamiast poruszać brwiami, jak to czynią normalni ludzie, on porusza płatkami uszu. Wygląda na to, że pomimo panującej dookoła ciszy, odbiera jakieś sygnały z przestworu. Nic przeto dziwnego, że wskutek ciągłego patrzenia w dal i słuchania niesłyszalnych przez normalnych ludzi głosów był zawsze rozkojarzony, a może nawet trochę stuknięty.

Wystarczyło, żeby człowiek go o coś zagadnął, a on zaczynał natychmiast drżeć. Wydawał się obudzony ze snu. Sprowadzony nagle z innego, pozaziemskiego świata. Na zadawane pytania odpowiadał zazwyczaj krótko:

„Tak” lub „nie”. Gdyby chciał rozszerzyć odpowiedź, zaplątałby się w słowach jak w zastawionej sieci, z której nie udałoby mu się wyplątać. Tego się widocznie bał, bo przy każdym pytaniu oblewał się potem.

Czasami jakiś Żyd posyłał go do kogoś po coś. Znikał wtedy na kilka dni i wróciwszy po niewykonaniu polecenia, opowiadał jakieś smalone duby. Nic nie trzymało się kupy. Nie z lenistwa, broń Boże, nie wykonał polecenia. On po prostu był, jak zawsze, rozkojarzony.

— Czy spotkałeś człowieka, do którego cię posłałem kilka dni temu?

— Tak, ale dopiero dzisiaj.

— A co dzisiaj robiłeś?

Okazuje się, że po drodze spotkał małą myszkę, która nie mogąc odnaleźć swojej nory, rozpaczliwie piszczała. Potem coś z góry do niego zawołało. Był to podobno jakiś ptak. Przedtem zajął się płaczącą myszką, a potem pobiegł za głosem ptaka. Z tego to powodu dopiero dzisiaj dotarł tam, dokąd miał się udać. Słowem, nie pomagało nawet dokładne i wyraźne wyjaśnienie zadania. On po prostu albo zapominał, albo nie rozumiał, co do niego mówią. Wszystko u niego wychodziło odwrotnie niż zamierzano. Uśmiechał się przy tym prostodusznie i naiwnie, po czym chudą rękę wyciągał po kawałek chleba, albowiem w ciągu tych kilku dni nic nie jadł.

W biednym miasteczku, w którym nie ma możliwości robienia interesów, lato składa się z pustych, długo ciągnących się dni. Ludzie tkwią w oknach, ziewają i gapią się na rynek, a nuż coś się na nim pojawi. Coś takiego, do czego można będzie się przyczepić.

I tak siedzi sobie przy oknie Żyd i patrzy w stronę rynku. Patrzy i nagle dostrzega naszego nieszczęsnego, obcego w tym mieście, młodzieńca. Z nudów przywołuje go do siebie. Już znalazł dla siebie robotę. Wszystkie muchy zdążył już wyłapać, to teraz zacznie rozmawiać z młodzieńcem.

— Chodź no tu, młody człowieku. Wejdz do mieszkania.

Młodzieniec nie wykazuje ochoty. Skinieniem głowy odmawia.

— Po co? — pyta.

— Po to!

I nie doczekawszy się wejścia młodzieńca, sam do niego wychodzi. Siada na progu domu i powiada:

— Jak się nazywasz?

— Jak się nazywam? Abraham się nazywam. Tak przynajmniej mi się wydaje.

— Nie jesteś tego pewien?

Młody człowiek nigdy nie jest niczego pewien. Zresztą jak można być pewnym czegoś. Tyle rzeczy na świecie jest złudnych.

Indagujący go Żyd pęka ze śmiechu.

— A jakie masz przezwisko?

O przezwisku młodzieniec nie ma w ogóle pojęcia. Naiwnie pyta Żyda, czy każdy człowiek musi mieć przezwisko.

— Oczywiście, że musi. Przecież Abrahamów może być wielu. Łatwo wtedy o pomyłkę.

— No to co?

— Dobrze, powiedz mi, czyj ty jesteś?

— Ojca.

— Jak się ojciec twój nazywa?

— Tato się nazywa.

— Gdzie twój tato mieszka?

— Tam, gdzie twój ojciec mieszka!

I mówiąc to, młodzieniec palcem wskazuje na niebo.

Żyd uśmiecha się kpiąco i powiada niby do siebie:

— No i udał się chłopak.

Ale dalej zadaje mu pytanie:

— A innego tatusia nie masz?

— Nie!

— A matkę?

— Czy koniecznie trzeba ją mieć?

Pokłada się Żyd ze śmiechu. Młodzieniec zaś grzecznie pyta go:

— Czy mogę już odejść?

— Poczekaj jeszcze chwileczkę. Skąd, mój mędrco, przyszedłeś?

— Ze wsi!

— Jak się ta wieś nazywa? Gdzie leży?

— Nie wiem.

— Czy daleko stąd?

— Szedłem, szedłem i szedłem.

Słowo „szedłem” powtarza wiele razy. Tak długo, aż wargi zaczęły mu omdlewać.

Na koniec dodaje:

— Szedłem i dalej jeszcze szedłem.

— Przez ile dni i nocy?

— Nie liczyłem.

— A modlić się umiesz?

— Modlić się? Co to znaczy?

Żyd musi mu to wytłumaczyć. Używa przy tym wielu słów, żeby ten wreszcie zrozumiał, o co chodzi. W końcu młodzieniec zaczyna się domyślać, o co pyta go Żyd i powiada:

— Chodzi o rozmowę z moim ojcem?

— Tak. O to właśnie chodzi.

Żyd stara się wypowiedzieć te słowa najszybciej, bo czuje, że zaraz wybuchnie śmiechem.

W końcu okazuje się, że młodzieniec zna słowa modlitwy *Szma Israel*<sup>143</sup>. Żyd pyta go więc:

— Kto cię tego nauczył?

Na to młodzieniec odpowiada, że kiedy szedł ze wsi do miasta przez las, spotkał w nim starego człowieka. Ten powiedział mu, kto jest jego ojcem. Nauczył go też, jak rozmawiać z ojcem. Wystarczyło do tego słowa modlitwy *Szma Israel*. Na oświadczenie, że nie rozumie wyuczonych słów modlitwy, starzec zapewnił go, że ojciec w niebie zrozumie go. Co więcej, ucieszy się.

— Jak często rozmawiasz z ojcem?

— Dwa razy dziennie. Przy tym gram.

<sup>143</sup> *Szma Israel* — *Shuchaj Izraelu*, modlitwa, wyznanie wiary w jedyne Boga. [przypis tłumacza]



- Grasz? Na czym?  
— Na czym popadnie.

We wsi grał zazwyczaj na źdźbłach trawy. Potem chłopci nauczyli go wyrabiać z drzewa fujarkę. Teraz gra tylko na niej.

- A gdyby ci подарowano skrzypce?

Na dźwięk tych słów oczy młodzieńca rozpromieniły się. Jakże pragnąłby mieć skrzypce. Takie skrzypce, na których grają klezmerzy<sup>144</sup> miastowi. Jeszcze bardziej chciałby grać na takim dużym instrumencie, który klezmer nosi na rzemieniu. Ojej, jak zagrałby na nim.

Żyd, słysząc jego zachwyty nad takim instrumentem, trochę kpiąco i trochę z ciekawości powiada do niego:

- Dobrze. Kupimy ci taki instrument pod warunkiem, że przedtem pokażesz nam, jak potrafisz grać.

Młodzieniec, nie zwlekając, wyciąga zza pazuchy glinianą fujarkę i zaczyna grać. I natchmiasz w górze pod samym niebem powstaje zgiełk. Ze wszystkich stron zlatują się gromady ptaków. I krążą wkoło nad nim. Młodzieniec z uśmiechem na twarzy patrzy na krążące nad nim ptaki, po czym zadowolony chowa fujarkę za pazuchę.

Rozmawiający z nim Żyd tego wszystkiego nie widział, ponieważ nie zadał sobie trudu podniesienia twarzy ku niebu. Zresztą w tej samej chwili, kiedy rozległy się pierwsze dźwięki fujarki, wyszła za próg domu jego żona i tuż za nią służąca. W oknach pojawiły się też dwie małżeńskie pary. Na ich widok Żyd zapragnął popisać się swoją mądrością i przenikliwością w stosunku do młodzieńca. Zaczął go dalej pytać:

- Czym odżywiałeś się w lesie?  
— Grzybami.  
— A czym odżywiałeś się we wsi?  
— Tym, co mi dawano.  
— Kto ci dawał?  
— Czasem chłop i czasem chłopka. Czasem ksiądz i czasem karczmarz.  
— A co ci dawali?

Zadając to pytanie Żyd wstrzymuje na chwilę oddech. Teraz — myśli sobie — szydło wylezie z worka. Młodzieniec w swojej naiwności nie wyczuwa kpiny i szczerze odpowiada, że dawano to kapuśniak, to barszcz. Czasem mięso i czasem chleb. On jednak jadł tylko chleb. Inne rzeczy rozrzucił ptakom.

- Dlaczego tylko chleb?  
— Bo tylko chleb lubię. Innego jada nie znoszę.

O to, co lubi jeść, zapytał go również stary człowiek w lesie. Odpowiedział tak samo. Lubi tylko chleb. Stary usłyszawszy jego odpowiedź, oświadczył, że go za to kocha i nauczy, jak rozmawiać z ojcem w niebie. On także pokochał starego.

*Szma Israel* odmawia z całą powagą dlatego, że tak mu stary nakazał.

- A gdyby ci nakazał kraść? — pyta go Żyd.  
— To bym kradł!  
— A gdyby ci kazał zabijać?  
— To bym zabił! Ale on mi tego nie nakaze, ponieważ to dobry człowiek.  
— Przypuśćmy, że kazałby ci zabić człowieka. Co byś wtedy zrobił?  
— Zabiłbym!  
— I nie bałbyś się ojca swego?  
— Czego miałbym się bać?  
— Kary. Kary ze strony ojca.

Po raz pierwszy w czasie tej dość długiej rozmowy, twarz młodzieńca opromienił uśmiech.

- Pan chyba żartuje. Ojciec nie karze!

Tymczasem nastąpiła pora modlitwy *mincha*<sup>145</sup>. Rozległy się nawoływania do niej. Żyd szybko opuścił młodzieńca i pobiegł do bóżnicy, żeby między modlitwą *mincha* a wieczorną *maariw*<sup>146</sup> opowiedzieć modlącym się, jak mądrze i chytrze wypytywał młodzieńca.

<sup>144</sup>klezmer — muzykant, grajek. [przypis tłumacza]

<sup>145</sup>mincha — modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

<sup>146</sup>maariw — dosł.: zmierzch; nazwa modlitwy wieczornej. [przypis edytorski]

To, co miał im opowiedzieć, stałoby się niewątpliwie przedmiotem zainteresowania w miasteczku, gdyby tymczasem nie nastąpiło inne wydarzenie, które zaprzętnęło uwagę jego mieszkańców.

Gmina miała kapelę: dwoje skrzypiec, flet, klarnet, bęben i, jak to zwykle bywa, kontrabas. Biedna to była kapela. Grywała na weselach, trochę grosza zarabiała w święta Chanuka<sup>147</sup> i Purym<sup>148</sup>. Czasem zdarzało się, że inne kapele były zajęte, więc pomniejsi dziedzice angażowali ją na swoje bale. Wysokim poziomem gry kapela się nie wyróżniała.

I oto w miasteczku wydarza się niecodzienny wypadek. Jest zima. Wczesnym rankiem miejscowa kapela wraca z balu jakiegoś pomniejszego dziedzica. Klezmerzy dostali na balu po sporym łyku wódki. Zakąski żadnej nie otrzymali. Musiała każdemu wystarczyć własna kromka chleba. Wracają teraz szybkimi krokami i podśpiewują, mruczą i przeklinają. Z tyłu za nimi wlecze się kontrabasista, który dźwiga najcięższy instrument. Z trudem udaje mu się wyciągnąć zapadające się w śniegu nogi. Jest już posunięty w latach i do tego chorowity. Ze wszystkich sił krzyczy do swoich kolegów, żeby go nie zostawiali. Żeby mu nie umknęli. Nikt go jednak nie słucha. Jego koledzy prą naprzód. Nie żałują sobie soczystych słówek. Obrzucają się nawzajem wiązkami przekleństw. Bo oto w środku drogi postanowili dokonać podziału zarobionych na balu pieniędzy. A całkiem trzeźwi, jak wiadomo, nie byli. Tymczasem pogoda się pogarsza. Wzmaga się wiatr, a za nim śnieżycza. Klezmerzy ze strachu szybko trzeźwieją. Przyspieszają kroku. Za chwilę już nie idą, ale biegną. Dotarli wreszcie do miasta i rozeszli się, każdy do swego domu. Z miejsca rzucają się na łożko. Jak martwi na nie padają. Żeby tylko się przespać. Ale nic z tego. Kontrabasista, okazuje się, nie dotarł do domu. Jego żona podniosła gwałt. Biegnie od jednego do drugiego klezmera i krzykiem wyciąga ich z łożka. „Gdzie jest mój mąż?” „Gdzie zostawiliście mego męża?”

Wyrwani ze snu klezmerzy, z których wódka do końca jeszcze nie wyparowała, zaczynają powoli przytomnieć. Kiedy wreszcie słowa żony kontrabasisty dotarły do ich świadomości, ogarnęła ich trwoga. Szybko wyskoczyli z łożek i rozbiegli się szukać zaginionego kolegi. A tu śnieg i wszelki ślad po drodze lub ścieżce zaginął. Cała ziemia pokryta białą. Opatulona w biały całun ze świeżego, niewinnego śniegu.

Jak tu znaleźć zagubionego kontrabasistę? Szukaj w polu wiatru.

Toteż daremne są poszukiwania. Wracają do domu z pustymi rękami. Tli się w sercach iskra nadziei, że — być może — kontrabasista poszedł po rozum do głowy i po drodze schronił się w jakiejś wiejskiej chacie.

Mija dzień. Mija jeszcze jeden dzień i mróz puszcza. Śnieg zaczyna topnieć. Jest piątek. Ludzie dla uczczenia soboty śpieszą do łaźni. Tu nie milkną rozmowy na temat zaginionego. Ale nikt nic nie wie. Dotychczas nie napłynęły nowe wieści. I nagle w samo południe na rynek zajeżdża chłopska furmanka, a na niej zamrożony na śmierć kontrabasista.

Szybko, żeby tylko zdążyć przed zapaleniem sobotnich świec, chowają nieboszczyka.

Pozostała po nim wdowa z pięciorgiem małych dzieci. Wieczorem następnego dnia, tuż po tym, jak sobota dobiegła końca, zwołane zostaje zebranie klezmerów w budynku gminy. Zarząd kahału<sup>149</sup> nie posiada funduszu. Chce, żeby klezmerzy obeszli się bez kontrabasisty i żonie zmarłego płacili regularnie ze swoich zarobków. Klezmerzy protestują przeciwko temu. Kapela — twierdzą — bez kontrabasu nie jest kapelą.

Na żydowskich weselach można za zezwoleniem kahału obejść się bez kontrabasisty, ale żaden dziedzic nie ruszy w tan, jeśli w kapeli zabraknie kontrabasuu...

Na to obecny na zebraniu rabin oświadcza, że ratowanie Żyda od śmierci jest ważniejsze od pańskiego tańca. Wybaczy rabin, powiadają klezmerzy, ale szanowny rabin nie zna się na muzyce. Na te słowa rozległ się krzyk: „łobuzy!”

Wtedy nasz znajomy Żyd, który tak dociekliwie wypytywał młodzieńca, uderzył ręką w stół i zawołał:

<sup>147</sup> Chanuka — święto obchodzone przez osiem dni na cześć odnowionej świątyni i zwycięstwa nad greckimi okupantami. [przypis tłumacza]

<sup>148</sup> Purym a. Purim — święto upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman, minister na dworze perskiego króla, postanowił zgładzić. [przypis tłumacza]

<sup>149</sup> kahal — gmina żydowska, może również oznaczać zarząd gminy. [przypis tłumacza]

— Cicho, moi panowie! Znam właśnie młodzieńca, który pragnie grać na kontrabasie. Jestem pewny, że potrafi to dobrze zrobić. Ożeńmy tego młodzieńca z wdową, a wtedy wilk będzie syty i owca cała, gmina zaś nie poniesie żadnych kosztów.

Może powiedział to żartem, ale członkowie zarządu gminy z rabinem z jednej strony i klezmerzy z drugiej strony uchwycili się jego rady jak tonący brzytwy. Zgodę wyraziła również wdowa oraz sam Abraham. I szybko, nie zwlekając, tegoż miesiąca odbyło się wesele.

I tak w sposób nieoczekiwany Abramek znalazł się w posiadaniu żony, pięciorga małych dzieci i kontrabasu ze smyczkiem.

Z żoną żyje w zgodzie. Do mieszkania nie wchodzi. Nocuje pod drzwiami. Całymi dniami włóczy się po okolicy. Nie wiadomo dokładnie, gdzie. Zjawia się tylko wtedy, kiedy odbywa się bal u dziedzica albo jakieś weselisko w mieście. Przychodzi wtedy grać. Kiedy jest głodny, puka w okno domu żony. Ona podaje mu pajdę chleba, on szybko chwytą ją i natychmiast znika. Zjawi się, kiedy znowu poczuje głód.

Na pytanie sąsiadki, czy jest jej dobrze w małżeństwie odpowiada z uśmiechem:

— Jestem szczęśliwa. Jest mi tak dobrze, że lepiej już być nie może.

Bo czego potrzeba starej Żydówce? On nie pije. Złego słowa od niego nie usłyszysz. Co do rachunków z kapelą, ona je prowadzi. Zapłatę za jego grę ona pobiera. Jednym słowem, niczego jej nie brakuje.

Wygląda na to, że Abramkowi też niczego nie brakuje. Z początku miał pewne kłopoty z pozostałymi klezmerami, ponieważ nie zawsze udawało mu się wpaść ze swoją grą na właściwą tonację. On na swoim kontrabasie grał sobie a muzom... Wtedy klezmerzy przestawali grać, ale Abramek grał swoją melodię, jakby wtórował innej zupełnie kapeli. Kapeli grającej gdzieś daleko, daleko stąd. Kapeli, której gry oprócz niego nikt nie słyszał. Z upływem czasu klezmerzy jakoś przyzwyczaili się do niego. Grając na balu u dziedzica wiedzieli z góry jak i co mają z nim zrobić. Tuż przed zakończeniem gry do jakiegoś tańca jeden z klezmerów szybko wyrwał mu z rąk smyczek. Na żydowskich weselach zaś naumyślnie pozwalali mu dalej grać i wtedy ludzie pękali ze śmiechu. W ten sposób goście weselni mieli dodatkową uciechę.

Zarząd gminy był z Abramka zadowolony. Ten siedział zawsze obrócony twarzą ku ścianie, żeby nie patrzeć na kobiety. Ze stołu biesiadnego niczego do ust nie brał. Kromkę chleba miał zawsze przy sobie. Nikt jednak nie widział go jedzącego. Do wzywania ludzi do nabożeństwa zarząd gminy mógł z niego zamiast szamesa<sup>150</sup> korzystać przez cały rok. Normalnie szames stukaniem młotem w bóżnicy wzywał Żydów do modlitwy *chacot*<sup>151</sup>.

Rano i wieczorem wygrywał swoje *Szma Israel* na łące, nad rzeką płynącą za miastem. O północy zaś na środku rynku. Dźwięki jego kontrabasu przerywały nocną ciszę, wdzierając się przez zamknięte okiennice i drzwi do wnętrza mieszkań i wnętrza ludzkich serc. I wyczuwało się w tych dźwiękach niezwykle czystą ufność. I tego, kogo szames stukający młotem w bóżnicy nie zdołał obudzić, podrywały dźwięki kontrabasu Abramka. Ludzie więc, chcąc nie chcąc, zrywali się z łóżek, żeby przystąpić do Bożej służby. Zapalali świece i w te pędy biegli do bóżnicy, odmawiać modlitwę *chacot*.

Czasami zdarzało się, że podczas tańca panicz zostawiał partnerkę i poirytowany podbiegał do Abramka, żeby wyrwać mu pejs lub włos z brody. Wściekł się, bo Abramek wpadł swoim kontrabasem w niewłaściwą tonację tanecznej melodii. Żydzi na weselach lub innych uroczystościach przy takich okazjach śmiali się i pokpiwali z Abramka, ale budzeni przez cały rok jego grą nawołującą do *chacot*, wzdychali i powiadali:

— Nieszczęsny głuptas, ale w jego grze coś ważnego tkwi. Coś musi tkwić.

Niektórzy zaś wyrażali swoje zdanie w taki sposób:

— Nieszczęsna z niego istota. Nie potrafi mówić, ale chce rozmawiać z Bogiem.

Pewnego razu odbyło się w Tomaszowie wielkie wesele. Takie wesele zdarza się raz na pięćdziesiąt lat. Okazja bowiem była nie lada. Oto rabin z Krakowa żenił syna z córką parnasa<sup>152</sup> z Lublina. W środku drogi między Krakowem a Lublinem leży Tomaszów. Wymarzone miasto dla tego wesela.

<sup>150</sup>szames — sługa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

<sup>151</sup>chacot — dosł.: północ; modlitwa odmawiana o północy. [przypis tłumacza]

<sup>152</sup>parnas — starosta żydowskiej gminy. [przypis tłumacza]

Parnas z Lublina chciał olśnić krakowskiego rabinę przepychem przygotowanego przez siebie wesela. Niech wie — myślał w duchu — z kim wchodzi w związek rodzinny.

W tym celu polecił wytoczyć z piwnicy beczkę złotych na koszt wesela. Zawczasu wyprawił do Tomaszowa grupę kelnerów i służących, żeby wszystko przygotowali z rozmachem. Z przepychem godnym króla. Tak jak przystoi lubelskiemu bogaczowi, który doznał szczęścia spokrewnienia się z krakowskim rabinem.

Przybyli więc z Lublina kelnerzy i służący i zabrali się do wyszukania odpowiedniego dużego lokalu, w którym miałyby się odbyć wesela.

A goście będzie co niemiara. Z Lublina, Krakowa i rzecz jasna z Tomaszowa. Będą to Żydzi bogaci i nobliwi. Uczni w *Piśmie*, rabini i sędziowie.

I trzy kapele będą grały: lubelska, krakowska i tomaszowska. Ta ostatnia też jest dobra i koniecznie chce grać na tak wspaniałym weselu.

Tuż za miastem stoi ogromna szopa, w której zimą suszyło się drewno, które kupcy spławiali do Gdańska. Teraz załadowane nim barki płyną już Wisłą. Na koszt lubelskiego parnasa wynajmują kelnerzy tę właśnie szopę. Istną arkę. Zamawiają u malarzy obrazy, które potem zawieszają na ścianach szopy. Dekorują szopę zwisającymi z sufitu girlandami tak, że przypominają gałęzie w Szalasie podczas święta Sukot<sup>153</sup>. Ustawiają w szopie-arcie rzędy stołów. Oddzielne dla mężczyzn i kobiet.

Na ścianach szopy zawieszają też lampiony z papieru. Szopa jest ogromna. Zmieści się w niej co najmniej czterdzieści minjanów<sup>154</sup>. Jest kilka wejść do szopy. Jedno dla kobiet, drugie dla kelnerów i obsługi i trzecie dla muzykantów. Do środka prowadzi duża brama, na której namalowana jest korona *Tory*<sup>155</sup>. Ta brama przeznaczona jest dla krakowskiego rabinę i co nobliwszych gości.

I oto nastał dzień wesela. Gości wciąż przybywa. Rozmieszczają się u miejscowych co zamożniejszych gospodarzy. Każdy z tomaszowian poczytuje sobie za zaszczyt gościć przyjezdnych. Udostępniają im swoje najładniejsze pokoje.

Jest wieczór. Wszyscy siedzą już przy stołach. Świece w świecznikach zostały zapalone. I płomień świec zmieszane ze światłami bijącymi z papierowych lampionów, z błyskiem złotych kolczyków, diademów i broszek noszonych przez kobiety wypełniły całą szopę wielką jasnością. Światłością *Tory*. Światłością uczonych w *Piśmie* z Lublina, Krakowa i Tomaszowa.

Na honorowym miejscu siedział rabin z Krakowa.

I oto szereg kelnerów uwija się już wśród stołów, niosąc półmiski z rybą. Dźwięczą noże i widelce pośród radosnego gwaru kobiet.

I wśród dźwięku sztućców i szumu gwarzących rozlegają się słowa uczonych przy stole krakowskiego rabinę. Rozprawiają o *Torze*. Nagle w tok ich rozmów wpada muzyka. Trzy kapele na raz zagrały coś wesołego. I płomień świec na stołach, i światełka umieszczone w lampionach zaczynają pod wpływem muzycznych fal radośnie drgać. Oparty o poręcz krzesła krakowski rabin rozplywa się w rozkoszy, słuchając gry kapel. Na muzyce znał się jak nikt.

Tymczasem klezmerzy przechodzą z wesołej do poważnej melodii. Przechodzą w sposób prawie niezauważony. Jakby cicho przepłynęli przez rzekę.

Skrzypce krakowskie grają tak przejmująco, że wydaje się, iż przemawiają słowami. Otwierają się serca słuchaczy i muzyka wlewa się w nie. I trzy kapele podtrzymują te skrzypce. I wydaje się, że to rzeka płynie, że to sama Wisła pełnowodna wylewa się z brzegów. Kołysze się w takt i szumi miarowo na cześć nowożeńców i krakowskiego rabinę. I nad Wisłą fruwa ptak. Przecudowny ptak, który śpiewa. Wdzięcznie, słodko i płacząco śpiewa.

<sup>153</sup> *Sukot* — Święto Szalasów; trwa siedem dni; w tym czasie Żydzi jedzą i śpią w szalasach, tak jak ich przodkowie podczas Exodusu. [przypis tłumacza]

<sup>154</sup> *minjan* — dziesięciu dorosłych Żydów niezbędnych przy odprawianiu uroczystości lub publicznej modlitwy. [przypis tłumacza]

<sup>155</sup> *Tora* — Pięcioksiąg; pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też księgami Mojżeszowymi, zawierających tzw. prawo Mojżeszowe, tzn. ilustrujących powstanie prawa wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne, opisujących genezę i rozwój prawa; *korona Tory* (hebr. *Keter Torę*): jedna z zewn. ozdób zwoju *Tory*, srebrna a. złota korona symbolizująca Boga, zwieńczenie życia pobożnego wyznawcy judaizmu (szczególnie na nagrobkach), a także uznanie najwyższej władzy, świętości i mądrości *Tory*. [przypis edytorski]

I wybuchają okrzyki zachwytu. Radosne i podniosłe okrzyki. Takie, na jakie zasługuje wielkie radosne wesele. I choć ogromna radość panuje w szopie, nie wolno zapomnieć w diasporze o tym, że *szechina*<sup>156</sup> jest w niewoli.

Wybuchają znowu przerwane na chwilę wybuchy radości. Przecież to wielkie, niecodzienne wesele. Tyłu uczonych mężów z krakowskim rabinem na czele zebrało się w tej szopie. I świąteczny panuje tu nastrój. I kapele, jakby porwane tym nastrojem, nagle zaczęły znowu grać. Tym razem głośniej, wyżej. Jakby starały się wspinać po drabinie, coraz wyżej w górę.

I wszystko dookoła błyska, tańczy, szumi. I raptem wszystko urywa się. Jakby naraż wszystkie struny w instrumentach pękły. Zalega cisza. I oto w tej kompletnej ciszy rozlegają się dźwięki kontrabas: bu, bu, bah. To Abramek gra. Oczy wszystkich kierują się ku jego palcom. Nikt nie porusza nawet brwiami. Jedna tylko ręka Abramka wodzi smyczkiem po kontrabasie.

To klezmerzy zrobili mu kawał. Chcieli jego kosztem zabawić weselnych gości. Ale kawał nie bardzo był udany.

Muzyka, Modlitwa,  
Artysta, Pobożność

Klezmerzy patrzą na gości. Czekają na wybuch śmiechu. Goście weselni jednak wbijają wzrok w Abramka, po czym kierują spojrzenie w stronę rabina z Krakowa. W jego obecności nikt nie odważy się śmiać. Prawda, że w oczach błyskają im iskry śmiechu, że wargi im się skręcają od hamowania śmiechu, ale muszą się powstrzymać. Muszą zobaczyć, jak się zachowa rabin z Krakowa. A ten, oparty o poręcz krzesła, ze sztrajmłem<sup>157</sup> na głowie, opuścił powieki na oczy. Czyżby drzemał?

A kontrabas dalej gra swoje.

— Bu, bu, buh, buhh.

I jakoś wszyscy poczuli się nieswojo.

Raptem rozlega się zgiełk za środkowymi drzwiami. Wszyscy zwracają oczy ku nim. Wyraźnie słychać tupot zbliżających się kroków. Kelnerzy w mig podbiegają do drzwi. Otwierają je i ogarnięci strachem zaczynają krzyżeć:

— Nie! Nie! Dla was, biedaków, będzie oddzielna uczta.

Biesiadnicy domyślają się, że to żebracy chcą wejść do szopy. Rabin z Krakowa otwiera oczy i chce coś powiedzieć. Chyba chce powiedzieć, żeby ich wpuścili, bo co innego?

I oto w drzwiach staje starzec w podartym ubraniu. Włosy na głowie ma rozwichrzzone. Broda i pejsy siwe. Żebrak. Typowy nędzarz. Z jego oczu jednak bije blask królewskiej wielkości. I ruchy rąk ma władcze, królewskie. Kelnerzy są przerażeni. Unikają jego wzroku. Z szacunkiem ustępują mu z drogi. Niechący tworzą szpaler.

I starzec odziany w łachy najnędźniejszego z nędzarzy, o ruchach królewskiego władcy wchodzi w szpaler. W środku szopy zatrzymuje się. Za nim stoi już cała wataha żebraków. Biesiadnicy siedzą zastygli w milczeniu. Także rabin z Krakowa siedzi nieporuszony i milczy. Tylko Abramek robi swoje. Widać, jak przez jego plecy przechodzi drżenie, jak ręką wodzi smyczkiem po strunach kontrabas, a ten stęka tęsknie i czule:

— Bu, bu, buk, bukh.

Po chwili milczenia stary król w żebraczym stroju otwiera usta. Wszyscy wbijają w nie wzrok. Biesiadnicy z innych stołów stoją na czubkach palców, by lepiej widzieć i słyszeć.

I starzec wypowiada jedno słowo! *Chacot*.

Po chwili zaś zwraca się do rabina z Krakowa:

— Rabinie! To Abramek przygrywa do *chacot*. Widzę, że nie wierzysz w to, więc posłuchaj... Aby zasłużyć na usłyszenie grającego na *chacot* Abramka sądzonym ci było wejść w związku rodzinne z lubelskim parnasem, a Tomaszowowi sądzonym było znaleźć się w połowie drogi — między Krakowem i Lublinem. Dzięki zaś tobie wszyscy goście mają okazję posłuchać gry Abramka. Niestety, nie odbiorą jego muzyki tak jak ty, bo z ciebie jest prawdziwy znawca muzyki.

— Bu, bu, buh, buh — wygrywa dalej Abramek. I naraż wszyscy słuchają go zastygli w zachwycie, jakby zaczarowani. Stary żebrak podnosi ręce i daje jakiś znak sufitowi szopy.

<sup>156</sup>*szechina* — Boska obecność, Duch święty. [przypis tłumacza]

<sup>157</sup>*sztrajmł* — kapelus z lisim otokiem noszony w dni uroczyste przez chasydów. [przypis tłumacza]

I dach w jednej chwili pęka na dwie połówki. Jedna połówka opada na prawą stronę, a druga na lewą. Jakby dwa skrzydła w szalasię ze święta Sukot. I w górze pojawia się usiane migoczącymi gwiazdami niebo.

Przez szeroki otwór powstały w szopie po pęknięciu dachu widać, jak księżyc sumie po niebie. I kiedy bezszelestnie przepłynął nad otwartą szopą, stary żebrak jeszcze raz skinął ręką i niebo także rozstąpiło się. Widać niezmierny przestwór światłości. I z tej światłości, która drga i kołysze się, słychać śpiew i grę. To Niebiańskie Zgromadzenie odprawia *chacot*. Anielskie chóry śpiewają. Anielskie kapele śpiewają i grają tę samą melodię, którą gra Abramek. I Abramek wtóruje na kontrabasie temu niebiańskiemu śpiewowi i grze. I płynie razem ze swoją grą w tej niezmiernie światłości, która drga i kołysze się na wysokościach.

Zastygły w milczeniu tłum stoi, słucha i drży.

I jeszcze raz skinął starzec ręką w stronę nieba, a ono natychmiast zamknęło się. Umilkła muzyka. Gwiazdy płyną po firmamencie. Migoczą, błyskają i drżą. Drżą z radości. Cichej i smutnej radości.

I znowu starzec machnął ręką i obie połówki dachu szopy zrosły się w jedno.

Ludzie nadal nie ruszają się z miejsca. Zastygli i skamienieli. Nie słychać, jak oddychają. Ale zaraz rozległy się znowu dźwięki kontrabas Abramka.

— Bu, bu, buh, buhh.

I nagle z rąk Abramka wypadł smyczek. Wstał, obrócił się twarzą ku biesiadnikom i wyrzekł słowa: *Szma Israel*. I wyrzekł je w tej samej tonacji, w jakiej grali w niebiosach. Gdy skończył, zemdłał. Byłby już upadł, gdyby go nie pochwycił stary żebrak, który zawołał do kelnerów:

— Zabierzcie go natychmiast do szpitala!

Ci wzięli Abramka i wynieśli z szopy. Wtedy starzec zwrócił się do rabina z Krakowa:

— Rabinie, okazuje się, że przyjechałeś nie na wesele, ale na pogrzeb. Abramek powołany został do Najwyższego w niebie. Brakuje tam kontrabasisty.

Powiedziawszy to, starzec wraz z żebrakami ulotnił się jak kamfora.

A dalej sprawa się tak potoczyła:

Następnego dnia Abramek umarł w bóżnicy. Krakowski rabin razem ze wszystkimi gośćmi uczestniczyli w jego pogrzebie.

Co zaś się tyczy starca, to chodzą słuchy, że był to Lejb, syn Sary, ale jest to tylko przypuszczenie.

# POSŁANIEC

Idzie drogą posłaniec, a wiatr rozwiewa poły jego płaszcza i rozwichrza włosy jego brody. Raz po raz chwyta się prawą ręką za lewy bok. Coś go tam kłuje, ale nie chce się do tego przyznać. Każdemu powiada, że ręką sprawdza zawartość kieszeni za pazuchą.

Ma jedno życzenie i jedną obawę:

— Zebym tylko nie stracił kontraktu i nie zgubił powierzonych mi pieniędzy. A jeśli nawet coś tam w boku mnie kłuje, to głupstwa! Jeszcze, chwała Bogu, mam dość sił, żeby wypełnić zadanie posłańca. Inni w moim wieku nie ujdą nawet jednej wiorsty bez odpoczynku, ale ja, dzięki Bogu, jeszcze nie muszę zwracać się o pomoc do gminy. Sam zarabiam na swój kawałek chleba. Ludzie, chwalić Boga, nie boją się powierzyć mi swoich pieniędzy.

I snując dalej swoje myśli, stwierdza:

— Gdybym ja posiadał na własność te pieniądze, które ludzie mnie powierzają, żebym je zaniósł do ich klientów, to bym w wieku osiemdziesięciu lat nie pracował już jako posłaniec. Ale skoro Bóg tak chce, to niech się stanie Jego wola.

Tymczasem zaczął padać śnieg. Coraz grubsze płatki śniegu spadały na ziemię.

— Zostało mi jeszcze — pomyślał — około pół mili do celu. Pół mili dla mnie to bagatela! Żadna tam dla mnie odległość! Jest już bliżej niż dalej.

Obraca się i stwierdza, że nie widać już miejskiego zegara, ani kościoła, ani wojskowych koszar. Pełen więc animuszu wykrzykuje do siebie:

— Szmario, weź nogi za pas i jazda!

I słucha swego rozkazu i dalej zasuwa po mokrym śniegu. Stare nogi grzęzną w błotnistych zaspach. Z trudem wyciąga je z nich. Chwała Bogu — powiada — że nie ma silnego wiatru.

U niego silny wiatr graniczył z wichurą. W rzeczywistości wiatr na drodze był dostatecznie silny. Z dużą siłą wiał mu prosto w twarz. Wiał tak, że zapierał dech. Wykradał z jego starczych oczu wszystkie łzy. I w oczach go coś kłuło. Jakby szpilkami. Zresztą z oczami miał od dawna kłopoty.

Za pierwsze zarobione pieniądze planował kupić ochronne okulary na drogę. Takie duże okulary całkowicie zasłaniające oczy przed wiatrem i śniegiem.

Idzie naprzód, nie przestając rozmyślać:

— Gdyby Bóg zechciał, to bym już zarobił te pieniądze i kupił sobie okulary. Wystarczyłoby otrzymać codziennie jakieś polecenie od kupców, żeby zanieść ich klientom w innych miejscowościach kontrakty i pieniądze. Odległość nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Chodźcie to jeszcze, chwała Bogu, potrafię. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłbym sobie te okulary.

Jest coraz zimniej. Zapewne przydałby mu się jakiś kożuszek. Lżej by było piersiom oddychać. Na razie zaś ma tylko ciepłąwą kapotę. Byłaby jeszcze całkiem dobra, gdyby się tylko nie darła i nie strzępiła. I na wspomnienie przebiega mu po twarzy uśmiech zadowolenia. To nie dzisiejsza kapota. Żadna tam tandeta. Nie rozsypuje się jak pajęczyna. To kapota uszyta z dawnego dobrego satynowego materiału. Jeszcze jego przeżyje. A to, że nie ma wycięcia z tyłu, to jej zaleta dodatkowa.

— Kożuszek — kombinuje w myślach — jest właściwie lepszy od kapoty. Kożuszek grzeje. Nawet bardzo dobrze grzeje. Ale najpierw musi mieć okulary. Kożuszek jest potrzebny na zimę, okulary zaś zawsze są potrzebne. Nawet latem. Gdy wiatr zawieje, kurz leci do oczu. A kurz w oczach jest gorszy od chłodu zimy.

A więc najpierw okulary, a potem dopiero kożuch. Oby tylko Bóg pomógł mu odebrać pszenicę. Wtedy zarobi jakieś cztery złote, za które kupi okulary.

Człapie więc dalej po drodze i mokry śnieg bije go po twarzy. A wiatr coraz bardziej się wzmaga i w boku coraz boleśniej go kłuje.

— Gdyby tylko wiatr zechciał zmienić kierunek — życzy sobie z całego serca. Ale widocznie tak powinno być. W drodze powrotnej będzie miał wiatr z tyłu. Wtedy lepiej się będzie szło. A więc wszystko w porządku.

Lżej mu się zrobiło na sercu.

Za chwilę jednak musiał przystanąć. Zabrakło mu tchu. To go trochę zaniepokoiło:

— Co się ze mną stało? Mało to mrozów i wiatrów przeżyłem? Byłem przecież kantonistą<sup>158</sup>.

I przypomina mu się służba wojskowa odbyta za czasów Mikołaja<sup>159</sup>. Trwała dwadzieścia pięć lat. Służył w dalekich garnizonach. Zawsze pod karabinem. Dostyc w życiu się namaszerował. Przemierzył góry i doliny. Na mrozie i w śniegu. Nierzadko podczas śnieżnych zawiei. I co to były za śniegi i mrozy! Drzewa pękały od takich mrozów. Często zdarzało się, że lecące w powietrzu ptaki nagle spadały martwe na ziemię. Ale żołnierz rosyjski maszerował żywo i żywo, i do tego jeszcze śpiewał piosenki, i nogami przytupywał.

Sama myśl, że udało mu się przetrzymać ciężką dwudziestopięcioletnią służbę wojskową i związane z nią kłopoty, zmartwienia i ciosy, że nie dał się śniegom, mrozom i zawiejom, że nie ugiął się pod ciężarem głodu, pragnienia, biedy i zdrowy powrócił do domu, dodała mu teraz sił.

Poczuł się nawet przez to wywyższony. Z dumnie podniesioną głową ruszył dziarskim krokiem naprzód.

— Co taki mróz może dla mnie znaczyć? W Rosji były mrozy co się zowie!

Śmiało więc idzie dalej. Wiatr nawet trochę się uspokoił. Ale robi się coraz ciemniej. Powoli nadciąga noc.

— Cóż to za krótki dzień?

I mówiąc to, przyśpiesza kroku. Nie chce, żeby noc dopadła go po drodze. Nie na próżno uczęszcza w soboty do synagogi, żeby słuchać słów *Tory*<sup>160</sup>. A ona powiada, że wychodzić w drogę i wracać z niej należy, póki jest widno.

Kiszki zaczynają mu marsza grać. Jest głodny. Ma już taką naturę, że kiedy odczuwa głód, ogarnia go radość. Wie, że apetyt to dobra rzecz. Kupcy, którzy posługują się nim jako posłańcem, skarżą się, że nie poznali smaku głodu i nie mają apetytu. On, dzięki Bogu, ma apetyt! Nie ma go tylko wtedy, kiedy jest chory. I właśnie wczoraj poczuł się chory i chleb wydał mu się kwaśny.

I jeszcze jaki kwaśny! Żołnierski chleb! Kiedyś może był kwaśny, ale dzisiaj? Fonia piecze dzisiaj taki chleb, że wszyscy żydowscy piekarze mogą się przed nim schować. I chleb, który kupił, był całkiem świeży. Samo krojenie go napawało rozkoszą. Ale sam Szmara był niezdrów. Chłód przenikał go do szpiku kości.

Niech będzie jednak pochwalony Ten, którego imienia nie godzien jest wymienić.

Rzadko bowiem Szmara chorował.

Teraz też odczuwa apetyt. W kieszeni ma pajkę chleba i kawałek sera... Ser dała mu na drogę żona kupca, oby była zdrowa i długo żyła. Gdyby tak nie przeklinała, to by z niej była całkiem porządna kobieta.

W tym miejscu przypomniał sobie zmarłą żonę.

— Moja żona, Szprynca — pomyślał — też miała dobre serce i też lubiła kłąć. Za każdym razem kiedy wyprawiałem w świat syna lub córkę, płakała jak bóbr, ale kiedy byli jeszcze w domu, to nie żalowała im przekleństw. Nie powiem już, co się działo, kiedy jedno z dzieci umarło. Biła głową o ścianę. Rzucała się na podłogę i ryczała. Pewnego razu nawet chciała rzucić kamieniem w niebo.

— Pomyślałby ktoś, że Pan Bóg przejmie się płaczem jakiejś głupiej baby...

A ona — pamiętam — nie pozwoliła tragarzom z Bractwa Pogrzebowego wynieść trumny ze zmarłym dzieckiem. Wyrывała im włosy z bród. Pobiła nawet kobiety, które chciały ją od tego powstrzymać.

— Niech mi wybaczy, że tak ją wspominam. Muszę jednak przyznać, że była w istocie dobrą kobietą. Nawet mnie kochała, aczkolwiek nigdy nie usłyszałem od niej dobrego

<sup>158</sup>kantonista — Żyd przymusowo wzięty w wieku młodzieńczym do carskiego wojska, w którym służył dwadzieścia pięć lat. [przypis tłumacza]

<sup>159</sup>za czasów Mikołaja — tzn. za cara Mikołaja I Romanowa, który panował w Cesarstwie Rosyjskim w latach 1825–1855. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>Tora — Pięcioksiąg; pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też księgami Mojżeszowymi, podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe (stąd też inne użycie słowa, utożsamiające *Torę* i Prawo); *Pięcioksiąg* opisuje, jak powstało prawo mojżeszowe, ilustruje wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne jego genezę i rozwój. [przypis edytorski]



słowa. Ciągłe krzyczała, że chce się ze mną rozwieść. Inaczej ucieknie. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciała rozwodu.

I nagle jeszcze coś sobie przypomina i uśmiecha się...

To, co sobie przypomina, wydarzyło się dawno, dawno temu. Wtedy istniało jeszcze przedsiębiorstwo towarów spożywczych, tak zwana konsumpcja. On był tam nocnym stróżem. Obchodził skład z laską w ręku i pilnował, żeby złodzieje nie dobrali się do wódki.

Służbę wartowniczą znał doskonale. Przeszedł u Ruskich dobrą szkołę. Nauczycieli miał znakomitych. Właśnie była zima i o świcie miał przekazać wartę dziennemu zmiennikowi, Chaimowi-Jojne. Tenże Chaim-Jojne jest już na tamtym świecie. Sam, do kości przemarznięty, udaje się do domu. Puka do drzwi i zaraz dobiega go krzyk leżącej jeszcze w łóżku żony:

— Idź do diabła. A niech cię szlag trafi!

„Aha — domyśla się — od wczoraj jeszcze jest wściekła”. Ale, dalibóg, nie może sobie przypomnieć, o co jej chodziło. Coś jednak musiało być!

— Zamknij się — odpowiada jej takim samym krzykiem — i wpuść mnie do domu.

— A niech cię piorun trzaśnie — odpowiada Szprynca.

Postał trochę pod drzwiami, po czym wpadło mu do głowy pójść do *beit-hamidrasz*<sup>161</sup> i pospać tam trochę. Położył się na ławce za piecem. Na jego nieszczęście piec dymił i Szmaria zaczął się. Prawie martwego zaniesiono go do domu.

Wtedy Szprynca pokazała, na co ją stać. Poruszyła niebo i ziemię, żeby przywrócić go do życia. Kiedy wróciła mu przytomność, dowiedział się dokładnie, co Szprynca wyczyniała. Kiedy ludzie jej tłumaczyli, że to nic groźnego, że to tylko czad, Szprynca się na nich obruszyła i kazała natychmiast sprowadzić doktora. Jeśli tego nie uczynią, ona nie wytrzyma i zemdleje. Bez przerwy krzyczała: „Mój mąż! Mój mąż! Mój skarb!”.

Wtedy Szmaria zebrał siły, podniósł się z łóżka, usiadł i zapytał ją:

— Szprynco, chcesz rozwodu?

— A niech cię... — i nie dokończywszy zdania, rozbeczała się, po czym zapytała: — Szmario, jak myślisz? Czy Bóg ukarze mnie za to, że przeklinam, czy za to, że jestem sekutnicą?

I jak tylko wyzdrowiał, Szprynca, jakby nigdy nic, wróciła do dawnej formy. Ostry języzek znowu puściła w ruch. Z ust znowu zaczęły się sypać przekleństwa. Wydaje się, że mocna była jak żelazo. A drapać potrafiła jak kot. I, w końcu, szkoda Szprynicy! Nawet nie dożyła pociechy z naszych dzieci.

Co zaś do dzieci, to chyba powodzi im się dobrze. Tak jak dobrze powodzi się rzemieślnikom na świecie. Kto posiada fach w ręku, ten z głodu nie umrze. Ponadto są silni. Wdali się we mnie. A to, że nie piszą, to co? Sami pisać nie potrafią. I jak tu prosić kogoś obcego, żeby za nich pisał? I jaki smak posiadać może taki list? Jak piąta woda po kisielu. Poza tym czas robi swoje. Dzieci zapominają o rodzicach.

Ale chyba dobrze się mają. *MUSOWO!*

Niestety, Szprynca leży już w grobie.

Szkoda Szprynicy!

Kiedy konsumpcja się skończyła, Szprynca odczuła to boleśnie. Zanim oswoiłem się z pracą posłańca i zanim przyzwyczailem się zwracać do dziedziców per „Jaśnie Panie”, a nie jak dawniej przez *wasze wysokoblągorodje*<sup>162</sup>, i nim kupcy zaczęli mnie wysyłać z kontraktami, w domu naszym brakowało chleba. Mniejsza o mnie. Ja, mężczyzna, były kantonista, mogłem przeżyć dzień bez jedzenia. Ona nie mogła i nie umiała tego przeżyć. Głupia baba! Od razu straciła siły. Nawet przeklinać nie była w stanie. Cały zasób wulgarnych słów nagle wyparował jej z głowy. Umiała tylko płakać.

Obrzydło mi to wszystko. Odechciało mi się żyć. Ona tymczasem zaczęła się o mnie bać. Bała się sama jeść, bo a nuż nie starczy dla mnie. Widząc, że ona się boi, sam nabrałem

<sup>161</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczony do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; była to bardzo ważna instytucja, szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jesiwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*wasze wysokoblągorodje* (ros.) — tytuł grzecznościowy: wasza wielmożność. [przypis edytorski]

odwagi. Ja zacząłem podnosić głos! Ja zacząłem kłać! Podchodzę do niej, na przykład, i krzyczę: „Dlaczego nie żresz?”. Czasem nawet wpadam w taką złość, że chce mi się ją bić. Ale jak tu bić płaczącą kobietę? W dodatku zastygła w bezruchu. Stoję już przed nią z pięścią gotową do uderzenia, a ona spokojnie powiada do mnie: „Przedtem zjedz ty, a potem ja”. Co miałem zrobić? Odgryzłem kawałek chleba i resztę dałem jej.

Pewnego dnia, używając podstępny, wyprawiła mnie z domu, mówiąc: „Bądź spokojny, jutro będę jadła, ale ty rozejrzyj się za pracą. Może coś zarobisz?”.

Wracam do domu i zauważam, że nawet nie tknęła chleba. Tłumaczy mi, że nie może jeść suchego chleba. Woląaby kaszkę.

I jaki raban podniosła, kiedy chciałem zastawić sobotnią kapotę! W mig zerwała się z miejsca i pobiegła zastawić swoje mosiężne lichtarze. Do samej już śmierci błogosławiła świece wstawione w wydrążone kartofle. Tuż przed śmiercią wyznała mi, że nigdy nie chciała się ze mną rozwieść. Krzyczała o rozwodzie tylko dlatego, że miała — jak powiedziała — niewyparzony język.

— Ach, ten mój paskudny język — zawołała — Boże, wybacz mi!

I umierając bała się, że na tamtym świecie powieszają ją za język.

— Bóg — powiedziała do mnie — nie będzie miał litości nade mną. Za dużo nagrzeszyłam. Ty zaś, kiedy tam przyjdiesz, ale, uchowaj Bóg, żeby to miało nastąpić wkrótce, niech to się stanie po stu dwudziestu latach<sup>163</sup>, pamiętaj o jednym! Masz mnie zdjąć z szubienicy! I powiedz tam Najwyższemu Sędziemu, że mi wybaczyłeś.

Po wypowiedzeniu tych słów pomieszało się jej w głowie. Zaczęła wzywać dzieci. Wydawało jej się, że są w domu, że rozmawia z nimi. Je także prosiła o wybaczenie.

Głupia kobieta! Kto by nie zechciał jej wybaczyć?

Ile, myślicie, miała lat, kiedy umarła? Może pięćdziesiąt. Była jeszcze młoda. Najgorsze, że sama skróciła sobie życie. Jak się wynosi z domu i zostawia rzecz, do której człowiek był przywiązany, to jakby się wyniosło pół zdrowia, część własnego ciała...

Z dnia na dzień chudła w oczach. Zieleniała i żółkła. Mówiła, że czuje wyraźnie, jak w kościach wysycha jej szpik. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce umrze.

I jak przywiązana była do domu! Jak kochała go razem ze wszystkimi znajdującymi się w nim rzeczami! Kiedy trzeba było wynieść z domu stoliczek lub blaszany świecznik, czy cokolwiek, to każdy grat oblewała gorzkimi łzami. Z każdą wyniesioną z domu rzeczą żegnała się jak matka z dzieckiem. Obejmowała ją i prawie że obcałowywała. Któregoś dnia powiada do mnie:

— Kiedy umrę, już nie zostaniesz w domu.

No cóż! Baba zawsze pozostaje głupia! Potrafi przez chwilę być kozakiem w spódnicy, by zaraz potem z byle powodu zachować się jak dziecko. W obliczu śmierci jakie znaczenie może mieć stoliczek czy inny jakiś grat?

— Tfu, — przerywa na chwilę ogarniające go myśli. — Co za wspomnienia przychodzą mi do głowy? Z ich to powodu chodzę teraz coraz wolniej.

I dodając sobie kurażu<sup>164</sup> komenderuje:

— Ano, nogi moje żołnierskie, nieście mnie dalej!

Rozgląda się dookoła. Wszędzie śnieg. Nad sobą widzi szare niebo załatane czarnymi szmatami.

— Tylko moja spodnia kapota ma na sobie satynowe łąty! Panie świata! Czy Ty także nie masz kredytu w sklepie?

Tymczasem mróz przybiera na sile. Jego broda i wąsy pokrywają się szronem. Ciało jeszcze się trzyma. Głowa jeszcze ciepła. Krople potu błyszczą na czole. Tylko nogi coraz bardziej marzną i coraz bardziej słabną.

Już niedaleko — pociesza się. Odczuwa chęć zatrzymania się na chwilowy odpoczynek, ale wstydzi się przed samym sobą. Pierwszy raz zdarzyło mu się, żeby na drodze liczącej nie więcej niż dwie wiorsty odczuł potrzebę odpocznienia. Nie chce się przyznać, że stuknęła mu już osiemdziesiątka. Już najwyższy czas, żeby zrobić przerwę w marszu.

<sup>163</sup>niech to się stanie po stu dwudziestu latach — według Biblii (Rdz 6, 3), Bóg ustalił limit ludzkiego życia na 120 lat. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>kuraż (z fr.) — odwaga. [przypis edytorski]

Odrzuca tę myśl. Nie! Musi iść dalej. Musi iść i iść, bo póki idzie, to nogi niosą. Jeśli ulegnie pokusie Jecer hara<sup>165</sup> i usiądzie, to koniec. Nie wstanie już!

Chcąc wyperswadować sobie myśl o odpoczynku, zaczyna straszyć siebie groźbą przęźbienia.

— Do wsi już nie jest daleko — mówi do siebie. Tam będę miał dosyć czasu na odpoczynek. Tam zaznam prawdziwego odpocznienia. Od razu nie pójdę do dziedzica. U niego trzeba co najmniej godzinę przeczekać na dworze. Od razu udam się do Żyda.

I snując dalej myśl, powiada w duchu:

— Dobrze chociaż, że nie boję się psów dziedzica. W nocy jednak, kiedy spuszcza ją z łańcucha Burka, może być niebezpiecznie. Wprawdzie mam w kieszeni chleb z serem i Burek lubi ser, to jednak lepiej będzie, jeśli przedtem dam odpocząć moim nogom. Najpierw więc wstąpię do domu Żyda trochę się ogrzać, umyć i coś przekąsić.

Ślina pojawia mu się w ustach. Od samego rana nic nie jadł. Dla niego to drobnostka. Nie przejmuje się tym, że jest głodny. Przeciwnie, odczuwa nawet z tego powodu pewnego rodzaju przyjemność. Skoro jest się głodnym, to znaczy, że się żyje! Gdyby nie te nogi!

Przed sobą ma jeszcze tylko dwie wiorsty.

Już widać z daleka dużą szopę dziedzica... ale nogi tego nie wiedzą. Im właśnie teraz zachciało się odpocząć!

— Ale popatrzmy — powiada do siebie — na to z drugiej strony. Co się stanie, jeśli sobie trochę odpocznę? Nie na długo. Na minutkę czy nawet mniej. Tylko na próbę! Przez wiele lat nogi były mi posłuszne, niech więc ja choć raz będę im posłuszny.

I Szmara siada sobie na śnieżnym pagórku. Teraz wyraźnie słyszy, jak serce się w nim łomocze. Czuje klucie w boku. Pot oblewa mu czoło.

Ogarnia go strach... Czy aby nie dopadła go choroba? Ma przy sobie cudze pieniądze. Jeszcze, nie daj Bóg, zemdleje! Zaraz się jednak pociesza: „Chwała Bogu, nikogo na drodze nie ma”. I nawet jeśli ktoś nadejdzie, z pewnością nie przyjdzie mu do głowy, że on, Szmara, ma przy sobie forszę. Takim jak on, pozał się Boże, nikt chyba nie powierzyłby pieniędzy. „Dobrze, posiedzę sobie — postanawia — chwileczkę, a potem, zasuwał Szmario, do przodu”.

Powieki stają się ciężkie jak ołów. Spadają mu na oczy.

— Nie! — woła do siebie. — Wstań, Szmario! — Mówi to rozkazującym tonem, a rozkazywać jeszcze potrafi. Gorzej z wykonaniem rozkazu. Usiłuje wstać, ale nie może się ruszyć z miejsca. Wydaje mu się jednak, że wstał i maszeruje coraz mocniejszym krokiem...

Oto widzi już wszystkie chaty we wsi. W tej mieszka Antek, w tamtej Bazyli. Zna ich wszystkich. Wynajmuje u nich furmanki... Do chaty Żyda jest jeszcze daleko, ale woli u niego się zatrzymać. Czasem bowiem można u niego natrafić na *mezuman*<sup>166</sup>.

Wyobraża sobie, że idzie w kierunku chaty Żyda, ale im bardziej się zbliża, tym dalej chata się od niego odsuwa. Widocznie — myśli sobie — jednak dobrze idę, bo już widzę przez czerwieniące okienko radosny płomień buchający z kuchni. Żona Jojny, gruba Mirl, zapewne gotuje kartofle. Zawsze częstuje go gorącym kartoflem, a gorący kartofel to prawdziwa przyjemność. I wydaje mu się, że zbliża się do chaty Żyda, ale naprawdę siedzi wciąż na tym samym śnieżnym pagórku. Mróz trochę zelżał. Duże, gęste płatki śniegu padają na ziemię i przykrywają Szmarę.

Jemu widocznie zrobiło się cieplej pod śnieżną kapotą. Teraz wydaje mu się, że jest już w chacie Żyda. Mirl odcedza właśnie wodę z kartofli. Słyszy, jak woda się leje. Ciur, ciur, ciur. Z jego kapoty też leje się woda. Jojne chodzi po izbie i śpiewa pod nosem. Zawsze po wieczornej modlitwie podśpiewuje sobie, bo przed wieczorą jest zazwyczaj głodny. Dlatego śpiewa i w przerwach woła do żony:

— Nu, Mirl!

Ale Mirl się nie śpieszy. Co nagle, to po diable!

Raptem Szmara jakby się przeraził z radości:

<sup>165</sup>Jecer hara — instynkt zły; wg tradycji żydowskiej w każdym człowieku tkwią dwa instynkty: dobry i zły. [przypis tłumacza]

<sup>166</sup>mezuman — błogosławieństwo po spożyciu posiłku; potrzebni są do niego trzej Żydzi. [przypis tłumacza]

— Czy ja śpię i śni mi się sen? — Oto bowiem otwierają się drzwi i wchodzi jego starszy syn. Toż to Chone! Od razu go poznał. Co on tu robi? Ale Chone ojca nie poznaje. Uduje, że nie ma pojęcia, kim Szmara jest. Cha, cha, cha! Opowiada Jojne, że jedzie w odwiedziny do ojca. Zapewnia go, że zapomniał o ojcu. A bękart Jojne nie mówi mu, że ojciec siedzi na ławce w izbie. Mirl ma ręce pełne roboty. Krząta się przy kartoflach. Uśmiechając się, ubija drewnianą łyżką kartofle.

— Chone — myśli Szmara — musi być bogaty. Bardzo bogaty! Wszystko na nim jest całe i czyste. Może tylko łańcuszek od zegarka jest z tombaku? Ależ nie! Na pewno jest złoty. Chone nie będzie przecież nosił łańcuszka z tombaku. Cha, cha, cha! Rzuca okiem w stronę pieca i omal nie pęka ze śmiechu. To przecież Jekl, Berl i Zeharia. Wszyscy trzej, cha, cha, cha, schowali się za piecem. Jak złodzieje! Ale szkoda Szpryncy. Żal Szpryncy. Szkoda że nie zdążyła zobaczyć Chonego. Miałaby pociechę. Tymczasem Chone zamawia dwie gęsi... Chone! Chone! nie poznajesz mnie? To ja, twój ojciec. I wydaje mu się, że całuje się z synem.

— Słuchaj, Chone! Szkoda, że matka nie może ciebie zobaczyć. Jekl, Berl, Zeharia złaźcie z pieca! Od razu was poznałem. Zejdźcie, wiedziałem, że przyjdziecie. Dlatego przyniosłem ser. Prawdziwy owczy ser. Dzieci, chodźcie tu. Lubicie przecież żołnierski chleb. Co, może nie? Szkoda, wiecie, matki!

I wydaje mu się, że czwórka jego dzieci otoczyła go kołem i gorąco go ściskają i obcałowują.

— Tylko pomału, dziecięta moje! Nie ściskajcie mnie tak mocno. Nie jestem już młodziakiem. Mam tę swoją osiemdziesiątkę. Wolniej! Połamiecie mi jeszcze kości. Pomału. Mam w kieszeni pieniądze. Mają do mnie zaufanie. Powierzają mi pieniądze. Wystarczy, dzieci, wystarczy.

I wystarczyło. Szmara zamarzył na kość z ręką w kieszeni za pazuchą.

# U WEZGŁOWIA KONAJĄCEGO

Szames<sup>167</sup> raju — świetlisty anioł — odbłask promiennej łaski Miłościwego Pana — raz do roku wychodzi z raju i ogarnięty niepokojem i troską otwiera okienko w niebie. Wystawia promieniejącą głowę i zwracając się do zachodzącego słońca, drżącym głosem zadaje pytanie:

— Słońce, nie wiesz czasem, co się dzieje z Lejbłem Końskowolskim?

Słońce nie odpowiada. Nie wie.

Ogarnięty jeszcze większym niepokojem cofa anioł swoją promieniejącą głowę.

I nie na próżno niepokoi się anioł.

Oto już od kilku dni szumi w niebiosach od przedśmiertnego modlitewnego wołania Lejbla *Szma Israel*<sup>168</sup> — Słuchaj Izraelu.

I dalsze słowo tego wersetu *echod*<sup>169</sup> rozsypuje się niczym srebrny śrut przed tronem Najwyższego.

I toczy się słowo *echod*, i bzyka, i szumi, i wrze niczym rój ciem lejących do płomienia, który je przyciąga. I spalają się w ogniu z dziką rozkoszą, jaką dają tylko cierpienia miłości.

Po raz ostatni anioł usłyszał wołanie *Szma* Lejbla z Końskowoli podczas modlitwy porannej *szachrit*.

W modlitwie popołudniowej *mincha* nie słyhać już było głosu Lejbla z Końskowoli.

W modlitwach i pochwalnych hymnach wszystkich światów nastąpił widocznie jakiś defekt.

Jakby w orkiestrze nagle jakiś instrument przestał wydawać dźwięki. Jakby struna w pierwszych skrzypcach nagle pękła.

Czyżby Lejbl Końskowolski zapomniał odmówić modlitwę *mincha*?

A może podczas wieczornej modlitwy *maariw* powtórzy za to dwakroć Osiemnaście Błogosławieństw?

Tymczasem słońce coraz bardziej się zniżało. Skrzętnie schowane cienie uzyskują zezwolenie na wyjście z ukryć. Wylaniają się ze szczelin skał nad morzami. Z nor i jaskiń na pustyniach. Zza drzew gałęzi i liści rosnących w głębokich lasach.

I cienie rozprzestrzeniają się po osiedlu. I oplatają sobą wszystko dookoła.

I oto słońce zupełnie zniknęło z horyzontu. Nagle bezgłośnie zablęsnęły na niebie gwiazdy i księżyc. One przejmują teraz władzę nad światem. Na czas nocy... I przędą swoją zaczarowaną pajęczynę — srebrną sieć nad zmęczoną ziemią...

I wraz ze zniknięciem słońca na niebie zniknęło też zwierzę z napisem „Prawda” na czole. I razem z księżycem, wynurzyło się z drugiej strony inne zwierzę z napisem „Wiara” na czole.

I oto po cichu otwierają się bramy nieba, żeby wpuścić do środka dusze pogrążonych we śnie ludzi. Dusze przybywają w nocy do nieba, żeby napisać w księgach jak przeżyły dzień...

I zaczyna się skrzypienie piór i rozlega się trzepot niezliczonych skrzydeł aniołów. Skrzydeł białych jak śnieg i skrzydeł szarych od płam. Tych jest więcej. Są też skrzydła czerwone od krwi.

I szumem i zgielkiem wypełniają się niebiosy. Szumem powstałym z mieszaniny słów modlitwy, słów tęsknoty, skruchy, miłości, nadziei i lęku.

I nagle w jednej sekundzie wszystko się urywa. Jakby zastygło. Jakby zdrętwiało. Wokół Bożego tronu wije się srebrzysta mgła. Wije się, snuje się i staje się coraz ciemniejsza...

I zza tej mgły dochodzi odgłos niby gruchania gołębia:

— Biada mi za to, że zniszczyłem Mój Dom... Za to, że spaliłem Moją Świątynię. Za to, że wypędziłem mego jedyne go syna...

I przeogromne uczucie litości przenika wszystkie siedem niebios...

I potem znowu zalega cisza. Wszystko czeka z zapytym tchem na cud, na dziw, na nową wieść...

Anioł, Modlitwa

Noc

Dusza, Sen, Wierzenia,  
Noc, Słowo, Zaświaty

<sup>167</sup>*szames* — służa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

<sup>168</sup>*Szma Israel* — *Słuchaj Izraelu*, modlitwa, wyznanie wiary w jedyne go Boga. [przypis tłumacza]

<sup>169</sup>*echod* — jeden (Bóg). [przypis tłumacza]

Ale nic podobnego się nie wydarzyło.

Tymczasem rozległ się głos z dołu. To kogut pieje. Mgła oplatająca Boży tron zaczyna się rozwiewać. Zaczarowana zgroza pęka. Rozpływa się... Znowu otwierają się okna nieba. Dusze odlatują na ziemię...

Aniołowie za pomocą brylantowych pogrzebaczy wypędzają spóźnione, drżące, zapłakane i do głębi przerażone dusze...

Wkrótce na dole, na ziemi, rozlega się stukanie. To szamesi bożniczni stukają w okiennice, wzywając ludzi o północy do modlitwy zwanej *chacot*.

I w mig zaczyna blednieć napis „Wiara” na czole zwierzęcia. Blednie i blednie. Na wschodniej stronie nieba pojawia się czerwony, cienki promień...

Szames rajy budzi się z głębokiego snu. Podchodzi do okienka w niebie i otwiera je. Wystawia głowę i głośno woła:

— O księżycu, o gwiazdy, czy potraficie mi powiedzieć, zanim znikniecie, co się stało z Lejblem Końskowolskim?

I na to jego pytanie rozplomieniła się złościście daleka małeńka gwiazdeczka. Podpłynęła do okienka i powiedziała:

— Ja potrafię, świetlisty aniele! Przesuwałam się po niebie nad Końskowolą i zajrzałam przez okno do jego izby... On umiera... Lejbl Końskowolski kona... stary człowiek... jego biała broda lśni nad koldrą. Lśni jak najczystsze srebro... twarz ma jednak żółtą, głęboko pomarszczoną. Widziałam jak mu pod nosem położyli piórko, ale ono nie drgnęło.

I anioł, szames rajy, nikogo o zdanie nie spytawszy z własnej inicjatywy udał się na ziemię, żeby zabrać duszę Lejbla.

Wielka, nieoczekiwana radość — pomyślał — zapanuje w rajy.

Czarne i białe anioły żwawo za nim lecą. I kiedy ten świetlisty anioł — szames znalazł się na miejscu, zastał u wezglowia konającego Lejbla czarnego anioła.

Miałby czarny anioł wcześniej zlecieć z nieba na ziemię? Może wybrał krótszą drogę? Kto to może wiedzieć?

— Co ty tutaj robisz? — pyta zdziwiony i drżący ze strachu, czarnego anioła. — To przecież Lejbl Końskowolski!

— To co z tego? — śmieje się czarny anioł i w skrzywionych otwartych jego ustach błyskają dwa rzędy lśniących białych zębów.

— Ta dusza jest moja. Ja jestem szamesem rajy.

— Bardzo mi przyjemnie! A ja jestem tylko diabłem z piekła. Poczekajmy, to zobaczymy, jak sprawa się potoczy.

I mówiąc to, wyciągnął nogą spod łóżka konającego zawiązany sznurkiem woreczek.

— Co jest w tym woreczku? — pyta jasnego anioła.

— *Tales*<sup>170</sup> i *tefilin*<sup>171</sup> — próbuje biały anioł zgadnąć.

— Pod łóżkiem nie przechowuje się takich rzeczy. Pod łóżkiem przechowuje się tylko grzechy!

Schyla się, rozwiązuje sznurek i otwiera woreczek, po czym uderza w niego. I oto złocisty blask rozciąga się po izbie i w ślad za nim podąża złocisty dźwięk.

I razem z tym wysypują się z woreczka złote dukaty.

— Złodziejskie pieniądze! Zbójcekie pieniądze! — woła czarny anioł. — Wycygał je od naiwnych ludzi. Wydarł je wdowom, zrabował od sierot, wykradł je ze skarbonek, w których zbierane były datki dla biednych. Przesiąknięte są łzami i krwią. Zobacz, jak Lejbl budzi się, kiedy tylko ruszają jego złoto.

Konający ma oczy zamknięte. Miota się. Rzuca się.

Białego anioła ogarniają dreszcze. Pierwszą parą skrzydeł zasłania sobie twarz.

Przez szczelinę w okiennicy wdziera się do izby promień wschodzącego słońca. Pada na powieki konającego.

Pod działaniem promienia powieki zaczynają drżeć.

Po raz ostatni konający otwiera do połowy oczy. Pożółkłymi wargami wyszeptuje pytanie:

— Kto tu jest?

<sup>170</sup>*tates* a. *talit* — szal modlitewny. [przypis tłumacza]

<sup>171</sup>*tefilin* a. *filakteria* — dwa skórzane pudełka, w których umieszczone są wersety z *Biblij*. Jedno pudełko przytwierdza się rzemieniem do lewej ręki (obok serca) i drugie do czoła (do myśli). [przypis tłumacza]

— Ja — odpowiada czarny anioł. — Przyszedłem zabrać ci duszę.

— Dokąd?

— Do piekła!

Z przerażenia opadają konającemu powieki. Dobry anioł stara się mu pomóc:

— Proś Boga! Módl się! Odpokutuj, wyraż skruczę. Jeszcze jest czas... Porzuć swoje złoto...

I konający zaczyna szeptać: *Szma Israel*.

— On nie porzuci złota — powiada zły anioł i kładzie swoje czarne skrzydło na gardle Lejbla. Głos konającego został zdławiony.

Zawstydzony biały anioł odsuwa się od łóżka.

Ciemnej, deszczowej nocy, wśród zgiełku, krzyków i harmidru rozlega się w piekle ostry, świdrujący rozkaz:

— Nachman ze Zbaraża kona... ścinał paznokcie nie tak, jak prawo przewiduje i wyrzucił je... nie raz zapomniał odmówić modlitwę *mincha*. Kto chce udać się po jego duszę?

— Ja — zawołał anioł zagłady. — Już lecę, a wy przygotujcie kocioł i wrzącą smołę.

I podskoczywszy z uciechy wyleciał z piekła.

Żli aniołowie latają szybko. Na szczęście dobrzy aniołowie też potrafią szybko latać. Pomaga im w lataniu wielkie miłosierdzie.

Kiedy anioł zagłady doleciał do łóżka chorego, zastał u jego wezglowia białego dobrego anioła. Siedział właśnie przy chorym i pocieszał go:

— Biedny człowieku, nie bój się śmierci... to tylko most, malutka granica między ciemnością i światłem... to krótkie przejście od zmartwień i niepokoju do szczęścia i pokoju...

Zdaje się jednak, że chory tego nie słyszy. Błądzi oczami po ścianach.

Zdumiony czarny anioł staje w drzwiach i pyta białego.

— Kolego, czy ty się nie mylisz?

— Nie — odpowiada dobry anioł. — Mnie tu posłano po duszę chorego. Po jego czystą, miłosierną duszę. Ty już nie masz nad nią władzy.

— Ależ on obcinał paznokcie nie tak, jak przewidują nakazy.

— Wiem o tym — przerywa mu dobry anioł. — Za to człowiek ten ani jednej chwili ze swego życia nie poświęcił dla własnej wygody. Całe życie poświęcił dla dobra słabych i chorych. Niósł pomoc wdowom i sierotom. Wszystkim cierpiącym, umęczonym i zabłąkanym.

— W naszej księdze zapisane jest, ile razy nie odmówił modlitwy *mincha*.

— Ale też nigdy nie odmówił pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Nigdy nie zapomniał udzielać pociechy strapiionym. Zawsze pokrzepiał tych, którym ze zmęczenia opadły skrzydła nadziei. Nie zbudował sobie własnego domu... nie naprawił nawet dachu nad głową. Nie zadbał o miękkie łóżko. Nie szukał miłości u kobiety. Nie żywił nadziei, że doczeka się satysfakcji ze swoich dzieci. Wszystko, co czynił, dla dobra bliźnich czynił. On bowiem stawiał dobro bliźniego wyżej od własnego...

Po niebie płyną gęste czarne chmury. Chwilami rozdziera je błyskawica, po czym stają się jeszcze bardziej gęste i bardziej czarne.

Światło błyskawicy po raz ostatni budzi konającego.

Spalonymi wargami pyta:

— Kto tu jest? Kto siedzi u mego wezglowia?

— To ja, jasny anioł, wysłannik Miłościwego Pana na wysokościach. Z Jego polecenia przyszedłem zabrać twoją duszę. Chodź ze mną!

— Dokąd?

— Do nieba. Do raj.

— Niebo... raj... — mamrocze w gorączce konający. — A jak się żyje tam w niebie? W raj?

— Dobrze... w promiennym blasku łaski Bożej, w światłości Tronu Wiekuistego. I każdy przebywający tam mieszkaniec nosi złotą koronę na głowie.

Anioł, Śmierć,  
Miłosierdzie, Grzech,  
Piekło, Diabeł

— Blask, złoto, korony — mruży konający — ale co ja tam będę robił?

— Niczego nie będziesz musiał tam robić. Tam zaznasz wiecznego odpoczynku, wiecznego zadowolenia... nieustannego szczęścia... Chodź!

— Ale co tam będę robił? — Konający natęży wszystkie siły, żeby obrócić się twarzą ku dobremu aniołowi. — Powiedz mi, czy są tam osoby potrzebujące pomocy? Osoby, które należy podnieść z upadku, osoby chore, które trzeba uleczyć? Przecież tylko to jest moim szczęściem.

— Nie. Takich osób tam nie ma. Tam nikt nie potrzebuje pomocy.

— Więc co tam będę robił? Tam, gdzie nikt nie potrzebuje mojej duszy, mego serca, moich łez, moich słów pocieszenia.

Czarny anioł, słysząc słowa konającego, cieszy się. Wystawia język i oblizuje się z zadowolenia. Kpiący uśmiech nie schodzi z jego warg. Szeroko otwiera usta i dwa rzędy białych zębów niczym błyskawica rozświetlają ciemną izbę.

Straciwszy rezon, dobry anioł zgubił się. Nie wie, co ma powiedzieć konającemu.

— To co będzie, aniele? Co?

Dobry anioł obraca twarz ku oknu i wbija wzrok w niebo. Oczekuje stamtąd rady. Ale niebo jest zamknięte. Żadne słowo z niego nie pada. Żaden promyk się nie przebija. Żadna iskra nie błyska. Za to coraz nowe, coraz gęstsze chmury je pokrywają. I cień pada na twarz anioła. Groźnie wygląda niebo. Biję z niego gniew i złość. Jeszcze nigdy takiego nieba nie widział. Ciarki przechodzą mu po grzbiecie.

Zły anioł skwapliwie wykorzystuje chwilę zagubienia się białego anioła. Podchodzi do łóżka konającego z drugiej strony i powiada:

— Chodź lepiej ze mną.

— Dokąd?

— Tam, dokąd tęskni twoje serce... tam, gdzie znajdziesz nieszczęśliwych, głodnych i spragnionych. Tam, gdzie czekają na ciebie umęczeni, zagubieni, wyklęci, zapomniani przez Boga. Pomóc im, prawda, nie potrafisz, ale za to będziesz mógł im współczuć i razem z nimi cierpieć.

— Idę z tobą! Z tobą.

I biały anioł wrócił do nieba z pustymi rękami.



# ROZLEWISKO

Piaszczysta, słabo przejezdna droga wylania się z rzadkiego, krzywo rosnącego iglastego lasku, którego — według tego co mi wyjaśnił woźnica Maciej — nie oplacało się wyrąbać.

Droga szerokim pasmem ciągnie się wśród rzadko obsianych owsem chłopskich pól.

Ruchem trzymanego w rękach bata Maciej wskazuje mi na rosnący w polu owies i smutnym głosem zauważa:

— Jeszcze stoi. Czy oplaca się go skosić?

Nie czekając na odpowiedź, odwraca się do koni, które wykorzystwały chwilę jego nieuwagi i dobrały się do owsa. Lewy koń, który zdążył już wsadzić pysk w owies, dostał batem po grzbiecie.

— Psiakrew! — syknął Maciej.

Nadciąga cicha, smutna, bezksiężycowa noc. Podobnie do owsa w polu migocą rzadko rozsiane gwiazdeczki na niebie. Migocą jakoś leniwie, jakby były zmęczone, zabląkane. Jakby odwalały narzucony im obowiązek. Spłoszone przez nas ptaki w lesie coraz rzadziej za nami lecą. Po prawej stronie pola widać ciągnący się luźny łańcuch skąpo zarośniętych pagórków, które powoli i leniwie przesuwają się do tyłu. Przypominają źle ostrzyżone owce. Oto jedna wślza na drugą i zastygła w bezruchu. Słońce od dawna już jest po drugiej stronie. Ostatnie świetlne pasmo na krańcu horyzontu powoli gaśnie pod dojrzałymi mgłami.

Po lewej stronie, pośród rzadkiego owsa błyskają tu i ówdzie światełka.

— Czy to wieś? — pytam.

— To nasza wieś — odpowiada Maciej i widząc, że nie mam ochoty pozwolić mu na przysnięcie, wzdycha i poddając się mojej woli, wyciąga zza pazuchy glinianą fajkę. Zapycha ją machorką i zapala. Błysk ognia od zapalki rozjaśnia na czerwono jego na pół obroconą ku mnie twarz obramowaną gęstym włosiem.

— Tak — powtarza Maciej — to nasza wieś.

— Dlaczego tak rozrzuciona?

— Tak wyszło... dziedzic zawarł sztamę z komisją... czy myśmy to zrozumieli?

— A Żydzi u was mieszkają?

— U nas nie. Na naszych polach nie wolno. Na dziedzicowych...

— Dziedzice pozwalają?

— Nie za darmo. Także zależy który... ten, co nie słucha się księdza...

— Czy Żydzi szkodzą wam?

— Szkodzą?

Obrzuca mnie badawczym wzrokiem. Przez chwilę milczy, po czym dodaje:

— Ale do czego są nam potrzebni? W polu nie pracują. „Nie ich ręce”. A kto im da ziemię? Na tym polega cały problem. Dawniej dzierżawili karczmy...

— Ludzie pili?

— Grzeszny człowiek...

— Na kredyt?

— Jak kiedy... przed Nowym Rokiem z całą pewnością na kredyt.

— I Żyd zapisywał?

— Oczywiście! A jak inaczej? Podarować miał? Czy on nie miał żony i dzieci? Każdy troszczy się o swój kawałek chleba.

— Podwójną kredką?

— Kto tam wie? Moja połowica tak mawiała i dalej piła na kredyt.

— Ona także?

— Ona także. Musowo. Często musi się... Po pijanemu chciała kiedyś Mośka podpalić.

— Co to za Mosiek?

— Nasz Mosiek... który wtedy dzierżawił karczmę... dzisiaj handluje u nas. Uczciwy człowiek z tego Mośka. Co do kredy, to nie wiem, ale w ogóle to dobry człowiek. Taki, jakiego nam trzeba. Potrafi zaprowadzić do felczera, doktora i adwokata. On wszystko potrafi.

— A ona go nie podpaliła?

— Gdzie tam! Pobiegła z płonąca pochodnią, żeby podpalić jego karczmę i upadła na ulicy. Po dziś dzień ma ślad po poparzeniu na ręce. Po prostu upadła z ręką w ogień. Podniosła krzyk... ledwo udało się ją odratować... potem rzecz oczywista przeprosiła Mośka i ten jej wybaczył... dobry człowiek z niego. Oto właśnie tam stoi.

Batem pokazuje kogoś z daleka. Ja widzę tylko jakiś cień na skraju drogi.

— To jego chałat — powiada Maciek — kołysze się. Nosi na plecach worek. Zapewne podąża za czymś do miasta.

— To dlaczego stoi?

— Chce, żeby go przewieźli przez rozlewisko.

— Jakie rozlewisko?

— Tam, na końcu wsi.

Szerokie lustrzane pasmo pod niebem uznałem za rosę. Nie była to jednak rosa.

— Czy pan nie wie, że tego roku nie mieliśmy ani deszczu, ani rosy? To woda.

— Przeprowadzimy się promem?

— Jakim tam promem? Woda sięga do kostek. To stojąca woda.

— Woda deszczowa?

— Chyba tak.

— Z otaczających wzgórz?

— Musowo.

Jedziemy dalej i z cienia robi się człowiek, prawdziwy Mosiek. Widzę już wyraźnie, jak poły jego chałata się kołyszą. Biała broda drży.

Zrównaliśmy się z nim. Już ręką uchwycił się wozu.

— Dobry wieczór, Macieju!

— Dobry wieczór, Mośku!

— Przewieź mnie przez wodę.

— Dziesiątak.

— Papieros!

— Wraz z kopiejką.

— Dwa papierosy.

Targuje się Mosiek z chłopem, krocząc po piasku za wozem.

— Poproś pana *puryc*<sup>172</sup> — powiada Maciek.

I Mosiek zmienia rękę, obraca się twarzą ku mnie.

Chudy, siwiuteńki Żyd.

— Pan — zaczyna — pozwo...

Ale nie kończy. Ma przenikliwszy wzrok od chłopca.

Od razu poznaje, że ze mnie żaden tam puryc. I natychmiast jest już połową ciała na wozie. Zastanawia się tylko nad tym, gdzie ma usiąść. Może przy powożącym chłopie? Mimo wszystko pasażer to jednak „niemiec”<sup>173</sup>.

Ja jednak zdążyłem zrobić mu miejsce obok siebie.

— Siadajcie reb Mojsze!

Dwa razy nie trzeba mu powtarzać. Już usadowił się i już gada:

— Po pierwsze, *szolem alejchem*<sup>174</sup> Żydowi, a po drugie, serdeczne dzięki! Machorka Macieja działa jak wódka. Można się upić. I po trzecie: skąd Żyd wie, że nazywam się Mojsze? Pan mnie zna?

Mówię mu, skąd wiem, a on ze swojej strony uspokaja mnie:

— Tylko przejadę przez rozlewisko — powiada — i zaraz potem kieruję się na prawo.

A pan zapewne jedzie w lewo?

Zaczyna mnie badać, ale ja mu przerywam:

— Jakże ta woda w rozlewisku błyszczący. Istne lustro.

— Ba! Taka woda... — i na tym kończy, ale ja czuję, że za tym się coś kryje.

— Co to za woda? Deszczowa?

— Deszczowa! — powiada ze złością. — A kiedy padał tu deszcz?

— W takim razie musi gdzieś tu być jakieś źródło.

<sup>172</sup>*puryc* — dziedzic, pan na włościach. [przypis tłumacza]

<sup>173</sup>*niemiec, niemczyk* — Żyd, ubierający się i zachowujący się po świecku, asymilator. [przypis tłumacza]

<sup>174</sup>*szolem alejchem* (hebr.) — dosł. „pokój wam”; formuła pozdrowienia. [przypis edytorski]

— Skąd tutaj źródło? — W promieniu dziesięciu mil nie ma czegoś takiego.

— W takim razie co?

— W takim razie? Nic.

Przechowuje jakąś tajemnicę.

— A jednak skąd ta woda?

— Co będziemy gadali po próżnicy...

I chcąc zmienić temat, pyta mnie:

— Czym Żyd handluje?

Teraz już wiem z całą pewnością, że z tą wodą nie jest tak całkiem prosto.

I błyszczący tak cudownie spokojnie w tę cichą noc... i jakoś dziwnie, niezwykajnie, patrzy na nią. Nie odrywa od niej oczu... i wyczuwam w jego głosie coś niezwykłego... muszę otworzyć mu usta. Niech zacznie gadać.

— Coś tam ludzie — powiadam — gadają o tej wodzie.

— Mało co ludzie potrafią gadać...

Jakoś mi nie dowierza. Częstouję go papierosem, ale on nie pali.

— A może by tak po łyżku? — wyciągam butelkę.

— Przed modlitwą wieczorną? Nie wchodzi w rachubę. Szykowałem się już do odmawiania modlitwy, kiedy usłyszałem, że ktoś jedzie. Wybiegłem więc na drogę. Zwykle przechodzę przez rozlewisko na własnych nogach. Woda niegłęboka. Do kostek. Ale w tym tygodniu ze zdrowiem nie jestem w porządku. Boję się przeziębienia. Rozumie pan? Wieczorną modlitwę odmówię już tam, na miejscu. A pan niech sobie łyknie. Na zdrowie!

— Sam nigdy nie pijam.

I mówiąc to chowam butelkę z powrotem w torbie.

— Może pan odmówi teraz wieczorną modlitwę?

— Na drodze nie modlę się.

— Wio! — To Maciej popędza konie, które z trudem pokonują górkę.

— Widzi pan — powiada reb Mojsze. — Nie uchodzi modlić się przy chłopie.

Zalega cisza. Po chwili znowu zadają pytanie:

— A jak wam się powodzi, reb Mojsze?

— Dzięki Najwyższemu, jakoś się żyje.

Znowu milknie. Nie ma o co zaczepić, ale próbuję:

— Wie pan co, reb Mojsze?

— A co na przykład?

— Niech Mojsze coś opowie. Dookoła panuje cisza. Taka nieprzyjemna cisza.

— Co też wpadło panu do głowy? I o czym to mam opowiedzieć?

— Chociażby o tym rozlewisku. Przecież Mojsze ma gotową opowieść o nim.

— A jeśli mam, to pan chciałby mieć powód do śmiechu?

— Uchowaj Bóg!

— Może być, że nie, ale dzisiejsze czasy... syjonizm<sup>175</sup>...

— Co to ma wspólnego z syjonizmem?

— Nie wiem, ale nagle zrobiła się tu jakaś rewolucja... Jeszybotnicy<sup>176</sup> stają się syjonistami. Porzucają naukę *Talmudu*<sup>177</sup> i wyczyniają okropne rzeczy. Niemczyki stają się syjonistami i śpiesznie chcą wrócić do „żydowskości”... ogołone brody i „żydowskość” — wyobrażacie to sobie? Nie mam, broń Boże, pana na myśli.

— Jaki to ma związek z tą wodą?

— Ma... oto na przykład... ale niech się pan nie obraża... „Niemczyk” staje się pobożny. Właśnie wypadła rocznica śmierci matki, więc idzie do żydowskiej restauracji i za jej duszę, zamawia sobie kugel<sup>178</sup>. Jego „żydowskość” to kugel... pańska żydowskość to być może są opowiastki. Czy pan może obchodzi dzisiaj rocznicę czyjejś śmierci?

<sup>175</sup>syjonizm — żydowski ruch patriotyczny dążący do odbudowania państwa na dawnej swojej ziemi. [przypis tłumacza]

<sup>176</sup>jeszzybotnicy a. jeszzywotnicy — studenci żydowskiej szkoły rabinicznej. [przypis tłumacza]

<sup>177</sup>Talmud — obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijnego, pobbiblijnego dorobku judaizmu. Składa się z *Miszny* i *Gemary*. [przypis tłumacza]

<sup>178</sup>kugel — typowa żydowska słodka potrawa zapiekana na deser, na bazie ryżu lub makaronu. [przypis tłumacza]

I mimo to opowiedział mi historię rozlewiska. Niewykluczone, że jemu chciało się bardziej opowiedzieć ją, niż mnie słuchać.

W miejscu, gdzie teraz jest rozlewisko, stało kiedyś miasteczko... nieduże miasteczko... można powiedzieć bardzo małe, ale można było w nim żyć. Można było zarabiać na życie.

— Gdzie się podziało to miasteczko?

— Tam, gdzie się wszystko podziało! Tu kiedyś rósł las i gdzie się podział? Dookoła wszędzie był las. Był tu majątek. W tamtej stronie lasu stał pałac.

— Widziałem ruinę...

— Rozpadł się pałac na amen. W tamtych dobrych czasach mieszkał w nim pewien hrabia... w nocy pałac był oświetlony mnóstwem pochodni. Światło bijące z pałacu widać było z odległości siedmiu mil... I las kipiał życiem. Panowie dziedzice gwizdali, trąbili i polowali, gonili, strzelali i hulali. Rozbijali biwaki na trawie. Były kobiety i była muzyka. I płonęły pochodnie. Jedli i pili. I psy szczekały.

Ale już się zaczęło...

W pobliżu zamieszkali Niemcy. Zaczęli wycinać drzewa z lasu. Z drewna powstawały deski. Z desek gonty. Gonciarze zbudowali sobie budki. Przed każdą budką było ognisko. Gonciarze pracowali przy świetle ogniska. Ich żony gotowały kolację przy ognisku. I było wesoło i śpiewało się... Jeden gonciarz śpiewa i gwizdże do drugiego, ten do trzeciego. I gwizd i śpiew rozchodzi się po lesie. A w miejscu, gdzie teraz jest rozlewisko, mieszkał przed laty wiejski pachciarz<sup>179</sup>. Z czasem sprowadził do siebie na wikt i opierunek dwóch zięciów i kilka synowych. Zaangażował melameda<sup>180</sup>. Dobudował kilka domków... sprowadził rytualnego rzeźnika i po kilku latach wyrosło miasteczko.

Miasteczko, w którym dało się żyć.

Dziedzic upolował zająca, gajowy, za jego plecami, jedenaście, dwanaście skórek za pól darmo. Ponadto mleko i nabiał z trzech folwarków. Trochę zboża. A zboże dziedzica jeszcze na polu. Same kondycje i sklepiki: żywność, perfumy... świece, miód i wszelkiego rodzaju wina... dwór tego wszystkiego potrzebuje.

I gromadka Żydów siedziała nad świętymi księgami i studiowała... kobiety zaś handlowały. Rodzony brat autora książki *Piękno dni* był tu rabinem... posyłało się do Warszawy do brata rabina kilka kur, trochę miodu jako dodatek do „pytań i odpowiedzi”, które zaczynały się tymi słowami: „Kochany bracie, wzięwszy pod uwagę to i to...”. Z czasem pojawili się uczeni, cieszący się sławą. Byli to absolwenci *jeszywy*<sup>181</sup>, którzy ożenili się z tutejszymi dziewczynami. Słowem miasteczko miało wagę, miało znaczenie. Niczego nie brakowało mu już. Znalazł się nawet, *Lamedwawnik*, czyli jeden z trzydziestu sześciu sprawiedliwych, dzięki którym — według mistyki żydowskiej — świat istnieje i trwa.

Woziwoda nie! Kuśnierz. Porządny, uczciwy Żyd, ale nie bardzo wykształcony. Można powiedzieć nieuk. Oczy ma zawsze wbite w modlitewnik. Nawet pierwszego fragmentu codziennej porannej modlitwy *aszrej* (początek I Psalmu — *Szczęśliwy*) na pamięć nie zna. Nie słyhać, żeby modląc się, wypowiedział jakieś słowa.

Powiadają, że nie umie czytać po hebrajsku. Ale strasznie pobożny! Przed Dniem Odpuszczenia, czyli przed Jom Kipur<sup>182</sup>, poddaje się biczowaniu. Szamesowi<sup>183</sup>, który smaga go różgami, każe mocno bić. Chce poczuć prawdziwy ból. Podczas święta Sukot stoi godzinami pod drzwiami rabina. Chce odmówić błogosławieństwo *etrogiem*<sup>184</sup> samego rabina. W święto Hoszana rabe (siódmy dzień Sukot<sup>185</sup>) znika na cały dzień i przynosi takie piękne gałązki palmowe zwane *hoszanot*, których nigdzie nie uświadczysz. Ale pewnego

<sup>179</sup>*pachciarz* — dzierżawca w daw. Polsce; zwykle: Żyd dzierżawiący karczmę (także: sad, bydło itp.). [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]

<sup>181</sup>*jeszywa* a. *jesziwa* — wyższa szkoła talmudyczna. [przypis tłumacza]

<sup>182</sup>*Jom Kipur* — dzień odpuszczenia grzechów, Sądny Dzień. [przypis tłumacza]

<sup>183</sup>*szames* — sługa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

<sup>184</sup>*etrog* — owoc cytrusowy, którym potrząsa się podczas święta Sukot. Podobno pochodzi z Drzewa Poznania w raju. [przypis tłumacza]

<sup>185</sup>*Sukot* — Święto Szalasów; trwa siedem dni; w tym czasie Żydzi jedzą i śpią w szalasach, tak jak ich przodkowie podczas Exodusu. [przypis tłumacza]

dnia w dzień powszedni Święta Pesach<sup>186</sup> albo święta Sukot wydarza się taka historia. Jest noc. Dwaj młodzi ludzie wracają z jakiejś uroczystości albo z wizyty u chorego. Są to młodzieńcy, którzy większą część życia spędzają na studiowaniu *Pisma* w *beit-hamidraszu*<sup>187</sup>. Tej nocy długo dyskutowali nad jakimś naukowym problemem. Mijają rynek i przechodzą obok mieszkania kuśnierza. I oto uwagę ich zwraca światło w pokoju kuśnierza. Co to może być? Zaraz po świętach będzie jarmark, dlatego ten prostak pracuje w święto. I zaraz znajdują uzasadnienie w wersecie, który brzmi: „Prostak nie może być pobożny”. Chcą go złapać za rękę. Nie mają z tym trudności. Okiennica nie jest zamknięta. Jest tylko przymknięta. Pukają więc w okno. I co, myślicie, zobaczyli? Kuśnierz ślęczy nad księgą i płacze. Z oczu obficie leją się łzy. W pokoju jest jasno od światła. Nie jest to jednak światło pochodzące od palącej się na stole łojowej świeczki. Kuśnierz robi swoje. Nie słyszy, jak otwierają okiennicę... Niech to już pozostanie tajemnicą — powiadają młodzieńcy po cichu — kto wie, co to może znaczyć?

W kilka lat później wydarza się nowa rzecz. Nagle, ni stąd, ni zowąd rozległ się dziwny, niesamowity dźwięk. Brzmi długo, prawie nieprzerwanie. Co to znaczy? Gdzieś w okolicy, po tym, jak umarł miejscowy rabin urzędowy, gmina sprowadziła dwóch rabinów. Jednego sprowadzili notable miasta, drugiego zaś chasydzi<sup>188</sup>.

Dzisiaj ludzie przyzwyczajeni są do tego rodzaju rzeczy, ale wtedy jeszcze nie. Zaczęła się kłótnia o to, kto ma sprawować funkcję rabina. Kłótnia granicząca z profanacją imienia Boskiego. Zwołane zostaje jedno zebranie mieszkańców, drugie i trzecie. Do ładu nie doszło. Postanowiono zwrócić się do lubelskiego rabina. Niech on rozstrzygnie. Sprawa jest bowiem nieprosta. Obaj kandydaci do objęcia stanowiska rabina w mieście są w równym stopniu wykształceni.

Obaj są porządnymi i uczciwymi Żydami. I obaj zostali sprowadzeni w tym samym dniu.

Jeden przybył ze wschodniej części kraju, drugi z zachodniej. I obaj spotkali się w samym środku rynku. Jak więc dokonać wyboru? Kogo odprawić z kwitkiem?

— I co orzekł rabin z Lublina?

— Na tym polega cała rzecz. On nic nie orzekł... Nie posiada, powiedział, takiej wagi, żeby móc wyważyć rabinów. W takim razie co? I tu zaczyna się dopiero cała rzecz...

I rozeszła się wieść. Rabin lubelski poradził wysłać do miasteczka dwóch szacownych obywateli. Podał im nazwę miasteczka, na miejscu mają odszukać kuśnierza Lejbla (tak bowiem nazywał się nasz kuśnierz) i zapytać go o to, który z dwóch rabinów ma objąć stanowisko. Jego decyzja powinna być dla gminy ostateczna. I wtedy rozległ się ów nieustający dźwięk. Kto tę historię opowiedział? Nikt nie ma pojęcia. Czy byli tu jacyś obcy ludzie? Okazuje się, że tak. Po ulicach kręcili się jacyś dwaj obcy... jakoś inaczej ubrani... nie handlowali, niczego nie kupowali, niczego nie sprzedawali. I nagle zniknęli. Już znalazł się człowiek, który jakoby widział ich pod domem kuśnierza. Biegnę więc do rabina, ale on o niczym nie wie. Idźcie — powiada — do Lejbla i zapytajcie go. Przychodzę do Lejbla, a ten właśnie pakuje się do drogi.

— Dokąd jedziecie, reb Lejblu?

Już zwracają się do niego per reb Lejbl.

Do Ziemi Izraela jedzie.

Rozumiecie, co się dzieje? Ledwie został ujawniony i już wybiera się do Ziemi Izraela.

— Czy pojechał?

— Pojechał.

<sup>186</sup>*Święto Pesach* — Pascha, Wielkanoc, Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu; święto to trwa osiem dni, z których cztery są dniami powszednimi. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; działał jak instytucja, bardzo ważna szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jesiwy podupadły. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII w. przez Izraela Baal Szemtowa. [przypis tłumacza]

Maciej śpi w najlepsze. Wóz najjeżdża na gałąź zwalonego drzewa i o mało się nie wywraca. Skończyło się na strachu.

Jedziemy teraz ostrożnie i powoli. Reb Mojsze zaczyna snuć dalej swoją opowieść.

— Tak, na czym to stanąłem? Aha, na tym jak wyjeżdżał.

Był jednak jeszcze jeden porządny Żyd. Taki bardziej gadatliwy, bardziej srogi. Trochę nawet stuknięty. Był nauczycielem małych dzieci. Nazywał się Josl Bercies. I tego właśnie Josla kazał Lejbl kuśnierz zawołać przed swoim wyjazdem. Musi mu coś przekazać...

Wóz kryty budą stoi gotowy do wyjazdu, wypełniony już jest pasażerami. Wszyscy czekają, a oni dwaj, czyli Josl i Lejbl, po cichu sobie coś szepczą.

Widać, że sprawa była niezmiernie ważna.

— Przyjmij do wiadomości — powiada Lejbl do Josla — że Władca Ognia gniewa się na naszą gminę.

— Dlaczego? — pytam ja reb Mojszego.

— To samo pytanie zadał Josl Lejblowi, ale ten nie udzielił mu odpowiedzi. Może nie chciał mu odpowiedzieć. Wyjaśnił mu tylko, że to zbyt długa historia i wszyscy czekają, aż wsiądzie. Nie chce, żeby woźnica zaczął przeklinać... ale jedno jest pewne: Władca Ognia pogniwał się na miasteczko i chce je spalić. Jak długo tu byłem, nie dopuściłem do tego... Nocami ślęczałem nad świętymi księgami... Władca Ognia rzuca iskrę na słomiany dach, a wtedy ja ronię łzę na księgę, która gasi iskrę na dachu! Teraz rozumie pan, co się stało owego powszedniego dnia między świętami? I tak działo się przez wiele lat. Zmagaliśmy się. On — ogień. Ja — wodę. Dzisiaj — powiada — wyjeżdżając stąd, chcę, żebyś ty Josl ochraniał gminę. Żebyś ty był moim następcą.

— Miałbym przez wszystkie noce ślęczeć nad księgami i ronić łzy?

— Nie! Tego od ciebie nikt nie wymaga. To nie na twoje siły. Zemdlejesz i z omdlenia zapadniesz zaraz w sen. Ale dwa Imiona Boga ci przekażę. Jedno na wywołanie deszczu! Jeśli się do Niego zwrócisz, to za pierwszym razem zaczniesz kapać. Nie będzie jeszcze chmur na niebie, a mimo to będzie kapało. Kiedy po raz drugi wymówisz Imię Boga prosząc o deszcz, pojawią się chmury na niebie i zaczniesz lać jak z cebra. A jeśli po raz trzeci zwrócisz się z tą prośbą do Boga, pojawią się chmury wielkości gór, które zakryją całe niebo i spadnie ulewny deszcz, który zgasi największy ogień. Jeśli jednak stwierdzisz, że wystarczy, posłużysz się drugim Imieniem Boga. Jest to imię służące do zamówienia suszy. Ledwie je wymówisz, zjawi się wiatr ze wschodniej strony, który niczym miotła zmiecie chmury z nieba. I zaraz wyłoni się upalne lipcowe słońce. Sama rozkosz. I w mgnieniu oka zrobi się ciepło i sucho jak za piecem... ale bądź ostrożny... dwa razy nie używaj tego Imienia Boga, bo wtedy powstanie taki upał, taki żar, po prostu istny ogień, który spali całe zboże i wszystkie rośliny, a ludzie, zwierzęta i ptaki, mogą, uchwycić Bóg, zwariować. I, nie daj Bóg, nastąpi rok nieszczęścia. Rok głodu.

I tak było.

Nie minął tydzień po jego wyjeździe, jak ni stąd, ni zowąd, ku naszemu nieszczęściu, zawitał do miasteczka pewien Niemczyk. Interesują go drewniane podkłady i wszelkie inne drewno. Niczego z tych rzeczy nie kupuje. Chodzi tylko z fajką w ustach po ulicach i domach, i pyta ludzi o cenę. Wszystko skrupulatnie zapisuje w notesie. Pyka i notuje. I oto pewnego wieczoru zadał wiaterek. Wyrwał z fajki iskrę i powiał ją na słomiany dach. Było to, jak powiedziałem, wieczorem. Mężczyźni jeszcze odmawiali przedwieczorną modlitwę *mincha* w bóżnicy. Wpadają do niej handlujące w rynku kobiety z krzykiem: „Pali się!”. Pali się spichlerz tego i owego właściciela. Nim zorientowano się w sytuacji, rozszalał się pożar w całym miasteczku.

Powstała bieganina, rozległy się krzyki. Wszyscy szukają wody. Studnia jest bez sznura. Gdzie się podziały sznury? Biegną do dworu po nowe sznury, a ten stoi w płomieniach.

Ale jest przecież Josl. Biegną więc do niego. Ten biegnie najpierw do mykwy, żeby trzy razy zanurzyć się w jej wodzie. Wychodzi: wymawiając znane mu Imię Boga. Wymawia po raz drugi Imię i zaczyna z nieba lać jak z cebra. Było jednak już za późno. Ogień wzmógł się i z każdą chwilą staje się większy. Woda deszczowa spada wrząc i kipiąc na ogień. Wrze

Ogień, Woda,  
Bezpieczeństwo, Modlitwa,  
Katastrofa

i kipi w uszach. I po raz trzeci wymawia Imię. I oto pojawiają się czarne chmury z czterech stron kraju. Zaczyna się prawdziwa ulewa. Co tu dużo gadać, prawdziwy potop.

— I ugasił pożar? — pytam.

Reb Mojsze ma zmartwioną minę.

— Nie. W jednej chwili miasteczko się spaliło.

— Było za późno?

— To po pierwsze! Po drugie — Josl zapomniał, jak brzmi drugie Imię Boga. Potop zatopił to, co pozostało po pożarze. Widzi pan tę wodę. To pozostałość i pamiątka po tamtej ulewie. Nie wyschła do dzisiaj.

— A jak ulewa w końcu ustała?

— Co tu się wymądrzać? Potopu przecież nie mogło być. Kiedyś ulewa musiała ustać.

Wjeżdżamy do rozlewiska.

— Cud nad cudami! — woła reb Mojsze.

— Co? — pytam.

— Takie rozlewisko i konie przez nie przechodzą... i Maciej pyka fajkę... jakby nigdy nic.

# ORMUZD I ARYMAN

Według perskiej religii istnieją dwaj Bogowie: jeden z nich to Ormuzd (nie przymierzając, nasz Dobry Instynkt, zwany *Jecer-tow*). Ormuzd to dobry Bóg, choć do rany przyłożyć. Tworzy światło, miłosierdzie, rozum i wiele innych dobrych rzeczy potrzebnych człowiekowi.

Drugi Bóg to Aryman (nasz *Jecer-ra* — Zły Instynkt). Jest to niedobry Bóg. Niczym kret lub nietoperz lubi ciemność. Jest okrutny niczym Torquemado<sup>189</sup>. Jest przyjacielem głupców tańczących na tylnych nóżkach. Jednym słowem, od takiego boga niech nas Bóg uchwata.

Sami rozumiecie, że gdyby nie Aryman, świat byłby rajem. Ludzie współżyliby ze sobą w zgodzie jak bracia bliźnięta i nawet małżonkom nie przyszłoby do głowy się kłócić. Ludzie biegaliby po ulicach nie w poszukiwaniu jakichś tam geszeftów, nie darowałiby szwindli, jako tylko dobrych i zbożnych uczynków. Wołaliby: nagiego ubierzemy, głodnego nakarmimy, spragnionego napoimy wedle jego woli: wodą, koniakiem, winem. Całą beczką z winnic Karmelu!

W pasażu Heidelberga widniałby napis niby żywcem wzięty z hagady paschalnej<sup>190</sup>: „Kto głodny, niech wejdzie i pożywi się”.

Kobiety nie nosiłyby kapeluszy zdobnych w pióra ustrzelonych w tym celu ptaków. Otwarta byłaby jedynie kwestia, czy wolno w parowej łaźni smagać ciało wiązką różg.

Ale z drugiej strony — gdyby był tylko jeden Aryman, świat zamieniłby się w piekło. Przypominałby statek płynący po morzu krwi. Zapach smażonego, pieczonego i zadytmionego mięsa ludzkiego roztaczałby się aż do siódmego nieba.

A jeśli świat nie jest ani rajem, ani piekłem, jeśli od czasu do czasu gasną stosy ogniste, milkną dźwięki kajdan i armaty nie grzmiają bez przerwy, jeśli nie wszystkie drogowskazy na traktach są szubienicami i zdarza się czasem, że w Hadze odbywa się konferencja, na której mówi się o pokoju<sup>191</sup>, jeśli w jednym i tym samym czasie istnieją więzienia i szpitale, towarzystwa przyjaźni, antysemita, światowe kongresy i szowinizm, jeśli z okazji Nowego Roku Burowie przesyłają Anglikom gratulacje wraz z puddingiem w kartaczu<sup>192</sup>, to dzieje się to tylko z tego powodu, że Ormuzd i Aryman istnieją w jednym czasie. Jeden pluje w kaszę drugiemu.

To wszystko wiem nie tyle ze starych perskich ksiąg przetłumaczonych na różne języki, ile z ust pewnego starego Persa, który mieszka w pokoju naprzeciw mnie w tym samym domu. Poznałem go zupełnie przypadkowo i od tego pierwszego spotkania trzymamy się razem, jako że zarówno on, jak i ja nie znosimy szczekania psów... i lubimy z sobą często gawędzić.

Każdemu naszemu spotkaniu towarzyszą serdeczne pozdrowienia z obu stron.

— Jak się ma wasz stary? — zapytuje mnie z uśmiechem na twarzy.

— Na razie zachowuje się cicho — odpowiadam spuszczać oczy. — A co porabia Ormuzd?

— On swoje spełni — powiada pewny tego Pers. — On musi je spełnić.

<sup>189</sup>*Torquemado* — właśc. de Torquemada, Tomás (1420–1498), Generalny Inkwizytor Kastylii, Walencji i Aragonii (1483–1498), twórca instrukcji dopuszczającej stosowanie tortur przez trybunały; był osobą o wielkich wpływach w państwie jako doradca i spowiednik królowej Izabeli I Katolickiej oraz króla Ferdynanda II Katolickiego; ze szczególnym zapamiętaniem prześladował religię żydowską, tropiąc „krytojudaizm” (tj. podtrzymywanie praktyk religii żydowskiej mimo formalnej, dokonanej często pod przymusem, konwersji na chrześcijaństwo); osobiście nadzorował w 1490 r. zbiorowy proces Żydów oskarżonych o mord rytualny, bluźnierstwa i kradzież hostii, doprowadził do ich skazania i spalenia na stosie, a następnie wykorzystał politycznie nastroje antyżydowskie wzbudzone w trakcie procesu, by zrealizować swój projekt wydania królewskiego dekretu o wygnaniu Żydów z Hiszpanii (1492); nazwisko Torquemady funkcjonuje jako synonim inkwizycji. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*hagada paschalna* — *agada*, czyli baśń o wyjściu Żydów z niewoli egipskiej, którą czyta się podczas wieczerzy paschalnej. [przypis tłumacza]

<sup>191</sup>*w Hadze odbywa się konferencja, na której mówi się o pokoju* — pierwsza taka konferencja, zainicjowana przez cara Mikołaja II, odbyła się w 1899 r.; jej wynikiem było podpisanie tzw. konwencji haskich, czyli międzynarodowych umów regulujących prawa konfliktów zbrojnych (konwencje 1899, 1904, 1907), a także ochrony dóbr kultury (1954) czy legalizacji dokumentów (1961). [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*Burowie przesyłają Anglikom gratulacje wraz z puddingiem w kartaczu* — nawiązanie do incydentu z czasów wojen burskich. [przypis edytorski]



I stary optymista z całym przekonaniem najpierw głośno kichnął, po czym czerwoną chustą, która mogłaby Ormuzdowi służyć za chorągiew, wytarł twarz.

Ale któregoś dnia Pers jakby stracił swoją pewność.

— Kto wie — powiedział — kto wie! Aryman to chytra bestia. Bardzo chytry. Przebiegły aż do przesady! Dopóki Aryman toczył otwartą wojnę z Ormuzdem, byłem pewny, że kiedyś musi nastąpić wieczny, niekończący się dzień, po którym już więcej nocy nie będzie. Zauważyłem jednak...

— Co zauważyłeś?

Siedzimy właśnie na ławce w ogrodzie. Jest lato. Stary Pers wzdycha:

— Zauważyłem — powiada — że Aryman zmienił swoją taktykę. Stał się naprawdę niebezpieczny... oszukuje! Udaje kogoś innego. Niby poddaje się Ormuzdowi. Z ust płyną mu słowa słodkie jak miód. Oszukuje go na całego. A dobry Ormuzd daje się oszukiwać.

— Czy jest to możliwe?

— Posłuchaj — powiada Pers — dam ci kilka przykładów świadczących o jego nowej taktyce:

Dawnymi laty, na przykład, kiedy Ormuzd chciał sprawić światu wielką przyjemność, miłą niespodziankę, powoływał do życia kobiety rzadkiej piękności. Wtedy Aryman jemu na złość dotykał nieczystą ręką jej czoła, lub policzków. W miejscu dotknięcia wyrastał kobiecie to róg, to wrzód. Na nic jednak zdało się to Arymanowi, bo oto Ormuzd w swojej łasce wypuszczał promień i róg zniknął, wrzód goił się i piękna kobieta stawała się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej wzniosła w swojej urodzie. Teraz postępuje inaczej. Udaje, że jest szczęśliwy i zadowolony z tego, co czyni Ormuzd. Przebiera się. Wkłada na siebie frak i cylinder, staje przed kobietą i słodko się uśmiechając, powiada:

— *Madame* (albo *panno*) gratuluję pani łaski Ormuzda. W pełni zasłużyła pani na nią. Cały śmiertelny świat powinien klękać przed pani nieśmiertelną pięknnością!

No i koniec! Piękna kobieta staje się kokietką. Chłodną, wyrachowaną pozeraczką męskich serc.

Albo inny przykład. Pewnego dnia Ormuzd zauważa ciężko pracującego na kawałek chleba biedaka. Haruje jak koń, a zarobek żaden. Ormuzd ma czule serce. Pieniądzy i klejnotów mu nie brakuje. Wkłada do worka kilka groszy i podrzuca biedakowi.

Dawniej Aryman napuszczał w takim wypadku na biedaka złodziei, którzy okradali go z tych pieniędzy albo zsyłał na jego dom pożar, który strawił otrzymany od Ormuzda dar. Nie odnosiło to jednak pożądanego przez Arymana skutku. Ormuzd bowiem dawał i dawał na nowo biedakowi albo też stawał przy jego drzwiach samo szczęście. Dzięki temu biedak stawał się bogaczem.

Dzisiaj Aryman postępuje inaczej:

Ormuzd dał biedakowi kilka groszy, bardzo dobrze! Nie klóci się ze starszym bratem. Przeciwnie, uczy się od niego. Chce także być dobry. Podrzuca biedakowi jeszcze jeden woreczek, w którym są nie grosze, ale same złote guldeny.

Biedak staje się bogaczem. Worek ze złotem rośnie, a im bardziej rośnie, tym więcej pragnie pieniędzy. Zamienia się jakby w magnes, który przyciąga forszę do siebie. Ale nowy bogacz, który żyje wśród samych biedaków, nie może być szczęśliwy. Nie może spać... sąsiedzi-biedacy z całą pewnością nie śpią.

Ormuzd chce dać komuś coś dobrego. Na przykład siłę bohatera. Serce lwa. Taki człowiek przydaje się każdemu narodowi w każdym czasie.

Dawniej Aryman zamierzał takiego człowieka zawczasu wykończyć. W tym celu nasyłał na niego całe watahy diabłów i czartów. I po takim skazańcu miała wszelka pamięć zaginać.

Ale Ormuzd do tego nie dopuszczał. Wyprawiał przeciwko watahom diabłów i czartów zastępy aniołów, które zapędzały diabły i czarty z powrotem do piekła. I człowiek obdarzony siłą bohatera pozostawał bohaterem.

Dzisiaj Aryman postępuje inaczej:

Ormuzd daje człowiekowi siłę i Aryman dodaje mu od siebie też trochę mocy. I wtedy obdarzony przez Ormuzda bohater staje się awanturnikiem, dzikusiem, ponieważ rozsada go siła, nadmierna moc. Zamiast pożytku przynosi ludziom szkodę!

Słońce skrywa się za horyzontem. Najwyższa pora dla Persa, żeby pójść do domu. Żegna się i wstając z ławki, powiada:

Dobro, Zło, Walka, Obraz  
świata, Bóg

— I jeszcze tylko jedno chcę ci na pożegnanie powiedzieć: człowiek powinien jeść. Powinien czerpać zadowolenie z jedzenia. W tym celu Ormuzd stworzył w nim kiszkę. Trzeba ją koniecznie mieć. Bez niej człowiek nie wyżyje! Co robi Aryman? Przecież nie wytnie jej człowiekowi. Dodaje mu ślepą kiszkę. Jeszcze jeden dodatek. A ten dodatek jest już niebezpieczny. Od niego bierze się choroba.

Pers odszedł i ja zastanowiłem się, czy aby nie miał racji!

Ormuzd, albo Dobry Instynkt, budzi w nas uczucie miłości do bliźnich, do naszego narodu, do naszego biednego narodu, dla którego chcemy pracować, dla którego chcemy się poświęcić.

Co robi Aryman, albo Zły Instynkt? Dodaje od siebie jeszcze trochę uczuć. Z nacjonalizmu robi się szowinizm. Bogate, wzniosłe uczucia wyradzają się w oszukańczy fanatyzm, który nie grzeje i nie świeci, jeno płonie w ciemnościach i może nas wszystkich spalić!

Biedny, zabłąkany wędrowiec szuka dachu nad głową. Szuka miejsca, łóżka, na którym umęczone ciało mogłoby wypocząć i z którego mógłby powstać na równi ze wszystkimi do nowej pracy — wszyscy dla wszystkich!

Tę myśl wpoił w nim Ormuzd.

Co robi Aryman?

Robi z dachu, z łóżka, wzniosły cel, wieczny ideał, a my...

Myśmy się cofnęli o sto dwadzieścia lat!

I faktycznie szkoda czasu!

# BARD

W najgorszych czasach znajdują się ludzie, którzy, powodowani potrzebą serca, lubią przynosić dobre wieści. Kiedy poecie urodził się pierwszy czytelnik, ci dobrzy ludzie wspięli się na najwyższe piętro, żeby złożyć mieszkającemu na facjacie<sup>193</sup> poecie gratulacje:

— Serdecznie gratulujemy ci, poeto. Oto zaczynają cię czytać i rozumieć.

I kiedy poeta nie wykazał zbytnej radości, dodali:

— Prawda, że jedna jaskółka nie czyni jeszcze wiosny, ale ona już jest bliska. Najdzie dzień, kiedy twoje wiersze rozbrzmiewać będą ze wszystkich okien. Twoje pieśni będą śpiewane. Twoją słodką, kochaną pieśnią matki kołysać będą do snu swoje dzieci. Twoje skrzydlate słowa znajdą się na ustach nowożeńców i biedny, ślepy żebrak zatrzyma przechodniów na ulicy twoimi słodko brzmiącymi rymami.

Tak mówili do niego dobrzy ludzie, a mimo to poeta nie okazał radości i ze smutkiem odpowiedział:

— Niestety nie mogę wam za dobrą wieść należycie się odwdziżyć. Nie mam po prostu czym was ugościć. Wczoraj podzieliłem się ze swoim przyjacielem ostatnim kawałkiem cukru. W zamian za to opowiem wam, jeśli się zgodzicie, bajeczkę.

Robiąc dobrą minę do złej gry, wyrazili zgodę.

Dawno, dawno temu, w starym warownym grodzie-twierdzy obchodzono potrójne święto. Włodarz grodu miał właśnie tego dnia imieniny, triumfalnie powrócił z pola walki, gdzie odniósł zwycięstwo i do tego wszystkiego przywiózł wspaniałą łup w postaci niezwyklej urody dziewczyny.

Gród promieniał w blasku świateł.

Na zielonej, chłodnej tafli wody okalającej warowny gród pływały beczki z zapaloną smołą. Stare mury obwieszane były po same szczyty girlandami różnokolorowych lampek. Mieszkańcy doliny przez całą noc pełnili wartę na dachach swoich chat, żeby zmiatać iskry, które opadały na nie z wysoko wzniesionego zamku-grodu. Niby krwią zalane oczy duchów płonęły gotyckie okna zamku...

A w salonie zamku, w którym odbywała się wielka uczta — orgia świateł.

Płoną pachnące woskowe świece. Skrzą się diademy na czołach dam dworu, błyskają światłem pasy na biodrach rycerzy-zwycięzców. Błyszczą srebra i kryształowe zastawy na stole biesiadnym. Płoną od wina twarze biesiadników. Błyskają iskry w oczach dam.

A mimo to jakoś niezbyt miła atmosfera panuje przy stole.

— Wino i kobiety są — odzywa się, marszcząc czoło, pan baron — a gdzie jest śpiew?

— Wielki i zwycięski władco — odpowiadają mu dworzanie — byli w twoim kraju bardowie... wznosili przeciwko tobie zuchwałe, bezczelne pieśni i dlatego z twego rozkazu powiesiliśmy ich!

— Czy ani jeden nie pozostał, żeby zaśpiewać przy moim stole?

Zaległo milczenie. Nikt z dworzan się nie odezwał. I nagle stary kamerdyner nisko się pokłoniwszy przed władcą oświadczył:

— Jest taki jeden, który nie miał jeszcze zaszczytu śpiewać przed twoim obliczem. Mieszka w dolinie... jego matka umiera... siedzi przy jej łóżku i śpiewem odgania sprzed jej oczu strach.

— Sprowadźcie go!

I szybko, skutego w kajdany, sprowadzono owego barda.

\*

— Chcesz mnie zabić, to uczyn to natychmiast — powiada bard. — Chcę, żeby moja dusza zdążyła spotkać się w drodze z duszą matki.

— Zdejmijcie z niego kajdany!

Halabardnicy w mig wykonali rozkaz barona.

<sup>193</sup>facjatka — mieszkanie lub pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym z dachu i nakrytym własnym daszkiem. [przypis edytorski]

— Co mam dla ciebie zaśpiewać? — pyta bard.

— Śpiewaj o moim zwycięstwie. O zdobytych i spalonych przeze mnie miastach. O zamkach, które w proch obróciłem. O gardłach nieprzyjacielskich rycerzy, na których stawiałem moją nogę. O krwawiących głowach nadzianych na naszych włóczniach. O blasku skarbów, których nagrabilismy!

— Tęgo nie potrafię, panie baronie! Moja lutnia jest zaczarowana. Jeśli tylko dotknę jej strun, rzeki krwi przez ciebie przelanej zaczną kipieć... I obudzą się westchnienia i przekleństwa tych, których zgładziłeś. I obudzą się jęki kobiet, które zostały zgwałcone i przeraźliwe wołania mordowanych przez was dzieci. To wszystko się obudzi i upomni. I miast<sup>194</sup> radości, lęk i strach wam przyniosę. Wasze oczy wyjdą z orbit. Wasze włosy zwiną się niczym węże.

— Milcz! — krzyknął baron.

I hamując wzrastający w sobie gniew, powiedział:

— Masz śpiewać o urodzie mojej ukochanej branki. Opiewaj jej piękne oczy. Przyrównuj je do gwiazd. Przyrównuj jej bladą twarz do najszlachetniejszego marmuru i ciało jej do... ano znajdź sam odpowiednie słowo.

— Święta jest moja lutnia — odpowiada bard. — Nie można na niej zagrać rzeczy grzesznych i haniebnych. Jedna po drugiej będą pękały struny. Mogę tylko o nieszczęściu tej dziewczyny śpiewać. O ranach, które wytrysną spod twoich pocałunków na jej ciele. Mogę śpiewać o gasnącym spojrzeniu w jej oczach, w chwili kiedy pożądliwymi wargami dotykał będziesz jej ust.

— Milcz!

Nie chcąc jednak zepsuć sobie potrójnego święta, baron dalej naciskał na barda.

— Śpiewaj o radości, o winie, które perli się w złotych...

— W twoim pucharze perli się krew. Pot i krew chłepcą twoje wargi!

Baron daje mu znak, żeby przestał i zwracając się do dworzan powiada:

— Trzech odpowiedzi udzielił mi bard. Czy zrozumieliście, co powiedział?

— Ani słowa — odpowiedzieli zgodnym chórem.

— Ocaliliście mu życie — powiada baron — a jego zamknijcie.

— Szkoda nieboraka — powiadają ludzie, którzy wieść przynieśli.

— A jednak — opowiada poeta — bard był szczęśliwy, albowiem szczęście tkwi we władzy. Kto — rozważał poeta — jest mocniejszy od niego? Nie urodził się rycerzem, nie nosił broni, po nikim nie odziedziczył prawa panowania, a mimo to drży przed nim gród, drży przed nim włodarz grodu. Drżą przed jego słowem. Przed najcichszym dźwiękiem dochodzącym z jego celi.

Siedzi w ciemności, ale jego dusza kąpie się w świetlanej radości: „Ja jestem tym silnym. Mnie jednego muszą wszyscy pilnować. Wszyscy mocni, silni i uzbrojeni. Wszyscy władcy!”

I mijają godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata. On ich nie liczy. Nie czuje upływu czasu! Ciche skrzydła czasu nie dotykają jego twarzy. Ich szum nie dociera do jego uszu. On czuje tylko swoją własną moc i sący z niej pełną przyjemność. Ani trąby, ani armaty nie są w stanie zagłuszyć jego cichego głosu. Boją się i ze strachu zamknęli go w więzieniu.

Baron nie może spać.

Zdobył kraje, zburzył miasta, lasy nawet drżą przed nim i jego namiestnikami. A on sam drży przede mną. Jak długo ja żyję, nawiedzają go koszmarnie sny. Chwieje się jego tron. Zatrute jest jego grzeszne życie.

Jam jest siłą!

Dlaczego opowiada o tym poeta? Dobrzy ludzie, którzy przynieśli wieść, dziwią się. A poeta, po chwili odpoczynku, kończy swoją opowieść:

Na wszystko przychodzi czas. Po wielu długich dniach i nocach budzą go kroki i dźwięk żelaza na korytarzu.

— Przychodzą mnie zabić! — myśli bard i chce z radością wyjść na spotkanie ze śmiercią. — Śmierć mocnego jest silniejsza od jego życia. Przed moim wyzwolonym duchem jeszcze bardziej będą drżeli. Będę im się jawić w snach.

Omylił się jednak.

<sup>194</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

— Przyszliśmy cię uwolnić — wołają do niego i żelaznym łomem wyważają drzwi.  
Strumień światła wpada do celi.  
— Jakże się zestarzał! — zauważają wyzwolicieli.  
— Jak zbielały jego włosy!  
— A jednak oczy płoną!  
Ale ogień w oczach barda gaśnie. Łamiącym się głosem pyta:  
— Chcecie mnie uwolnić? Już się mnie nie boją? Tak się już zestarzałem?  
I ci, którzy przyszli go uwolnić, odpowiadają:  
— Nie boją się ciebie. Po prostu zatęsknili za tobą! Teraz ludzie cię rozumieją. Chcą to usłyszeć z twoich ust! Sam baron przypomniał sobie o tobie... To on właśnie nas posłał. Dzisiaj są twoje imieniny. Wydają ucztę na twoją cześć. Po jego prawicy stoi przeznaczone dla ciebie honorowe krzesło. Na stole biesiadnym złote puchary. Damy dworu rozbiegły się po ogrodzie, żeby narwać kwiatów, z których uplotą wieniec dla ciebie. Panowie dworu zaś zbierają pieniądze na prezent dla ciebie... pomnik na wsze czasy... tak wysoko cię cenią. Pokochali cię. Twoje pieśni z doliny śpiewane są w pałacu na górze. Chodź z nami. Dożyłeś swego szczęścia.  
— Nie wiem — odpowiada bard — jak długo czekałem na szczęście, o którym mówicie. Nie liczyłem lat, ale w ich ciągu dziko zarosłem...  
— Ostrzygą cię, zaczeszą w loczki i obleją pachnącą wodą.  
— Szaty na mnie zgniły...  
— Dostaniesz nowe, srebrem i złotem haftowane, chodź, kochany poeto, z nami!  
— Jak mogę włożyć królewskie szaty, kiedy ciało mam nieczyste. Dobrzy ludzie, zaprowadźcie mnie najpierw do wody, która opływa zamek i pozwólcie mi w niej się wykąpać!  
Na to ludzie się zgodzili.  
Bard wszedł do wody. Zanurzył się i już nie wypłynął.  
— Utonął? — zapytali przerażeni ludzie.  
— Dlaczego to zrobił?  
— A po co miał dalej żyć?

# DUSZA

## I

Pamiętam jakby przez sen. W domu naszym kręcił się jakiś mały, chudy Żyd o szpiczastej bródce. Często podchodził do mnie, obejmował i całował. Pamiętam również, że jakiś czas później tenże mały Żyd leżał w łóżku. Był chory. Wzdychał, stękał, jęczał. Matka z rozpaczy biła głową o ścianę.

Pewnej nocy zrywam się ze snu. W izbie roi się od ludzi. Z drugiego pokoju słychać żalospny płacz. Ogarnia mnie przerażenie. Krzyczę. Ktoś podchodzi do mnie. Pomaga mi się ubrać i prowadzi do sąsiada na nocleg.

Nazajutrz wracam do domu. Nie poznaję naszego pokoju. Podłoga wyścielona słomą. Lustro na ścianie odwrócone tyłem. Wisząca lampa przesłonięta obrusem. Matka siedzi na niskim taborecie w samych pończochach. Na mój widok wybucha straszliwym płaczem. Raz po raz powtarza:

— Sierota! Sierota!

Na parapecie okiennym płonie świeca. Obok stoi szklanka z wodą. Na oknie wisi kawałek płóciennej szmaty. Mówią mi, że ojciec zmarł i że jego dusza kąpie się teraz w szklance wody. Szmata na oknie to ręcznik, w który się wyciera. Jeśli będę odmawiał *kadisz*<sup>195</sup> z należną żarliwością, to dusza ojca poleci prosto do raju. Wtedy wyobrażam sobie duszę jako ptaka.

Pewnego dnia odprowadzał mnie z chederu<sup>196</sup> do domu pomocnik rebege, tak zwany pedel. Tuż nad naszymi głowami przeleciało właśnie kilka ptaszków.

— Duszyczki latają! — zawołałem — Duszyczki fruwią!

Pedel spojrzał na mnie karcąco:

— Głupis! — powiada. — To przecież ptaki. Zwyczajne, proste ptaki.

## II

W czternastym roku życia uczyłem się już *Gemary*<sup>197</sup> i *Tosefty*<sup>198</sup>, i to właśnie u melameda<sup>199</sup> Zurecha Knejpa. Do dziś nie wiem, czy w rzeczywistości tak się nazywał, czy uczniowie obdarzyli go tym przezwiskiem za to, że zwykł był ich szczypać bez litości. Nie czekał jednak wcale na czyjeś przewinienie. On „płacił” na wyrost i z góry.

— Przypomnij mi tylko — powiadał do kolejnej ofiary — a zbiję cię.

Poza funkcją melameda spełniał też obowiązki mohela<sup>200</sup>. Wyhodował sobie ostry paznokieć niczym zwierzęcy pazur. Toteż każde jego uszczypnięcie wywoływało większy ból. Stale przy tym powtarzał:

— Nie bec! Na próżno ryczysz! Szczypię przecież tylko twoje ciało. Żałujesz go? Czego? Tego, że robaki będą miały mniej mięsa do żarcia? Ciało to jedynie proch i pył. Chcesz się przekonać? Potrzyj ręką o rękę, a zobaczysz...

I potarliśmy. I co się okazało? Faktycznie, ciało to proch i pył.

— A co to jest dusza? — zapytałem go.

— Sama duchowość!

## III

Zurech Knejp śmiertelnie nienawidził swojej żony. Za to Szprynca, jego jedyne dziecko, była mu oczkiem w głowie. My, uczniowie, nie znosiliśmy jej. Donosiła mu na nas. Lubiliśmy jej matkę, żonę melameda. Dawała nam na kredyt groch i bób. Nieraz też wybawiała nas z jego mściwych rąk.

Największym poważaniem u niej cieszyłem się ja. Największe dokładki ja od niej dostawałem. Kiedy zdarzało się, że rebe zabierał się do bicia mnie, podnosiła krzyk:

<sup>195</sup>*kadisz* — modlitwa za zmarłych. [przypis tłumacza]

<sup>196</sup>*cheder* — jednoizba, elementarna szkoła religijna dla chłopów od 4. roku życia. [przypis tłumacza]

<sup>197</sup>*Gemara* — dosł. zakończenie; druga część *Talmudu*; zawiera komentarze i objaśnienia 63 traktatów z *Miszny*. [przypis tłumacza]

<sup>198</sup>*tosefty* — suplementy do *Talmudu*. [przypis tłumacza]

<sup>199</sup>*melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]

<sup>200</sup>*mohel* — dorosły Żyd płci męskiej dokonujący obrzędowego obrzezania. [przypis tłumacza]

— Bandyto, czego chcesz od tej biednej sieroty? Dusza jego ojca zemści się na tobie! I rebe dawał mi spokój. Co się mnie należało, dostawało się jej.

Pewnego razu, pamiętam to doskonale, wracałem w nocy z chederu do domu. Rebe tego dnia użył sobie na mnie. Na domiar złego tego dnia chwycił tęgi mróz. Skóra na ciele pękała. Podniosłem oczy ku niebu i szlochając z bólu zanosłem prośbę do ojca:

— Tatusiu, zemścij się na Zurechu Knejpie. Boże, Panie świata, czego on chce od mojej duszy?

O tym, że rebe Zurech szczypie tylko ciało, zapomniałem. Z bólu człowiek traci pamięć i rozum.

#### IV

Kiedy następnego dnia reb Zurech Knejp odłożył *Gemarę* i zaczął opowiadać nam bajki, ujraliśmy przed sobą zupełnie innego człowieka. Rozsiadł się wygodnie na krześle, rozpiął marynarkę i uniósł głowę. Na jego wargach pojawił się uśmiech, a głos przybrał jakieś inne brzmienie. Przez cały okres nauki Knejp grzmiał gniewnie. Tak zwykle rozmawiał z żoną. Bajki zaś opowiadał nam głosem miękkim i delikatnym. Takim samym, jakim zwracał się do swojej ukochanej Szpryncy, do tej jego „najdroższej duszyczki”.

Myśmy go często prosili o bajkę. Błagaliśmy tak, jak człowiek napadnięty przez zbója błaga o litość. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Zurech zna jeden tylko rozdział z *Ejzechu neszech*<sup>201</sup> (Co to jest nadmierny procent). Tym to rozdziałem zawsze zaczynał i kończył sezon szkolny. Z tego to powodu zmuszony był sztukować lekcje bajkami. Szczególnie w sezonie zimowym, kiedy nie ma świąt. My musieliśmy każdą bajkę opłacać bobem i grochem.

Pewnego razu wszyscy złożyliśmy się na zakup barchanowej kurtki dla Szpryncy. W zamian Zurech Knejp opowiedział nam, w jaki sposób Pan Bóg wybiera ze swego skarbcza duszę i wdmuchuje ją w ciało człowieka.

Ja sobie wtedy wyobrażałem, że w skarbcu Boga wszystkie dusze są ułożone tak, jak towar w sklepiku mojej matki. W różnych pudełkach. Czerwonych, zielonych, niebieskich. Wszystkie przewiązane sznurkami.

#### V

— A kiedy Bóg — snuje swą opowieść rebe — wybiera ze swego skarbcza jakąś duszę i skazuje ją na zejście na pełną grzechu ziemię, ta zaczyna drżeć i płakać... Wtedy przychodzi do niej anioł, który wchodzi z nią do brzucha rodzącej matki. Tam przerabia z nią całą *Torę*<sup>202</sup>. A kiedy nadchodzi pora wyjścia na świat, anioł daje jej prztyczka w nos i dusza natychmiast zapomina całą zdobytą naukę. Dlatego — dodaje rebe — wszystkie dzieci żydowskie mają dołek nad górną wargą.

Tego dnia ślizgałem się na lodowisku za miastem. Zauważyłem, że szajgece<sup>203</sup> Jontek, Wojtek i Jasiiek mają takie same dołki nad górną wargą. Pokonując strach, podeszedłem do Jaśka i zapytałem:

— Jaśku, czy ty też posiadasz duszę?

— A tobie co do tego? — jego odpowiedź nie zachęcała do dalszych pytań.

#### VI

Poza nauką w chederze, uczyłem się sztuki pisania u nauczyciela. Był wdowcem. W mieście uchodził za heretyka. Sąsiedzi nie chcieli ani od niego, ani jemu pożyczać naczyń. Nikt nie wierzył, żeby jego córka Gitele potrafiła przyrządzić w sposób koszerne mięso. Posiadał jednak dużą wiedzę, a moja matka chciała, aby jej jedynek umiał pisać.

<sup>201</sup> *Ejzechu neszech* — rozdział z *Talmudu* o lichwie. [przypis tłumacza]

<sup>202</sup> *Tora* — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też Pięcioksięgiem lub księgami Mojżeszowymi tzn., że podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe; *Tora* opisuje genezę i rozwój prawa na tle wydarzeń historycznych lub uważanych za historyczne. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *szajgec* — określenie pejoratywne nieżydowskiego chłopca, potocznie używane w znaczeniu: łobuziak, urwis. [przypis tłumacza]

— Panie nauczycielu — powiedziała do niego — proszę tylko nie uczyć go heretycznych rzeczy. Nie życzę sobie żadnego *Tanachu*<sup>204</sup>, ani żadnych tam *Poskim*<sup>205</sup>. Niech się nauczy pisanie listu po żydowsku. Zwykłego listu, który zaczyna się od słów: „Szalom, drogi mój (droga moja)”.

Zgodził się, ale mimo wszystko nie jestem pewny, czy dotrzymał słowa.

Kiedy opowiedziałem mu historię o pękniętych wargach, wpadł w złość. Zerwał się z miejsca. Jednym kopnięciem odsunął krzesło i zaczął krążyć po pokoju, krzycząc:

— Nieuki, zbóje!

Powoli uspokajał się. Znowu usadowił się na krześle. Zdjął okulary, przetarł je i znowu włożył. Przyciągnął mnie do siebie i powiedział:

— Dziecko moje, nie wierz w te brednie. Czyś dobrze się przyjrzał szajgecom na ślizgawce? Jak się nazywają?

Wymieniłem ich imiona.

— To powiedz mi, czy ktoś z nich ma inne oczy, inne nogi, inne ręce lub jakieś inne części ciała odmienne od twoich? Czy nie śmieją się tak samo jak ty? A kiedy płaczą, czy ronią inne łzy niż ty? Dlaczego więc nie mieliby posiadać takiej samej duszy?

Wszyscy ludzie są równi, tacy sami. Jeden Bóg jest dla wszystkich ojcem. Jedna ziemia jest ich krajem. Prawda, że dzisiaj narody wzajemnie się nienawidzą. Każdy naród wmawia sobie, że on jest najlepszy ze wszystkich i że Bóg o nim tylko myśli. Mamy jednak nadzieję, że kiedyś nadejdą czasy lepsze i jaśniejsze. Gdy wszyscy ludzie na ziemi będą uznawali jednego Boga i jedno prawo. Spełnią się wówczas święte słowa naszych proroków. Ustaną wojny, zniknie nienawiść i zazdrość. Wszyscy ludzie będą służyli jednemu Stwórcy świata. I stanie się tak, jak w Piśmie jest napisane: „Albowiem z Syjonu wyjdzie *Tora* i słowa Boga z Jerozolimy”.

To zdanie zapamiętałem z modlitwy, która zaczyna się słowami: „I było to podczas wędrowania Arki”.

Nauczyciel długo jeszcze perorował, ale ja już coraz mniej rozumiałem. Nie mogłem uwierzyć w to, że goj posiada rozum i że wszyscy ludzie są równi. Wiedziałem, że mój nauczyciel jest heretykiem, że nie wierzy w metamorfozę duszy, chociaż nawet ja sam widziałem, jak po śmierci Fradel czarny pies pałętał się po dachu domu, w którym ona mieszkała. Widziałem też, że nauczyciel obcina sobie paznokcie i wyrzuca je przez okno, co jest zakazane.

Dawno bym już od niego uciekł i opowiedział mamie, jakie to herezje wygaduje na temat Boga i Jego Mesjasza, gdyby nie... Zgadliście już chyba, kogo miałem na myśli.

## VII

Jedno utkwilo mi w pamięci. To, że nadejdzie czas, kiedy wszystkie narody świata będą się uczyły *Tory*. A czas ten był niedaleko. Dla nas nadeszły już wtedy prawdziwe czasy Mesjasza. Ktoś znalazł do tego wyraźną aluzję w *Księdze Daniela*. Ktoś natknął się w skróconym kalendarzu żydowskim na nieodparty dowód. Inny zaś wskazał na jakiś egzemplarz *Zoharu*<sup>206</sup>, który zawierał utajony komentarz. Słły gadki od ucha do ucha, że rabi z Kozienic przestał odmawiać modlitwę o miłosierdzie *tachnun*<sup>207</sup>. Z Erec Izrael<sup>208</sup> dotarła wieść, że tego roku nie pojawił się w pobliżu Ściany Płaczu ani jeden lis.

Każdego niemal dnia spodziewano się nadejścia Mesjasza, syna Józefa. Żydzi postawili się i przestali płacić podatki na rzecz kahału<sup>209</sup>. Kiedy przyjdzie Mesjasz, nikt nie będzie pamiętał o takiej drobnostce jak podatek.

Prawdziwa kłeska dotknęła kobiety. Jeszcze w ubiegłym roku zapadły się schody w mykwie<sup>210</sup>. Dziesięć razy podejmowano próby, aż wreszcie udało się zebrać odpowiednią kwotę na remont schodów. Teraz drewno już jest. Leży, dzięki Bogu, przy łaźni

<sup>204</sup>*Tanach* — nazwa całego *Starego Testamentu*; skrót utworzony ze słów *Tora*, *Newiim* (Prorocy) i *Chtuwim* (Pisma). [przypis tłumacza]

<sup>205</sup>*Poskim* — późniejsze przepisy prawne, które powstały po zakończeniu *Talmudu*. [przypis tłumacza]

<sup>206</sup>*Zohar* — księga kabalistyczna. [przypis tłumacza]

<sup>207</sup>*tachnun* — miłosierdzie. [przypis tłumacza]

<sup>208</sup>*Erec Izrael* (hebr.) — Ziemia Izrael. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*kahał* — gmina żydowska, może również oznaczać zarząd gminy. [przypis tłumacza]

<sup>210</sup>*mykwa* — rytualny basen, w którym pobożny Żyd oczyszcza swoje ciało. [przypis tłumacza]



i czeka. Szkoda jednak pieniędzy na wynajęcie rzemieślnika. Grzech wyrzucić kilka rubli...

Byłem pewny, że wkrótce Jasiek, szjeger, który podbiegł do mnie w chwili, kiedy na ślizgawce wywinąłem kozła oraz Wojtek, który przy każdym spotkaniu pokazywał mi świńskie ucho, przyjdą do mnie wraz z Jontkiem i pokornie poproszą, żebym im wyjaśnił nasze prawo o nieczystych i zakazanych rzeczach. Ja zaś, człowiek litościwy, nieodrodny syn miłosiernych ojców, puszczę w niepamięć wszelkie zło, jakie mi uczynili i tak do nich powiem:

— Przybliżcie się do mnie, a objawię wam najskrytszą tajemnicę o dwóch mostach: żelaznym i papierowym. Ostrzegę wszystkich, żeby pod żadnym pozorem nie zbliżyli się do żelaznego mostu. Najlepiej będzie, jeśli będą się trzymali daleko od niego. W ten sposób ocalą dusze, a to jest najważniejsze.

## VIII

Na dzień przed Rosz-haszana<sup>211</sup> skończyliśmy czytanie *Ejzebu neszech*. W pełni zrozumiałem znaczenie i radość wyjścia z niewoli egipskiej. Reb Juzl, mój nowy melamed, podobno nie szczypie, nawet nie bije. Chyba że ktoś rzeczywiście zawinił. Zawsze widywałem go podczas modlitwy w bóżnicy. Był to wysoki Żyd o tak gęstych rzęsach, że za nimi nie widać było oczu. Kaftan miał zwykle rozpięty, a spod długiej, białej niemal brody zakończonej dwoma szpicami, wylał się jego tałes kutn<sup>212</sup>. Chód miał cichy i powolny. Nigdy nie podnosił głosu. Mówił cicho, jakby przekazywał sekret. Kiwał przy tym nieustannie głową. Unosił wtedy do góry gęste brwi, marszczył czoło i wydymał wargi. Ręce kładł za pleciony sznur, opasujący talię. Wydawało mi się, że każde jego słowo posiada ogromne znaczenie. Niemal wszechświatowe.

Przed laty reb Juzl był gościem u kilku cadyków<sup>213</sup>. Otrzymał od nich koncesję na kosztowną oliwę, na talizmany i amulety. Korzysta z tej koncesji do dzisiaj. Jest ponadto pierwszym w mieście specem od odczyniania uroków. Podczas choroby rabina wygłasza za niego kazanie w Wielką Sobotę i Rosz-haszana, a czasem także mowę pogrzebową. Rabin był już w latach i siły go opuściły. Reb Juzl nie tracił nadziei, że za 120 lat zajmie miejsce rabina<sup>214</sup>.

Poza tym reb Juzl był znakomitym *bal-tokea*<sup>215</sup>. Kiedy odmawiał błogosławieństwo przed dęciem w róg, wszystkich ogarniał strach. Nawet ryby w wodzie drżały. Byłem niezwykle dumny z tego, że będę uczniem reb Juzla. Jeszcze przed Jom Kipur<sup>216</sup> nadarzyła mi się okazja, żeby z nim porozmawiać o duszy. Dusza stała się moją *ideé fixe*<sup>217</sup>. Ani na chwilę myśl o niej mnie nie opuszczała. Reb Juzl od razu na samym wstępie naszej rozmowy zaczął wybijać mi z głowy „przyjaźń z narodami świata”. Na jej miejsce wtłaczał mi ideę „narodu wybranego”.

— Nie na próżno znosimy — twierdził — cierpienia diaspory. Naszym udziałem są niezliczone obelgi i poniżenia. Doświadczamy takich mąk, jakich na darmo szukać w najdokładniejszych wykazach cierpień. Gdybyśmy byli takim narodem jak pozostałe, to byśmy na równi z nimi mieli dobre, spokojne życie na ziemi. Ale ojciec, który kocha swoje dzieci, często je bije. Albowiem chce, żeby się wiele nauczyły, żeby zajrzały za wszystkie bramy wiedzy. W nas, w ciałach Żydów, dusze są różne. Nie wszystkie są jednakowe. Są dusze prymitywne, rzekłbym gruboskórne, takie jak na przykład dusza Zurecha Knejpa albo tego heretyka, twojego nauczyciela. On ma duszę nie najwyższej próby. Jak zwykła, nieoczyszczona mąka. Są też dusze wielkie i szczytne. Niektóre wywodzą się wprost

<sup>211</sup>Rosz-haszana — żydowski Nowy Rok, inaczej: Święto Trąbek; święto upamiętniające pierwszy dzień stworzenia świata; w religii żydowskiej wierzy się, że w Rosz-haszana Bóg ocenia ludzi i zapisuje ich losy w dwóch księgach: sprawiedliwych wpisuje do *Księgi Życia*, grzeszników do *Księgi Śmierci*, pozostali ludzie mają 10 dni na poprawę (czas do święta Jom Kipur, Dnia Pojednania). [przypis edytorski]

<sup>212</sup>tałes kutn a. talit katan — mały tałesik, rodzaj podkoszulka z cycesami noszony przez cały dzień pod ubraniem. [przypis tłumacza]

<sup>213</sup>cadyk — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>214</sup>nie tracił nadziei, że za 120 lat zajmie miejsce rabina — Żydzi życzyli sobie doczekania 120 lat, tyle lat miał żyć Mojżesz. [przypis tłumacza]

<sup>215</sup>bal-tokea — Żyd, który dmie w róg w Rosz-haszana. [przypis tłumacza]

<sup>216</sup>Jom Kipur — dzień odpuszczenia grzechów, Sądny Dzień. [przypis tłumacza]

<sup>217</sup>ideé fixe (fr.) — natrętna, stale powracająca i zaprzatająca umysł myśl. [przypis edytorski]

z przybytku, który znajduje się pod Tronem Najwyższego. Istnieją również jeszcze większe i szczytniejsze dusze. Najwyższej próby czystości. Czystości najlepszej, pszenicznej, białej ofiarnej mąki.

Mało co zrozumiałem z tych „prób czystości”. Jeszcze mniej z tego „przybytku pod Tronem Najwyższego”. Wiedziałem tylko, co to jest czysta mąka pszeniczna i wyobrażałem sobie, że różnica zachodząca między duszami jest taka sama, jak między mąką razową, żytnią i najczystsza mąką pszeniczną, z której wypieka się chałę na szabat<sup>218</sup>. Najpiękniejsze i największe dusze, pomyślałem sobie, powinny składać się z szafranu i rodzynek...

## IX

— Podstawową jednak rzeczą — ciągnął dalej reb Juzl — są cierpienia. Ani jedna dusza nie może przepaść. Wszystkie muszą wrócić do tego szczebla, na którym były, nim zeszyły na ziemię. Muszą przejść przez oczyszczenie. Dokonać zaś swego oczyszczenia mogą tylko przez cierpienie. Pan Bóg w swoim miłosierdziu zsyła na nas cierpienia, abyśmy nie zapomnieli, że jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami, ułomnymi stworzeniami. Wystarczy jedno Jego spojrzenie i zamienimy się w proch i pył. A na tamtym świecie dusze muszą przejść oczyszczenie.

W tym miejscu reb Juzl przedstawił obrazkowo, jak dusze muszą przejść przez siedem kręgów piekła.

## X

W okresie świąt miałem dużo czasu, aby rozejrzeć się po mieszkaniu. Przed świętem Sukot<sup>219</sup> było u nas pranie. Pewnej nocy śniło mi się, że jestem na tamtym świecie. Widzę, jak aniołowie wyciągają ręce i łapią duszyczki, które wracają z ziemi. Przeglądają je, sortują. Tylko te duszyczki, które są białutkie i jak śnieg czyste, wylatują z ich rąk jako gołąbki i kierują się wprost do raju. Brudnych duszyczek nie przepuszczają. Usypują je w stos i wtrącają do Lodowatego Morza. Tam czekają na nie czarne anioły. Chwytają je i myją. Następnie wrzucają je do czarnych kotłów i gotują na ogniu piekielnym. A kiedy czarne anioły wyciskają z nich brud i prasują je, rozlega się ich płacz od jednego krańca świata do drugiego.

W tym praniu brudu rozpoznaję duszę swego nauczyciela. Ma jego długi nos, jego zapadłe policzki i szpiczastą brodkę. Nosi też duże niebieskie okulary. Mimo iż ją dokładnie myli, stawała się coraz czarniejsza. I nagle jeden z aniołów wydaje okrzyk:

— To jest dusza nauczyciela heretyka!

W chwilę potem przystępuje do mnie inny anioł i gniewnie powiada:

— Jeśli pójdziesz w jego ślady, twoja dusza będzie tak samo brudna. Trzeba ją będzie co noc prać. Tak długo będziemy ją prać, aż przepadnie w mękach piekła.

— Ja nie pójdę w jego ślady! — krzyczę przez sen. Matka budzi mnie. Uwalnia mnie od koszmaru.

— Co z tobą, moje złotko? Całyś obłany potem...

— Mamo — mówię — byłem na tamtym świecie!

Nad ranem matka pyta mnie, całkiem poważnie, czy będąc na tamtym świecie, nie widziałem się z ojcem. Zaprzeczam.

— Szkoda, wielka szkoda! Z całą pewnością przekazałby coś dla mnie...

## XI

I co z tego, że mój nauczyciel pokpiwa sobie ze snów? Dla jego dobra, a jeszcze bardziej dla dobra Gitele, chciałem go uratować. Opowiedziałem mu cały sen, a on na to, że sen to głupstwo.

— Takich rzeczy — powiada — nie należy brać na serio.

Zaczyna mi przytaczać dowody z *Tanachu* i *Gemary*, że sen to bzdura i głupstwo. Nie chcę tego słuchać. Zatykam sobie uszy.

<sup>218</sup>szabat a. *szabas* — sobota; w kulturze żydowskiej dzień świąteczny w tygodniu. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>Sukot — Święto Szałasów trwające siedem dni; w tym czasie Żydzi jedzą i śpią w szałasach, tak jak ich przodkowie podczas Exodusu [tj. wyjścia z niewoli egipskiej]. [przypis tłumacza]

Zdawałem sobie jednak sprawę, że mój nauczyciel jest przegrany i że czeka go marny los. Ja zaś powinienem uciec od niego, jak od czegoś nieczystego. Inaczej zniszczy też moją duszę. Moją młodą duszę!

W praktyce było jednak inaczej. Sto razy obiecywałem sobie, że opowiem wszystko mamie, ale nigdy nie dotrzymałem słowa. Wielekroć usta mi się otwierały, gotowe opowiedzieć, ale zawsze zdawało mi się, że za plecami matki stoi Gitele. Stoi z wyciągniętymi ku mnie rączkami, a jej oczy proszą żałośnie: „Nie, nie mów!”. I jej błagalne spojrzenie okazuje się silniejsze od mej pobożności. Czuję, że dla niej gotów jestem skoczyć nie tylko w ogień i wodę, ale w samą czelusć piekła.

Jednocześnie żal mi samego siebie. Matka oraz wszyscy moi mełamedzi wierzyli niezachwianie w to, że wyrośnie ze mnie wielki człowiek...

## XII

Pozbyłem się już Zurecha Knejsa razem z jego ostrym pazurem, a mimo to wcale mi się lżej nie zrobiło. Tymczasem ukończyłem szesnasty rok życia. Swaci nie dawali spokoju mojej matce, choć ja nie zdążyłem się jeszcze pozbyć dzieciennych nawyków. Po cichu, aby nikt nie widział, zdrapywałem ze stołu, w wieczór kończący Jom Kipur, воск po świecach, aby w chederze lepić z niego figurki. Z powodu tego wosku szames<sup>220</sup> w bóżnicy stał się moim śmiertelnym wrogiem, a w chederze napytałem sobie mnóstwa kłopotów.

— Pokaż palcem, gdzie teraz czytamy? — reb Juzl zaskakuje mnie. Myślami jestem daleko od chederu. Kładę więc na stronicę *Gemary* całą dłoń. Wszystkie pięć palców oblepione woskiem i kawałek wosku. Reb Juzl wpada we wściekłość. Jest błądy. Otwiera szufladę, powoli wyciąga z niej cienki sznurek i związuje razem obydwie moje kciuki. Zaciska tak mocno sznurek, że czuję, jak ból podchodzi mi pod serce. Nie poprzestaję jednak na tym. Ma jeszcze coś w zanadrzu. Podchodzi do miotły i wrywa z niej różgę. Wali mnie nią po związanych rękach. Jak długo to trwa? Mam wrażenie, że od wieków. I dziwna rzecz: zadane mi cierpienia przyjmuję z miłością. Błyska mi w głowie myśl: to Pan Bóg zsyła na mnie cierpienia! Powinienem odbyć pokutę i porzucić mego nauczyciela.

Kiedy moje ręce zdążyły już spuchnąć, a na skórze pojawiły się różne kolory, reb Juzl odłożył różgę i powiedział:

— Wystarczy! Więcej już nie będziesz lepił!

Ale ja dalej to robiłem. Miałem ogromną przyjemność, gdyż mogłem ulepić z wosku wszystko, co chciałem. Czulem, że potrafię coś stworzyć. Najpierw powstawała z wosku głowa człowieka. Potem z tejże głowy robiłem kota, z kota myszkę. Następnie z boków wyciągałem skrzydełka. Głowę potem rozluptywałem na dwie części. Kiedyś powstał z tego orzeł z koroną. A z przeplatanych dwóch skrzydełek — kołacz.

Sam też byłem czymś w rodzaju wosku. Mnie ugniatał i lepił reb Juzl, nauczyciel, matka i kto tylko chciał. A Gitele rozlała mnie tak, jak się leje wosk...

## XIII

Lepili mnie i ugniatali niczym wosk, a to sprawiało mi ból. Doskonale pamiętam, jak mnie bolało. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego właśnie ja tak przejmowałem się duszą? Moi koledzy śmiali się ze mnie. Nadali mi przydomek „Duszek”. Przydomek było głupie, ale zmartwień w związku z nim miałem sporo.

Na przykład ciągle jestem zamyślony. Zastanawiam się nad tym, co będzie, gdy znajdę siły, aby się wyrwać z rąk szatana. Przeprowadzam rachunek z własną duszą. Prawie jej morały, besztam ją. I nagle ktoś mi daje prztyczka w nos i woła „Duszek”. Albo chcę zapomnieć o moich zmartwieniach, zaczynam rozważać problemy o wadze światowej. Sprzęgam jakiś trudniejszy werset z *Tosefty*<sup>221</sup> z bardzo złożonym wywodem Majmonidesa<sup>222</sup>. Jestem już w zupełnie innym świecie. Nie ma dla mnie nauczyciela, nie ma Gitele,

<sup>220</sup>szames — służa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

<sup>221</sup>*Tosefta* a. *Tosefor* — dodatkowy komentarz, suplement do Talmudu. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*Majmonides, Mojżesz* (1135–1204) — żyd. filozof, którego dociekania teologiczne w duchu arystotelizmu miały wpływ na filozofię scholastyczną (mianowicie na myśl św. Tomasza z Akwinu), lekarz; urodzony w Kordobie, ok. 1150 r. opuścił Hiszpanię, uchodząc przed prześladowaniami, studiował w Fezie, osiadł w Egipcie, był

nie ma problemu duszy. W mózgu zaczyna mi się coś układać. Wpadam na znakomity pomysł! Właściwe słowo mam na końcu języka... I nagle ktoś gwizdże mi prosto w ucho: „Duszek”. Dźwięk ten odbija się głośnym echem. Misternie tkana myśl pęka: koniec z *Toseftą*, koniec z Majmonidesem... Jestem z powrotem na ziemi.

Stojąc odmawiam modlitwę *Szzone Esre*<sup>223</sup>. W sercu mam ból, w oczach łzy: „Ulecz nas Boże, a będziemy uleczeni”. Modłę się żarliwie, z pełnym przekonaniem. Broń Boże, nie mam na myśli uleczenia ciała. Chodzi mi o duszę: „Ulecz, wylecz Boże, władco świata, moją biedną, młodą duszę!”. Nagle ktoś mnie palcem wskazuje i szepce:

— To jest ten „chłopiec od duszy”!

No i koniec z żarliwością. Koniec z modlitwą...

Tak to cierpiałem w dzień, jak i w nocy.

## XIV

Gitele uchodziła za bardzo mądrą dziewczynę. Ojciec inaczej na nią nie wołał, jak tylko „moja ty mądralko”. Sąsiadki twierdziły, że jest tak mądra, jak mądry jest Boży dzień. Gdyby była równie pobożna, jak mądra, to jej matka miałaby w raju pełną satysfakcję. Moja mama też ją chwaliła.

— Gdyby jeszcze — dodawała — umiała przyrządzić koszerne mięso, to chętnie bym ją widziała jako synową.

Pewnego razu nie zastałem mego nauczyciela, więc Gitele była sama w domu. Wpadło mi wtedy do głowy, żeby poradzić się jej w sprawie duszy. Nogi uginały się pode mną. Ręce latały i serce waliło młotem. Wbiłem oczy w podłogę, jak trefny nóż w ziemię, i wykrztusiłem z siebie:

— Ludzie mówią, że ty, Gitele, jesteś mądrą dziewczyną. Powiedz mi zatem, czym jest według ciebie dusza?

A ona uśmiechnęła się i powiedziała:

— Dalibóg, nie wiem!

Nagle jednak posmutniała. W oczach pojawiły się łzy. Wtedy przypomniałem sobie, że kiedy jej matka, oby spoczywała w pokoju, jeszcze żyła, ojciec zawsze mawiał, że żona jest jego duszą. A oni się rzeczywiście ogromnie kochali.

Nie wiem, skąd mi się wzięła odwaga, ale natychmiast schwyciłem ją za rękę i drżącym ze wzruszenia głosem powiedziałem:

— Gitele, chciałabyś być moją duszą?

A ona szepnęła:

— Tak!

## XV

Ileż to ja miałem szczęścia! Szczęście, że Gitele była jedynaczką i ja byłem jedynakiem. Nie mogę powiedzieć, że szczęściem było to, że ja i ona byliśmy sierotami. Ale z tego powodu wszystko poszło łatwiej. Szczęście, że jej ojciec, a mój nauczyciel, zdążył zebrać trochę rubli na posag i że moja matka pilnie ich potrzebowała do swego sklepiku. Szczęśliwie się złożyło, że nagle, i zresztą na wyrost, zyskałem złą sławę, jako rzekomy heretyk. Nikt nie chciałby mnie mieć za zięcia. Najszczęśliwszym jednak moim posunięciem było to, że wybrałem na swatkę kołdziarkę Cypę, która miała języczek na kółkach. Obiecałem jej specjalne wynagrodzenie. Ale mimo tego wszystkiego matka moja ronila łzy nade mną:

— Oj — płakała — gdyby twój ojciec powstał z grobu i zobaczył, z kim ty się wiążesz, to by czym prędzej uciekł z powrotem do swojej mogiły...

Wtedy wpadłem na taki pomysł: w środku nocy zacząłem nagle krzyczeć, że znowu byłem na tamtym świecie. Tym razem nie omieszkalem matce przekazać pozdrowienia od ojca, który jednocześnie wyraził zgodę na moje małżeństwo z Gitele.

W ten sposób i ja uzyskałem swoją duszę.

osobistym medykiem sultana Salazara, pogromcy krzyżowców, oraz przywódcą gminy żydowskiej w Kairze; gł. dzieła Majmonidesa to: *Przewodnik błędzących* (*More Neuwchim*), *Powtórzenie Tory* (*Misze Tora*, obejmująca *Księgę przykazań*, czyli *Sefer ha-Micwot*) stanowiące szczegółową kodyfikację i omówienie zwyczajowego prawa żydowskiego oraz *Komentarz do Miszny* (*Perush ha-Mishnah*). [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*Szzone Esre* — Osiemnaście Błogosławieństw. [przypis tłumacza]

# CUDZOZIEMSKI PTAK

## POWIASTKA DLA STARSZYCH

Przyroda nicożywiona

Na żółtym mchu, wśród bagien leżał kiedyś kamień. Z pozoru zwykły, zwyczajny kamień. Kamień jak kamień.

Nie przejmuje się tym, jak wygląda rozpostarte nad nim niebo, jak szumi las i szemrze rzeka. Nie obchodzi go też, czym zajmują się jego sąsiedzi.

A niebo niech sobie spogląda na dół, na ziemię, tysiącem swoich miłosiernych i czułych oczu. Niech nadąsane i gniewne ukrywa się przed ziemią za zasłoną z chmur i mgły. Niech w przystępie złości straszy ją piorunami i błyskawicami.

I niech sobie las szumi pieśnią i miłością, albo krzykiem czy chrapliwym szelestem straszy. Niech sobie nawet stoi pusty i nagi, w biały owinięty całun.

Niech sobie rzeka spokojnie toczy kryształowo-czyste wody. Niech przechowuje na swoim łonie własne niebo i własne gwiazdy. Niech się nawet burzy. Niech miota swoje spienione gniewne wody w górę, ku niebu, które pragnie zesłać na nią srogą zimę i skuć ją lodem.

Kamień pozostaje zawsze kamieniem. I ciche, milczące jest serce kamienia. Milczy nawet wtedy, gdy oślizłe żaby wyskakują z bagna i odpowiadają na nim swoje weseliska, gdy na jego grzbiecie rechoczą i kumkają.

A kamień ze swoim skamieniałym sercem zarywa się coraz głębiej w ziemię, w mech.

Przecież to tylko zwykły kamień — powiadają młodzi. Starsi zaś smętnie się przy tym uśmiechają. Oni pamiętają czasy, kiedy kamień nie był jeszcze kamieniem.

I kiedy młodzi zwracają się do nich z pytaniem:

„Czym był według was ten kamień?” — Każdy z tych starców, których włosy przyprószone są siwizną, ma swoją wersję, swoją bajeczkę na temat kamienia:

— To był kiedyś lew. Dziki, ślepy w ziejącym pustką stepie. Owinięty w mglistą mgłę z różowego piasku przebiegał przez step. Spoza mgły jego oczy wyglądały jak dwa płonące słońca. I każdy jego pomruk, odbijał się potężnym jak grzmot echem.

Pewnego dnia lew zachorował. I kiedy leżał zmożony chorobą usłyszał, że osioł opuścił miasto i podąży do niego. Osioł chciał postawić na dumnym grzbiecie lwa zwycięską stopę. Co więcej, lew obawiał się, że osioł zechce przy tej okazji prawić mu morały.

I z żalu, a może ze strachu przed osłą stopą i osłimi morałami lew zastępnął w bezruchu i z biegiem lat skamieniał.

Teraz zamieniony w kamień coraz głębiej pograża się w ziemię.

Jeszcze po dziś dzień przechodzą go ciarki na myśl o morałach osła i jego stopie. Dlatego pragnie głębiej się zaryć i skryć.

I ślepy starzec drżącymi rękoma obmacuje i głaszczce kamień. — Czy nie zauważyliście — powiada — jak wyraźnie rysują się poszczególne części jego ciała? Czy nie widzicie śladów jego dumnej grzywy? Ja doskonale je wyczuwam.

Drugi znów starzec pewnym, acz nieco drżącym głosem twierdzi, że to wcale nie był lew.

— A więc kto to według ciebie był, staruszkule?

— Feniks!

I kiedy prawnuki otaczają go kołem i pytają:

— Co to jest Feniks? — starzec smutnym głosem wyjaśnia:

— Feniks to taki ptak. Bóg obdarzył go wiecznym życiem. Przedtem jednak postawił mu warunek. A dar obwarowany warunkiem przestaje być darem. Ustalił z nim mianowicie, że jeśli pragnie wiecznie żyć, to co jakiś czas musi oczyścić się ze swoich grzechów w ogniu. Od czasu do czasu musi też sam się spalić, aby z popiołu powstać znowu do życia.

Z popiołów albo z ostatniej tłącej się iskry. I pewnego razu — ciągnie dalej swą opowieść staruszek — a w jego oku zaszklili się mała, prawie niewidoczna łza — Feniks nie chciał wstąpić do ognia. Czy z tego powodu, że grzeszny żywot za bardzo przypadł mu do gustu, czy też dlatego, że na chwilę zwątpił w zmartwychwstanie? Kto raczy wiedzieć? A On, Pan na Wysokościach rzucił na Feniksa gniewny wzrok. I pod wpływem tego wzroku Feniks skamieniał.

— Na zawsze? Na śmierć?  
— Kto to wie? Czasem — powiadają ludzie — drży... Wtedy, kiedy niebiosa rozrywają się.

\*

Nieco młodszy wiekiem, ale na tyle dojrzały, że mogą pamiętać i potrafią opowiedzieć, nie wierzą w wersję z Feniksem.

— Samemu nie wchodzi się do ognia. Nie bardzo też chce się wierzyć w to dziesięciokrotne zmartwychwstanie.

— A więc co? Zwykły kamień?

— Co to, to nie! Czasami widać, że coś w nim drga. On chyba był orłem. Zuchwałym orłem. I skrzydła miał długie, szerokie i potężne. Kiedyś porwał się na słońce. Zachciało mu się znaleźć plamy na słońcu. A wtedy słońce przywitało go salwą ognia. I skrzydła mu się spaliły. I popiół ze spalonych skrzydeł rozwił się w powietrzu...

A kiedy jeden pyłek z tego popiołu wpadnie komuś w oko, ten natychmiast kieruje swój wzrok przeciwko słońcu i przeciwko wszystkiemu co jest na świecie i nad światem. I orzeł spadł na ziemię martwy i z biegiem czasu zamienił się w kamień...

— Czy nie zauważyliście, że jest czarny? To od ognia.

Jeszcze młodszy, ale wystarczająco dorośli, śmieją się.

— Co tam bajeczki dla grzecznych dzieci! Żadnego tam lwa, Feniksa czy orła nie było.

Oni mają na temat kamienia zupełnie inną wersję. Według nich był to w istocie ptak, ale całkiem zwykły. Taki jak wszystkie ptaki na świecie.

— My pamiętamy, że w trelach tego ptaka słychać było podszepty zła. Jego trele wodziły na pokuszenie. Słodkie dreszcze przechodziły człowieka, gdy je słyszał. Jest cisza przedwieczorna i ptak, ten pieśniarz nad pieśniarzami, smętnie w lesie zawodzi. Kto wtedy mógł ręczyć za żonę lub córkę?

I wtedy stara a cnotliwa czarownica przeklęła pieśniarza tymi oto słowami:

„Obyś oniemiał i zamienił się w kamień”.

I wtedy właśnie rozdarły się niebiosa. Wolny i swobodny dotychczas ptak zamienił się w kamień.

\*

Jakkolwiek rzecz się jednak miała, coś w tych legendach musiało być...

Pewnego bowiem dnia nad okolicą przeleciał jakiś cudzoziemski ptak. Nim się ukazał oczom ludzi, po okolicy przetoczył się cudowny, słodki szum. Niezwykła muzyka.

Była cicha letnia noc. Las i rzeka, księżyc i gwiazdy zatrzymały się w ruchu. Z uwagą przysłuchiwały się tej nowej, nieznannej, słodkiej i delikatnej muzyce. „Jakaż ona świeża. Ile w niej swobody!” Tak, dygocąc ze wzruszenia, szeptały liście na drzewach.

A zwierzęta w lesie i żaby na bagnach zastygły w bezruchu. Uległy czarowi muzyki. Niedźwiedź unoszący się do skoku zawisnął w powietrzu. Podobnie żaba. Zastygła z otwartą gębą w bagnie.

I wtedy ptak się ukazał.

Nikt dotychczas nie widział takich długich, szerokich, białych i potężnych skrzydeł.

Bez szmeru, cichuteńko zatrzymał się w powietrzu.

Rzeka i las wstrzymały ze zdumienia oddech.

A on śpiewał. Słodki i potężny był jego śpiew. I świeża i święta była jego pieśń.

Noc stawała się coraz cichsza, coraz głębsza i coraz świętsza. Pograżony w marzeniach las stawał się coraz bardziej zielony i coraz bardziej kwitnący. Róża rozkwitła jaśniejszym płomieniem. Zaczarowana rzeka nagle rozbrzmiała cichą, delikatną i słodką melodią.

# O HISTORII

## GORZKA HUMORESKA

Znajomy Żyd przysiadł się do mnie na ławce w Ogrodzie Krasieńskich i pyta, dlaczego jestem taki smutny.

— Graetz<sup>224</sup> umarł — wyjaśniam mu.

— Błogosławiony niech będzie Sędzia Sprawiedliwy! — Powiada Żyd i zaraz dodaje: — Tutejszy?

Problem polega na tym, że dziewięćdziesiąt procent Żydów zadałoby na jego miejscu to samo pytanie. Świadczy to o głębi przepaści, w którą wpadliśmy. Żydowska Warszawa nie wie, kto to był Graetz. W umysłach ludzi z Nalewek nie ma miejsca dla niego. Nie jest na językach ludzi z Wałowej. O nim nadal nie mówi się na arystokratycznym Grzybowie.

Żeby Warszawa szumiła od sensacji, nie trzeba koniecznie przegrać żonę czy dziecko w karty albo wleźć na słup ujazdowski. Wystarczy być szkapą dorożkarską, która padła na szynach tramwaju.

Tu nie wystarczy być Graetzem. Tu nie wystarczy napisać historię narodu żydowskiego.

Kiedy mój sąsiad dowiaduje się ode mnie, co Graetz napisał, dopiero wtedy reaguje.

— Aha! Historię! — mówi to takim głosem, jakby podziwiał faceta, który za jednym zamachem zjadł dwanaście jajek na twardo.

A kiedy ja z wściekłości o mało ze skóry nie wyskakuję, pyta z głupia frant:

— A co się ma z tej historii?

— Czy pan jest Żydem?

— Tak mi się wydaje.

Mówi to ze szczególnym uśmiechem na twarzy, który ma znaczyć: „Chyba większym niż ty”.

— A lubi pan Żydów?

— A jakże! Mam ich nienawidzić?

— Czy wie pan, że Aleksander Macedoński napotkał na swoim wojennym, pełnym zwycięstw szlaku państwo rządzone przez same kobiety?

— Co za pytanie? Czytałem o tym albo słyszałem od mojego rebego w chederze<sup>225</sup>.

— Czy wie pan, kiedy królestwo Izrael oderwało się od królestwa Dawida? Czy wie pan, kiedy z jednego narodu żydowskiego powstały dwa narody?

— Kiedy? Po co mam wiedzieć, kiedy? Rzecz jest przecież gdzieś opisana.

— I co się stało z królestwem Izrael?

— Z królestwem Izrael? Też mi pytanie. Sprawa jasna. Znajduje się za rzeką Sambation<sup>226</sup>.

— A gdzie się podzieli Żydzi wypędzeni z Francji?

— A gdzie się mieli podziąć? Część z nich zapewne opuściła Francję, a cała reszta ukradkiem wróciła do niej. Też mi pytanie!

— Czy wie pan, jak cierpieli i jak cierpią po dziś dzień Żydzi w Persji i w Rumunii?

— Co do Persji to nie mam pojęcia. O Rumunii zaś mówi się nieprzerwanie w bóżnicy. Wiadomości czerpią z gazety „Hacefira”. Włosy dęba stają!

— O *kreuzzugach*<sup>227</sup> słyszał pan?

— Proszę o zadawanie lżejszych pytań.

— Nie zna pan niemieckiego?

— To jest po niemiecku? No to brak mi jednego słowa.

— A o *Nose-hacelaw*?

— A to znów co za język?

<sup>224</sup> *Graetz, Heinrich (Hirsh)* (1817–1891) — urodzony w Książu Wielkopolskim historyk, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, autor pierwszej syntetycznej historii Żydów od czasów biblijnych do czasów współczesnych autorowi, wyd. w latach 1853–1876 w jedenastu tomach. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *cheder* — jednoizba, elementarna szkoła religijna dla chłopów od 4. roku życia. [przypis tłumacza]

<sup>226</sup> *Sambation* — mityczna rzeka płynąca przez sześć dni w tygodniu i odpoczywająca w szabas (kiedy religijnym Żydom nie wolno podróżować); za nią miało się schronić Dziesięć Zaginionych Plemion izraelskich. [przypis edytorski]

<sup>227</sup> *kreuzzug* (niem.) — krucjata, wyprawa krzyżowa. [przypis edytorski]

— Święty język hebrajski. Widzę, że nie ma pan pojęcia, ile tysięcy Żydów zginęło za sprawą krzyżowców. Całe gminy uległy zagładzie.

— Pan zapewne ma na myśli rok 1648, czasy Chmielnickiego.

— O Żydach w Maroku wie pan coś?

— W Maroku? Nie, nie wiem.

— A chciałby pan wiedzieć?

— Ba! Wiedzieć! I co tam w Maroku takiego szczególnego? Inne jakieś zmartwienia?

W inny sposób tam się rzeczy dzieją? Wierz mi pan, wszędzie jest tak samo. Świat jest wszędzie taki sam. Dziękuję Bogu, że udaje mi się od czasu do czasu o tym zapomnieć.

— Po krótkiej przerwie: — Proszę mi lepiej powiedzieć, a pan wie, bo czyta gazety. Co tam sływać nowego?

— Nie — powiadam do mego sąsiada — pan to nie kocha Żydów.

— A to na jakiej podstawie? Dlatego, że nie dają pieniędzy? Po prostu nie mam. Niemcy mają, to dają!

— Nie to mam na myśli! Widzi pan, taka już jest natura człowieka, że chce wiedzieć o wszystkim, co się tyczy jego bliźniego, krewnego. Kiedy spotkasz na przykład dawno niewidzianego krewnego, zasypujesz go zwykle pytaniami. A to, jak mu się przez ten czas powodziło, co przeżył. Jak tam żona, co porabiają dzieci i tak dalej. Jeżeli ktoś z rodziny chorował, to chcesz wiedzieć, na co chorował, czy bardzo cierpiał, jak długo trwała choroba. Jaki lekarz lub znachor mu pomógł. Jeżeli był to lekarz, to czy buteleczka była czerwona, czy też zielona albo biała. Jeśli znachor, to czy tylko coś powiedział, czy też okutał go dymem. Nie chodzi tu tylko o takie właśnie poważne sprawy. Widzi pan, na przykład, na swoim znajomym nowe ubranie. Chce pan wiedzieć, ile zapłacił za metr materiału. Ile kosztował krawiec. Podnosi pan poły marynarki i sprawdza, czy czasem nie oszukał go na podszewce.

— Prawda! Nie mogę zaprzeczyć! — powiada z uśmiechem na twarzy Żyd.

— No widzi pan — wpadam w nastrój zwyczajny. — Ma pan braci na całym świecie i nie chce pan niczego wiedzieć o tym, co się z nimi dzieje. I to, że pańscy bracia od tysięcy lat znoszą cierpienia, nie interesuje pana. Nie chce pan wiedzieć, co się z nimi przez te lata działo. Z tego wynika, że odmawiając błogosławieństwa z okazji *Rosz-chodesz*<sup>228</sup> wkłada pan w słowa: „cały naród żydowski to bracia” tę samą intencję, co w słowa: „na przyszły rok w Jerozolimie”.

— A ja mimo to czuję, że kocham Żydów.

— Myli się pan.

— Słowa bez pokrycia.

— Udowodnię panu, proszę mi tylko odpowiedzieć szczerze na kilka pytań.

— Proszę.

— Kocha pan swoich krewnych?

— Nie wszystkich.

— Dlaczego nie wszystkich?

— Nie rozumiem pańskiego pytania. Jeśli na przykład taki mój krewniak otworzy sobie sklep z tym samym towarem obok mego, jakby innych interesów na świecie nie było. Jeśli taki krewniak wchodzi mi w drogę, odbiera mi klienta i wydziera mi niemal z ust mój własny kęs chleba, to ja mam go kochać? Albo, powiedzmy, mam krewniaka ze strony żony. A ten jest pijakiem, bezbożnikiem profanującym świętą sobotę, to co? Mam go kochać?

— A oprócz nich?

— Oprócz nich to pozostałych i znanych mi krewnych kocham.

— A tych, których pan nie zna?

— Nie mam pojęcia. Mam na przykład kuzyna w Ameryce, którego nigdy na oczy nie widziałem.

— To go pan zapewne... — naciskam na niego.

— Nie mogę powiedzieć, że go nienawidzę, ale kochać go też nie potrafię.

— A w ogóle to Żydów pan zna?

Mój sąsiad poczuł się jak mysz w pułapce, która miota się w tę i we w tę.

<sup>228</sup> *Rosz-chodesz* — początek miesiąca, nów. [przypis tłumacza]



— Nie ma co — powiadam — pan ludu żydowskiego nie kocha. Nie ma pan zresztą o nim najmniejszego wyobrażenia. Zupełna pustka. Jak dziura w obwarzankach. A czym pan handluje?

— Artykułami żywnościowymi — jego odpowiedź tchnie smutkiem.

— Na świecie żyje pan już chyba z pięćdziesiąt lat.

— Czterdzieści pięć.

— Niech będzie czterdzieści pięć. W swoim życiu zdążył pan poznać około dwustu Żydów. Połowę z nich może pan lekką ręką wrzucić do wody. Mam na myśli tych, którzy nie są pobożni, gubią się w modlitwach, nie mówiąc o tych, co w ogóle się nie modlą... Bezbożnicy! Tylko ich w ogień! Część z pozostałych bierze pan w garść i „trach” o ścianę. Z jednym procesuje się pan. Drugi to konkurent. Włazi za skórę. Trzeci gdzieś kiedyś wyraził się o panu brzydkim słowem. Czwarty dłużny jest wam forsz. Żona piątego pokłóciła się z pańską połowicą. Pozostała resztę, być może, kocha pan.

Żyd zaczyna się zastanawiać, a ja kuję żelazo póki gorące...

— Kochać, to znaczy w pierwszym rzędzie znać. Kochać lud żydowski znaczy być przywiązany nie do dwudziestu, trzydziestu Żydów, ale do całego długiego łańcucha wszystkich minionych pokoleń oraz do współczesnej generacji rozsianej i rozproszonej po całym świecie. Naród to jakby stożek...

— A to znowu co takiego?

— Jakby to powiedzieć. Taka znana nam czapka cukrowa<sup>229</sup>. U góry, na samym czubku, nasz praojciec — Abraham. Im niżej w dół, tym bardziej się rozszerza. Nasza „czapka cukrowa” niezupełnie przypomina stożek. W środkowej części są miejsca wygryzione przez myszy albo wymyte wodą. Im niżej, tym widoczniejsze są pęknięcia i deformacje. Między różnymi naszymi częściami przepływają wody, ciągną się stopy, rozpościerają się kraje. Kochać Żydów, znaczy kochać całą formę, cały kształt. Kochać znaczy: wszystko wiedzieć, wszystko znać, wszystko mieć w sercu, w głowie, we krwi!

— Nie ma co — powiada po namyśle mój sąsiad. — Bardzo to jest interesujące.

— To jest więcej niż interesujące. To jest konieczne. To jest jeden z fundamentów, na którym stoi całe żydostwo. To jest ta „czapka cukrowa”. Widzi pan, jesteśmy starym narodem, ale pod tym względem wiele znacznie młodszych narodów przejawia większą od nas mądrość. Nie tylko narody europejskie, które piszą, czytają i uczą się historii. Nie tylko starożytni Rzymianie i Grecy, te dwa wykształcone narody, które strzegły swojej historii jak źrenicy oka. Nie tylko Egipcjanie i Persowie, i Medowie, którzy swoją historię wyryli w kamieniu, w ścianach i w piramidach, ale nawet zupełnie dzikie ludy zrozumiały, czym jest historia.

Dzikie plemiona w Afryce i Ameryce chodzą jeszcze nago, jak Adam i Ewa w raju. Noszą dla ozdoby twarzy kolczyki w nosie, bransolety ze skóry na nogach, rogi lub skrzydlate pióra na głowie. Pokrywają swoje ciała tatuażami i smarują je błyszczącym tłuszczem. Ale nawet i one wiedzą, że historia jest im potrzebna. Mężczyźni z owych plemion nieprzerwanie zajęci są to wojnami, to polowaniem, to rybołówstwem. W związku z tym kobiety muszą przechowywać w pamięci to wszystko, co plemię przeżyło. Muszą też przy nadarzającej się okazji opowiedzieć to wszystko.

— A może to taki zwyczaj u bałwochwalców?

— A *Tora*, czyż ona nie zaczyna się od historii?

— Na tym właśnie polega.

\*

— A jednak do czego nam potrzebna historia?

— Ma pan dzieci? — odpowiadam pytaniem na pytanie.

— Jak Bóg przykazał.

— Kto, według pana, jest mądrzejszy? Pan czy pańskie dziecko, które wchodzi dopiero w świat?

<sup>229</sup> *czapka cukrowa* — głowa cukru; forma, jaką do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowata bryła z zaokrąglonym wierzchołkiem, o średnicy podstawy od kilkudziesięciu centymetrów do metra i zróżnicowanej wadze; taką głowę (czapkę) cukru należało następnie rozdrobnić (rozłupać na kawałki, utrzeć w moździerzu), aby móc używać cukru do celów spożywczych. [przypis edytorski]

Żyd poważnieje.  
 — Jajka zawsze twierdzą, że są mądrzejsze od kury.  
 — A co mówią na to kury? Czy pan zgodzi się powierzyć sześciolletniemu chłopcu swój majątek czy sklep?  
 — Jasne, że nie. Jeszczem nie zwariował.  
 — Dlaczego nie?  
 — Musiałbym od razu przygotować sobie torbę żebracza.  
 — A cóż to? Czy sześciolletni chłopiec nie potrafi prowadzić interesu?  
 — Wiadomo, że nie. Brak mu praktyki.  
 — Dlatego chyba nie wydziela się młodym nowożeńcom od razu całego posagu. W handlu bowiem trzeba mieć praktykę. Młodożeniec stawia dopiero pierwsze kroki.  
 — Słusznie! Tak właśnie jest!  
 — Dla takiego młokosa trzeba znaleźć doradcę. Trzeba znaleźć starszego współnika.  
 — Myślę, że tak. Czy pan sądzi, że prości Żydzi nie mają rozumu?  
 — Uchowaj Bóg! Wcale tak nie sądzę. Proszę mi tylko powiedzieć: czy z biegiem lat nie wyrastają dzieci na ludzi?  
 — Oczywiście! Kiedy poznają trochę świat, nabierają praktyki. Zaczynają rozróżniać między tym, co jest dobre, a tym, co jest złe. Słowem, wychodzą na ludzi.  
 — A więc widzi pan. Pewien filozof powiedział kiedyś, że dzień wczorajszy jest nauczycielem dnia dzisiejszego.  
 — Do tego potrzebny był filozof? Każdy chłopak z chederu już wie, co to znaczy praktyka — wzdycha. — Świat to bardzo kosztowny nauczyciel.  
 — Do praktyki potrzebna jest, wydaje mi się, pamięć.  
 — Z całą pewnością.  
 — A jeśli zdarzy się, że ktoś po tyfusie wszystko zapomniał?  
 — Wtedy jest krucho. Trzeba zacząć od nowa, od samego początku. Taka rzecz przydarzyła się właśnie reb Szoszenesowi.  
 — A jak się ma rzecz z takim, co uchowaj Bóg, w ogóle nie ma pamięci, co się już urodził bez pamięci?  
 — Czy to jest możliwe?  
 — Są przykłady.  
 — Wtedy to już gorzej być nie może. Taki człowiek bez pamięci nie potrafi się niczego nauczyć. Nigdy nie zmądrzeje. Gdyby nawet dożył wieku Matuzalema<sup>230</sup>. Bez pamięci, znaczy bez praktyki.  
 — A sześciolletni, obdarzony pamięcią chłopczyk, może być mądrzejszy od niego?  
 — Oczywiście!  
 — A więc widzi pan! Trzeba panu zrozumieć, że nie tylko człowiek, ale również naród musi posiadać pamięć. A pamięć narodu, to właśnie historia. Bez historii naród, tak samo jak pojedynczy człowiek, nie może osiągnąć mądrości. Nie może stać się lepszy. A skąd ma naród brać praktykę? Skąd ma w czas próby czerpać wiarę, ufność i radę? Co by to było, gdyby każde pokolenie zostało odcięte wraz ze swoimi zaletami i wadami, radościami i kłopotami? Co by to było, gdyby zostało wyrzucone z pamięci potomnych?  
 — Faktycznie — powiada Żyd. — W czas próby, w niebezpieczeństwie, tracimy głowę. Stajemy się jakby stadem baranów. Kto chce, ten „przyprawia sobie rogi”. Zwykły tryk staje się rzecznikiem ogółu.

\*

— Niech pan mnie posłucha i kupi Graetza.  
 — A pieniądze?  
 Na to już nie miałem odpowiedzi.

<sup>230</sup>Matuzalem — postać biblijna wymieniona w *Księdze Rodzaju* (Rdz 5, 21–27), syn Henocha, ojciec Lamecha, dziadek Noego; miał żyć 969 lat (licząc wg żyd. kalendarza księżycowego lub 939 wg kalendarza solarnego); długowieczność Matuzalema stała się przysłowiowa. [przypis edytorski]

# CUD CHANUKOWY

## I

Już miałem w ręku płaszcz, ale zatrzymałem się.

— Iść czy nie iść na lekcję?

Na dworze tak nieprzyjemnie! Taka paskudna, zgniła pogoda. I taki szmat drogi. I po co? Jeszcze raz odmieniać w kółko czasowniki? I jeszcze raz spotkać się ze starszym „panem gospodarzem”, który bez gramatyki przeżył sześćdziesiąt kilka lat. Z dziesięć razy był w Lipsku, kilka razy w Gdańsku i o mało co nie zahaczył nawet o Konstantynopol, a wciąż nie może pojąć, na co trwoni się w jego domu pieniądze... Wielka mi rzecz — gramatyka!

W domu jest jeszcze „młodszy pan”. Ten wie, że praktyczniej byłoby nosić pejsy, i sztrajml<sup>231</sup>, jeździć regularnie do cadyka<sup>232</sup> i nie zawracać sobie głowy gramatyką. Ten nieboraczek to prawdziwa ofiara. Jest przecież kupcem i musi obracać się wśród ludzi. Musi nosić kapelusz, mieć zawsze czystą i wyprasowaną koszulę. Czy chce, czy nie chce, musi się zgodzić z tym, że żona chodzi do teatru, a córka czyta jakieś tam książki. Musi też mieć dla chłopca nauczyciela od gramatyki.

— Czy tato nie ma racji? Oczywiście, że ma — powiada sobie w duchu.

Świat tego wymaga. A światu nie można się przeciwstawić. Nie wolno!

— Zrób mi, pan, chociaż tę łaskę i nie psuj chłopca — prosi niemal błagalnie.

— Płacę panu — powiada — duże pieniądze za samą tylko gramatykę. Chcę jednak, żeby się przypadkiem od pana nie dowiedział, że ziemia obraca się wokół słońca!

I obiecałem, rzecz jasna, że ode mnie się tego nie dowie, ponieważ... była to moja jedyna korepetycja, a... w domu leży chora matka.

— Iść czy nie iść?

Na lekcji pilnuje mnie cała rodzinka. Czy Ona też? Ona siedzi w pewnej odległości ode mnie. Zawsze zaczytana. Zawsze pogrążona w książkach. Od czasu do czasu tylko podnosi swoje długie jedwabiste rzęsy. Wtedy robi się w pokoju jaśniej.

To się jednak zdarza rzadko. Jakże niezmiernie rzadko!

I co z tego wynika? Tylko ból w sercu.

— Słyszysz? — Cichy głos matki budzi mnie. — Felczer — mówi matka — uważa, że gdybym miała parę wełnianych pończoch, mogłabym wstać z łóżka.

Słowem, trzeba iść na lekcję.

## II

Poza panią gospodynią, która zgodnie ze swoim zwyczajem wyrwała się bez wiedzy teścia do teatru, natrafiłem na całą rodzinkę rozsiadłą wokół kipiącego samowaru.

Na moje „dobry wieczór” młodszy pan gospodarz ledwo słyszalnym głosem raczył odpowiedzieć. Przez cały czas trzymał talię kart w rękach. Z całą pewnością czekał na gości.

Starszemu panu, ubranemu w szeroki turecki szlafrok, z jarmułką na głowie, nie opłaca się wyjąć z ust długiej fajki z bursztynowym ustnikiem. Nie chce mu się również oderwać oczu od starego użytego modlitewnika. Kiwa mi głową na powitanie i zaraz wraca do modlitewnika.

Ona również pogrążona jest w czytaniu. Jak zwykle czyta powieść. Na uczniu moje przyjście wywiera nieprzyjemne wrażenie. Zrywa się od stołu, potrząsa zaczepnie czarną kędzierzawą główką i podniesionym głosem mówi:

— Co? Dziś też będziemy się uczyli?

A tato uśmiecha się i powiada: — A dlaczego nie?

— Przecież jest Chanuka<sup>233</sup>! — Mały tupie nogą i pokazuje pierwszą świeczkę z Szamesem<sup>234</sup> na świeczniku chanukowym stojącym na parapiecie za firanką.

<sup>231</sup>sztrajml — kapelusz z lisim otokiem noszony w dni uroczyste przez chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>232</sup>cadyk — mąż sprawiedliwy, przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

<sup>233</sup>Chanuka — święto obchodzone przez osiem dni na cześć odnowionej świątyni i zwycięstwa nad greckimi okupantami. [przypis tłumacza]

<sup>234</sup>szames — służa w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

— Zupełnie słusznie — burczy stary.  
— No, no podarujmy sobie — odzywa się młody gospodarz. Wydaje mi się, że Ona jakby zbladła, że jakby niżej pochyliła głowę nad książką.  
Mówię „dobranoc”, ale młody gospodarz nie pozwala mi odejść.  
— Musi pan zostać u nas na herbatce.  
— I na ciasta z makiem! — odzywa się radosnym krzykiem mój uczeń. Ten byłby ze mną w najlepszej komitywie, gdyby nie ta nieszczęsna gramatyka.  
Chętnie bym odmówił, ale łobuziak chwytą mnie za rękę i z szelmowskim uśmiechem na ruchliwej twarzy podsuwa mi krzesło tuż obok siostry.  
Czyżby coś zauważył?  
Oczywiście, że mógł coś zauważyć, ale chyba tylko z mego zachowania.  
Ona jest wciąż pogrążona w lekturze... Zapewne uważa mnie za próżniaka... Może nawet za coś gorszego... Nie może przecież wiedzieć, że w domu mam chorą matkę.  
— Z całą pewnością herbata już się zaparzyła! — oznajmia młody gospodarz niecierpliwym głosem.

### III

— Zaraz, zaraz tatusiu! — Młoda dziewczyna wpada mu w słowa. Jej blada twarz pokrywa się rumieńcem.  
Młodszy pan wraca znowu do swoich myśli. Mój uczeń puszcza w ruch po stole chanukowy drejdl<sup>235</sup>. Stary odkłada modlitewnik.  
Jest gotów napić się herbaty.  
Tymczasem wzrok mój mimo woli spoczął na świecach chanukowych, które palą się naprzeciw mnie. W ich płomieniu czai się jakiś smutek. Wydaje się, że skromne świece chanukowe czują się zażenowane i mniej wartościowe wobec dużej posrebrzanej lampy, zwisającej z sufitu. Jasne światło lampy zalewa pięknie nakryty stół. Robi mi się jakoś smutno na duszy. Nie zauważam nawet, jak Ona podaje mi szklanekę herbaty. Pyta: „Z cytryną?”. Jej smutny głos budzi mnie jakby ze snu.  
— A może z mlekiem? — pyta ojciec.  
— Nie! Mleko się przypaliło — ostrzega uczeń.  
— Nie do zniesienia — odzywa się dziewczyna podniesionym głosem.

### IV

Zalega cisza. Słyszeć tylko, jak zegar na ścianie bije.  
Jak siorbią herbatę ze szklanek, jak dzwonią łyżeczki.  
Memu uczniowi nagle wpada do głowy zadać mi pytanie:  
— Panie nauczycielu, co to jest takiego Chanuka?  
— Jutro zapytasz o to rebe<sup>236</sup> w chederze<sup>237</sup> — odzywa się wyraźnie zniecierpliwiony starszy pan.  
— Gdzie tam? — replikuje chłopiec. — Mój nauczyciel wie znacznie więcej od rebe.  
Starszy pan obrzuca syna złym wzrokiem. Miało to znaczyć: „Widzisz?”.  
— Ja też chcę wiedzieć, co to jest Chanuka — odzywa się siostra cichym głosem.  
— A więc proszę — powiada młodszy pan — posłuchajmy, co pan nauczyciel ma do powiedzenia o Chanuce.

### V

— Było to w czasach — rozpoczynam opowiadać — kiedy Grecy uciskali nasz naród na ziemi Izraela. Grecy... — w tym miejscu stary przerywa mi. Ma kwaśną minę:  
— W modlitwie *Szmona Esre*<sup>238</sup> stoi jak byk: „Królestwo Jawan bezbożne”.

<sup>235</sup>chanukowy drejdl — bąk w kształcie czworoboku, którym bawią się dzieci w święto Chanuki. [przypis tłumacza]

<sup>236</sup>rebe — zwrot grzecznościowy (odpowiednik „pan”, „mistrz”), którym uczniowie określają nauczyciela w szkole religijnej, chederze lub jesziwie. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>cheder — jednoizba, elementarna szkoła religijna dla chłopców od 4. roku życia. [przypis tłumacza]

<sup>238</sup>Szmona Esre — Osiemnaście Błogosławieństw. [przypis tłumacza]

— To chyba wszystko jedno — zauważa młodszy pan. — To co u nas nazywa się Jawan, to u nich z całą pewnością Grecy!

— Grecy — zaczynam znowu — strasznie nas uciskali. Były to dla Żydów najgorsze czasy. Zdawało się, że cały naród zginie. Jeszcze kilka takich nieudanych powstań i cały naród zostanie unicestwiony. Ostatnia iskra nadziei wygasła. W naszym własnym kraju deptano nas niczym robaki.

Młodszy pan od dłuższego już czasu nie słuchał tego, co mówiłem. Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał, czy ktoś z zaproszonych gości nie dzwoni. Tylko starszy pan nie spuszczał ze mnie oka. I kiedy po raz drugi użyłem słowa „uciskali” nie wytrzymał i przerwał mi.

— Człowiek powinien jasno i dokładnie się wyrażać. Też mi słowo „uciskali”! Po prostu nie pozwalali nam obchodzić sobót i świąt. Nie dali nam się uczyć *Tory*<sup>239</sup>. Zabraniali nawet obrzezania!

— Czy przypadkiem nie gra pan w preferansa? — raptem pyta mnie młodszy pan. — A może w oczko?

## VI

Znowu zaległa cisza i mogłem dalej opowiadać:

— Sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Albowiem nasza arystokracja i nasi bogacze zaczęli wstydić się własnego narodu.

Zaczęli prowadzić grecki tryb życia. Gimnazja zaroily się od młodzieży.

Ona i stary patrzają na mnie ze zdumieniem. W owych gimnazjach — ciągnę dalej — nie uczono tak jak w dzisiejszych. Przeważnie uprawiano tam gimnastykę. Uprawiając ją nie nosili żadnych strojów, byli nadzy. Do tego wszystkiego mężczyźni ćwiczyli razem z kobietami.

Dwie pary oczu znowu patrzają w dół. Za to oczy młodszego pana iskrzą się:

— Co pan wygaduje?

Nie odpowiadam na pytanie i kontynuuję. Mówię o amfiteatrach, w których ludzie walczyli z dzikimi zwierzętami oraz o innych obyczajach greckich, które musiały wywołać sprzeciw ludu żydowskiego. Wszystko to bowiem stało w jaskrawej sprzeczności z całym żydowskim sposobem życia.

— Grekom jednak to wszystko było za mało. Chcieli zniszczyć wszelki ślad kultury obyczajowej Żydów. W tym celu zbudowali ołtarz na środku ulicy i rozkazali Żydom składać na nim ofiary.

— Co to znaczy? — odzywa się po polsku dziewczyna.

Staram się jej wyjaśnić — a wtedy doprowadzony do gorączki starszy pan wyręcza mnie:

— Świnie! Chcieli, aby Żydzi składali świnie w ofierze.

— I znalazł się pewien Żyd — ciągnę dalej — który podszedł do ołtarza gotów złożyć ofiarę. I wtedy nagle zjawił się stary Machabeusz w asyście swoich pięciu synów... i nim greccy żołnierze zdali sobie sprawę, plugawiec, skory do wykonania rozkazu Greków nurzał się już we własnej krwi. Ołtarz w mig został rozbity. Natychmiast wybuchło powstanie... I Machabeusze z nieliczną garstką bojowników odnieśli zwycięstwo nad wielokrotnie przeważającymi siłami Greków. Najeźdźcy zostali wypędzeni z kraju, a naród żydowski odzyskał wolność.

## VII

— Dla upamiętnienia tego zwycięstwa — kończę swoją opowieść — po dziś dzień zapalamy świece chanukowe, urządzamy tę naszą biedną, skromną iluminację.

— Co? — stary aż podskoczył z gniewu. — Na tym ma polegać ten cud? Szmerke, do mnie!

Wnuk, przywołany głośnym krzykiem, aż zadrżał ze strachu. Jeszcze dalej odsuwa się od dziadka.

<sup>239</sup> *Tora* — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też Pięcioksięgiem lub księgami Mojżeszowymi, nazwa ta nie wskazuje autora ksiąg, lecz to, że ich podstawą jest tzw. prawo Mojżeszowe; *Tora* opisuje genezę i rozwój prawa na tle wydarzeń historycznych lub uważanych za historyczne. [przypis edytorski]

Starszy pan z całych sił uderza w stół. Talerze dzwonią.

— Cud polegał na tym, że po wypędzeniu nieczystych „Jawanim” w Świątyni znalazł się jeden tylko dzbanuszek koszernej oliwy...

Kaszle przy tym i nie może złapać tchu. Młodszy pan natychmiast podbiega do niego i prowadzi do drugiego pokoju.

## VIII

Zabieram się do wyjścia, ale przy drzwiach zatrzymuje mnie dziewczyna.

— Czy pan jest przeciwnikiem asymilacji? — Mówi do mnie po żydowsku z domieszką niemieckiego.

— Asymilować — wyjaśniam — znaczy tyle, co zjeść i strawić. Możemy na przykład „asymilować” (zjeść) wołowinę albo chleb. Nas zaś chcą asymilować... Czyli zjeść, tak jak wołowinę i chleb.

Ona przez chwilę milczy, potem ze strachem pyta:

— Czyżby zawsze trwały wojny i niesnaski między narodami?

— Ależ nie! W jednym jakimś punkcie muszą wszystkie narody się zjednoczyć.

— A tym punktem jest?

— Ludzkość! Człowieczeństwo! Niech każdy robi u siebie to, co powinien zrobić.

Wtedy wszyscy razem się kiedyś spotkają.

Dziewczyna zastanawia się. Chce jeszcze coś dodać, ale nagle rozlega się pukanie do drzwi.

— Mama idzie!

Dziewczyna wypowiada te słowa donośnym głosem i zabiera się do wyjścia.

Po raz pierwszy podaje mi rękę na pożegnanie.

## IX

Nazajutrz z samego rana, kiedym leżał jeszcze w łóżku, posłaniec przynosi mi list. Na kopercie firma jej ojca: Jakub Berenholc. Serce wali we mnie młotem. W kopercie tylko 10 rubli. Zapłata za miesiąc nauki, który jeszcze nie dobiegł końca. Koniec z korepetycją.

## LAG BAOMER<sup>240</sup>

Jest to święto dla dzieci. Tyle wiem, ale czym w istocie jest *lag baomer*, dalibóg nie wiem. Przypominam sobie, że w chederze<sup>241</sup> melamed<sup>242</sup> opowiadał o jakiejś epidemii, która szalała wśród 24 000 uczniów rabiego Akiby. Mówił również o uroczystości zwanej „Hilula derabi Szymon ben Jochaj”<sup>243</sup>, o laniu oliwy na jego grób. Widocznie niezbyt uważnie przysłuchiwałem się jego opowiadaniom. Miałem wówczas coś zupełnie innego w głowie. Smutne dni Sefiry<sup>244</sup> minęły już. W dniu *lag baomer* zaczyna się okres kąpieli w rzece, a woda co roku wymaga ofiary ludzkiej. Należy przeto oszukać wodę. Zamiast człowieka może być i kot.

„Ongiś byłem młody, ale zestarzałem się!” Teraz wszystko wydaje mi się takie proste. Dawniej też nie brakowało epidemii, ale inne były talizmany, inne lekarstwa i inni lekarze. To, że była kiedyś epidemia, i że skończyła się akurat w dzień *lag baomer*, też odpowiada prawdzie. Każda epidemia musi się kiedyś skończyć. Antysemityzm, fanatyzm, spirytyzm, to też swego rodzaju epidemie, które kiedyś znajdą swój koniec. Tamta zaś wspomniana epidemia nie mogła wiedzieć, że akurat jest *lag baomer*. Mogła przecież na złość komuś lub czemuś skończyć się dzień wcześniej lub dzień później. Rabi Akiba zaś, jeśli miał taki ciasny, duszny i brudny cheder, do jakiego chodzą nasze dzieci dzisiaj, to nic dziwnego, że wśród jego uczniów rozszalała się epidemia.

„Hilula derabi ben Jochaj”<sup>245</sup> też od biedy można znieść. *Hilula* właściwie oznacza wesele, a tu chodzi o rocznicę śmierci. Nie ma jednak sprawy. Sapir powiada, że baldachim ślubny dlatego ma cztery drążki, ponieważ jest najczęściej podwójnym łóżkiem. Mordechaj Chabad powiada, że zakrywa się twarz oblubienicy, aby nie widziała, jak ją żywcem zarzynają. Twierdzi również, że są tacy ludzie, którzy nie życzą sobie iluminacji na cześć zwycięstwa Hasmonejczyków nad Grekami.

Chcą czcić to święto tylko zapalaniem świec chanukowych<sup>246</sup>. W ten sposób chcą upamiętnić tylko ów cud, kiedy to z jednej porcji oliwy zrobiło się aż osiem porcji, aczkolwiek takiego cudu potrafi dzisiaj dokonać byle jaka kupczycha. Oni wolą żyć z cudów na wadze i na mierze. Oni to właśnie leją oliwę na grób rabiego ben Jochaja. Nie ma jednak w tym niczego nadzwyczajnego. Ci ludzie wierzą głęboko, że księgę *Zohar*<sup>247</sup> napisał rabi Szymon ben Jochaj. *Zohar* stworzył kabałę, kabała zrodziła chasydów<sup>248</sup>, a nasi chasydzi (prawda to oczywista) ulepszyli wodę, a ulepszona woda ognista, zwilża gardło, osładza życie i rozjaśnia głowę. Tak... jak czyni to *Zohar*.

Dzisiaj nie dziwię się, że woda tak łatwo daje się oszukiwać. Nie dziwi mnie, że przyjmuje kota za człowieka. Czy my sami postępujemy inaczej? Spróbujcie pójść na cmentarz i otworzyć pierwszy lepszy grób albo wszystkie po kolei i zobaczycie, że 90 procent leżących tam to koty.

Weźcie do ręki pierwszy lepszy podręcznik historii i otwórzcie go, na jakiej chcecie stronie. Jest tam niby mowa o różnych ludziach, a w rzeczywistości ze wszystkich drukowanych słów spoglądają na was kocie oczy niebieskie.

<sup>240</sup> *Lag-baomer* — 33. dzień od święta Paschy. Jedyny dzień między Paschą a świętem Szawuot, kiedy dozwolone jest zawieranie małżeństwa i można się weselić, albowiem w tym dniu ustała panująca zaraza w kraju, podczas której zmarło 24 tysiące uczniów rebege Akiby. W tym dniu po dzień dzisiejszy urządza się dla młodzieży majówki. [przypis tłumacza]

<sup>241</sup> *cheder* — jednoizba, elementarna szkoła religijna dla chłopów od 4. roku życia. [przypis tłumacza]

<sup>242</sup> *melamed* — nauczyciel w chederze (szkole podstawowej). [przypis tłumacza]

<sup>243</sup> *Hilula derabi Szymon ben Jochaj* — radosna uroczystość obchodzona przez pobożnych Żydów nad grobem twórcy kabały, Szymona ben Jochaja, w rocznicę jego śmierci. [przypis tłumacza]

<sup>244</sup> *Sefira* (jid. *sfira*) — odliczanie 49 dni omeru od Pesach do Szawuot, czyli liczenie omeru; *omer*: snopek a. ofiara ze zboża; ofiarę z jednego rodzaju zboża (omer zboża) składano w drugi dzień Pesach (i odtąd też liczono omer) oraz na koniec tych świąt, czyli na pięćdziesiątnicę (Szawuot) z innego rodzaju zboża (omer pszenicy); *smutne dni Sefiry*: okres od święta Pesach do święta Szawuot. [przypis edytorski]

<sup>245</sup> *Hilula derabi Szymon ben Jochaj* — radosna uroczystość obchodzona przez pobożnych Żydów nad grobem twórcy kabały, Szymona ben Jochaja, w rocznicę jego śmierci. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *Chanuka* — święto obchodzone przez osiem dni na cześć odnowionej świątyni i zwycięstwa nad greckimi okupantami. [przypis tłumacza]

<sup>247</sup> *Zohar* — księga kabalistyczna. [przypis tłumacza]

<sup>248</sup> *chasyd* a. *chasid* — pobożny członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szemtowa. [przypis tłumacza]

Są tak piękne, że rozkosz ogarnia człowieka. Bywa, że niedźwiedzie prowadzą korowód taneczny. Zdarza się, że kości tak trzeszczą w zębach, że krew spływa z pyska na łapy... lisy mogą uchwycić lejce w ręce i zasuwać prosto do kurnika, a wtedy pióra lecą w górę, pod same niebiosa. Najczęściej jednak zarzuca nam sznur na gardło prosty, zwyczajny, biały lub czarny, ale błogosławionej pamięci, kot.

Mógłbym wam dużo opowiedzieć o martwych kotach, gdybym... gdybym się nie bał żywych... Ach, jak potrafią drapać... Gorzej! Potrafią składać donosy.

Jakkolwiek by jednak było i skąd by się *lag baomer* wziął, niechby nawet od kota wziął swój początek, grunt, że to święto.

Grunt, że przydaje się w życiu. Grunt, że nasze biedne dzieciaki mają okazję choć raz w roku wyrwać się z tego więzienia, z tego tonącego w mroku chederu. Sam nadzorca, srogi melamed we własnej osobie, otwiera drzwi chederu i wyprowadza dzieci do lasku. Nie kpijcie i nie lekceważcie tego jednego, jedyne dnia spędzonego w pachnącym, świeżym lesie.

Dziecko dokładnie nie zdaje sobie sprawy z tego, ale instynktownie wyczuwa, że w chederze nie jest tak, jak powinno być.

W lesie niebo nie jest takie małe, nie jest takim sobie niebieskim gałganeicznikiem, widocznym między oknem chederu a dachem sąsiada.

Tu strzelista sosna pnie się ku niebu. Jest prosta i gładka. Nie ma na niej śladu krzywizny. Śladu zagięcia. Wysmukła i prosta, bez żadnych sztuczek, bez niepotrzebnych komentarzy. Jest wolna. Z nikim nie związana.

Wtedy w dziecku budzą się myśli:

Tu w lesie mieszka Bóg. Tam w chederze — melamed. Świeże powietrze, swobodny oddech, śpiew ptaków, szelest liści, wielobarwne kwiaty, złote i srebrne motyle. To wszystko od Boga pochodzi.

A mrok, ciasnota, brud i zawily, karkołomny komentarz kojarzą się z melamedem.

Nie jestem w stanie pisać. Podbiegam do okna. Ulica Nalewki szumi niczym morze. Franciszkańska jest w nieustannym ruchu. Pędzi, huczy. Z powodzi tłumu wyłania się raz po raz jakiś omnibus wypełniony po brzegi dziećmi. Strach, jak one wyglądają!

Twarzyczki blade, zielone, żółte. Rzadko mignie przed oczyma jakiś zdrowy, rumiany policzek. Jeszcze rzadziej jakaś świeża twarzyczka. Wszystkie jednak są ruchliwe. Wszystkie są niecierpliwie. A oczka u wszystkich płoną niczym świeczki.

Jedźcie sobie moje dzieci. Życzę wam... Stop! Nie wszystkim życzę! Nie wszystkim! Najpierw powiedzcie mi dzieciaczki, co z was wyrośnie. Wtedy powiem, czego wam życzę. Wskażcie mi tylko tego, który w przyszłości będzie handlował niegodnym towarem. Powiedzcie, kto po prostu będzie kupczył cudzą krwią i cudzym potem. Powiedzcie też, kto z was zbuduje sobie dom na cudzej ruinie, kto wyrośnie jak gałąź z cudzego nagrobka. Wskażcie takiego, a ja go już bez litości wyciągnę z wozu i rzucę pod koła.

Powiedzcie mi też, kto z was wyrośnie na porządnego, uczciwego robotnika. Na takiego, co własnym potem i własną krwią zarabiać będzie na życie. Powiedzcie, kto z was będzie żył nie na cudzy, ale na własny rachunek. Kto z was nie będzie jako ta wesz na głowie bliźniego, ani jak ten robak, który przyssał się do cudzego żołądka. Wskażcie mi takiego, a ja podaruję mu wiele interesujących książek. Z pewnością mu się przydadzą.

Powiedzcie mi też, kto z was uczyni ze zdobytej wiedzy przedmiot handlu. Kto tą wiedzą będzie kupczył, rozmieniając ją na wagę, miarę i szklankę wódki, niczym w szynku. Kto z was przywłaszczy sobie monopol na wino koszerne? Kto będzie handlował pieczęcią „koszer” na wszystkie możliwe towary?

Kto z was dorzuci do naszej taczki golusowej jeszcze jeden pyłek?

Wskażcie mi takiego, a ja go wywolekę z wozu i bez krzty litości rzucę koniom pod kopyta. Tylko bowiem kopyta końskie potrafią jeszcze wykrzesać iskrę z takich ciemnych postaci.

Powiedzcie mi też, kto z was wyrośnie na człowieka o dumnym czole, otwartych oczach, jasnym umyśle i otwartym sercu. Kto z was sięgnie w przyszłość dalej i głębiej. O minutę choćby w przyszłość. O minutę, w której trwa i grzęźnie prostackie życie. Czy



potrafi wybiec wzrokiem poza cztery ściany swego domu? Poza nakreślony przez perusza<sup>249</sup> krąg dla głupiego indyka?

Powiedzcie, a zdejmę go z wozu i okryję go pocałunkami.

Wezmę go z sobą do lasu. Tam usiądziemy pod starym mądrym drzewem o szerokich gałęziach obrosłych świeżymi zielonymi liśćmi i nabrzmiałymi pąkami zapowiadającymi miliony nowych liści i nowych kwiatów. Tam będziemy siedzieli. Tam, w cichym miejscu, do którego nie dochodzi głos nieuków i prostaków. Tam, gdzie nie słychać ryku wołów i szczekania psów. Tam wyjaśnię mu, co to jest wiosna, co to znaczy wolne życie. Powiem mu, o czym szepczą sobie na ucho liście, o czym szemrze strumyk i jakie tajemnice wiatr do ucha nawiewa.

Tak! Opowiem mu jeszcze wiele ładnych bajeczek. Podaruję mu prawdziwy łuk i strzały.

---

<sup>249</sup>perusz — odludek, wiecznie ślęczący w bóżnicy nad księgami, sprawy świata go nie interesują. [przypis tłumacza]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/perec-opowiadania-chasydzkie-i-ludowe>

Tekst opracowany na podstawie: Icchok Lejbusz Perec, Opowiadania chasydzkie i inne, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0682-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).